

PRZE

Numer 48/2945

2 grudnia 2001 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

RozGROMimy bin Ladena

ISSN 0033-2488

4 8



9 770033 248014

Indeks 371424 • Y-9013-C

**Codziennie
2 GODZINY ZA DARMO
w każdej taryfie!**

Nowa promocja!
Kup telefon i rozmawiaj już dziś.



Największa sieć, najlepsze ceny.

Infolinia: 0 801 202 602 (Całkowity koszt połączenia w wysokości jednej jednostki taryfikacyjnej wybranego operatora.) www.era.pl
Szczegółowy regulamin promocji dostępny w punktach sprzedaży sieci Era.



Listy MATEMATYCY - ANALFABECI

„Był czas, kiedy wystarczyło, że 10 czy 15 procent ludności jakiegoś kraju umiało pisać i czytać, a kraj ten mógł przodować wśród innych. Dziś zaczynamy uświadamiać sobie, że żaden kraj z ambicjami nie może być krajem analfabetów matematycznych... i dla naszego kraju likwidacja analfabetyzmu matematycznego jest sprawą jeżeli nie życia i śmierci nawet, to w każdym razie kwestią awansu, godnej pozycji w świecie i powodzenia” – mówił śp. Zdzisław Opiał, wówczas młody profesor UJ, podczas konferencji dydaktycznej na Uniwersytecie. Było to w latach 60. minionego wieku.

Po drugiej wojnie światowej zmęczeni i zniechęceni do nie-ludzkiej zazwyczaj logiki wydarzeń i morderczej techniki US -Amerykanie odwrócili się tak wyraźnie od matematyki i organicznie od niej zależnych dyscyplin empirycznych, że umieszczenie pod koniec lat 50. przez ZSRR na orbicie pierwszego na świecie sztucznego satelity Ziemi wywołało gigantyczny szok (nie mniejszy pewnie, choć trudny do porównania z ostatnim z 11 września).

Kiedy w roku 1963 miałem okazję rozmawiać w Tuscon z wybitnym socjologiem University of Arizona, profesorem Herbertem B. Wilsonem, usłyszałem, że: „obecnie amerykańska edukacja kierowana jest przez ZSRR, zatem Chruszczowa musimy zaliczyć w poczet największych reformato-

rów amerykańskiej oświaty”. Obecny prezydent George Walker Bush w inauguracyjnym wystąpieniu mówił, że wobec stanu obecnej nauki ważnym zadaniem jego rządu będzie doskonalenie w amerykańskich szkołach systemu kontroli poziomu nauczania matematyki i języka ojczystego. W tej właśnie to mówił kolejności. W Rzeczypospolitej zaś mamy skandaliczne zamieszanie wokół matur, matematyczny analfabetyzm, co wykazały próbne egzaminy i żadnej pewności, że ów przedmiot będzie obowiązywał wszystkich przyszłych maturzystów. A zaczęło się to w PRL-u.

Właściwe przyswajanie matematyki w szkole wiąże się organicznie z wyrabianiem u ucznia największej – w porównaniu z nauką innych przedmiotów – liczby „funkcji transferowych”: ogólnokształcących albo uniwersalnych, bo abstrakcyjnych, umiejętności, sprawności i nawyków pomocnych przy uczeniu się innych przedmiotów. Hugo Steinhaus w swoim „słowniku racjonalnym” pisał: „W dziewięciu przypadkach na dziesięć czas poświęcony matematyce zmniejsza czas przeznaczony na tak zwane »zajęcia«”.

Zatem ten nauczyciel, który rozumie lub chociaż czuje tę wielce humanistyczną rolę, jaką spełnia matematyka w kształceniu ogólnym, wydobędzie w trakcie nauczania tego przedmiotu i każdemu uczniowi przekaże jego dyskretny urok. Nieliczni – niestety – nauczyciele to potrafią. I to jest problem.

Podobnie jak w średniowieczu nauczanie języków starożyt-

nych (greki lub łaciny), niosąc wartości z czasów antycznych, służyło jednocześnie jako niezmienny wzorzec ogólnych zasad gramatyki oraz myślenia abstrakcyjnego, tak dzisiaj matematyka jest jedynym uznanym na świecie, koniecznym do ogólnego wykształcenia przedmiotem komplementarnym dla języka ojczystego. I brak właściwego dla każdego rodzaju kształcenia kursu matematyki, jako obowiązującego w każdej szkole przedmiotu nauczania, jest, moim zdaniem, główną przyczyną, że więcej u nas dzisiaj różnej maści niedokształconych bezrobotnych niż „zdrowej” i pożytecznej klasy średniej.

W 1982 roku ówczesny minister oświaty i wychowania Bolesław Faron wydał zarządzenie „w sprawie zasad i trybu składania egzaminu dojrzałości w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych”, w którym zdegradował matematykę do roli przedmiotu do wyboru na maturze, a zatem takiej, jaką mają empiryczne: fizyka, chemia czy geografia, czerpiące z uniwersalnych źródeł matematyki logikę wnioskowania i metody klasyfikacji swoich zbiorów, precyzyjny język, środki oraz metody rachowania i co tam jeszcze.

Kierując w roku 1983 rekrutacją kilku tysięcy kandydatów na studia w Politechnice Wrocławskiej, miałem okazję przekonać się, jaki poziom reprezentowali absolwenci szkół średnich i porównać go z tym, co pokazali ich następcy kilka lat po wejściu w życie zarządzenia pana ministra Farena. A potem? Politechniki odstąpiły – wobec kompromitującego już poziomu kandydatów – od egzaminów wstępnych w ogóle.

Spotykam teraz nauczycieli matematyki oraz autorów matematycznych podręczników, którzy robią wrażenie, jakby do matury nie wybrali tego przedmiotu, bo go wtedy jeszcze nie rozumieli. Jak i teraz zresztą. To wiem z własnych obserwacji. Od innych zaś wiem, że praktycznie polska edukacja, zwłaszcza po ostatniej reformie, stanowi dzisiaj jedno wielkie nieporozumienie.

ANTONI DINDORF,
Wrocław

(<http://www.dindorf.hg.pl>)



PRZE KROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie
Redaktor **MARIAN EILE**

Wydawca: EDIPRESSE POLSKA SA
ul. Wiejska 16, 00-490 Warszawa
tel. (0-prefix-22) 628-05-29, fax: (0-prefix-22) 621-19-76

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY: Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW: Paweł Satkowski
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW
MIĘDZYKRAJOWYCH: Agnieszka Smit
DYREKTOR MARKETINGU: Izabela Bochenek

REDAKCJA W WARSZAWIE: ul. Wiejska 16,
tel. (0-prefix-22) 627-23-07, fax: (0-prefix-22) 627-23-05

REDAKCJA W KRAKOWIE: 31-012, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
Telefony – łączą centrala: (0-prefix-12) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (0-prefix-12) 421-49-29, 422-70-61

REDAKTOR NACZELNY, SZEF NOWEGO PROJEKTU „P”:
Jacek Rakowiecki
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Joanna Gromek Ilg, Andrzej Ruchalski (sekretarz),
Anna Rudnicka

DZIAŁY:
Kultura: Włodzimierz Jurasz (kierownik),
Benjamin Lazar, Justyna Tawicka, Jacek Ziemek
Krajowy: Łukasz Działekiewicz, Jakub T. Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Tomasz Wolski
Reportaż: Izabella Bodnar, Dariusz Wojtala
Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marczan (kierownik), Lesław Peters
Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Wojtek Kocłowski,
Leszek Mazan, Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz,
Dorota Terakowska, Bogna Wernichowska

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik artystyczny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka,
Dział fotograficzny: Marek Szczepański (fotodzyktor),
Bogdan Krężel, Jan Zych
Korekta: Małgorzata Strakowska-Szczurek,
Barbara Wojtanowicz (kierownik)
Produkcja: Andrzej Laurisz

DZIAŁ DYSTRYBUCJI: tel. (0-prefix-22) 628-05-29
w. 233, Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI: Marcin Fedisz (kierownik),
Anna Korwin, Władaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”),
Anna Ostafił

BIURO REKLAMY:
Dyrektor: Agata Eigner
Warszawa – ul. Wiejska 16
tel./fax (0-prefix-22) 627-23-09
tel. (0-prefix-22) 627-23-06 do 08 w. 128, 228
Kraków – ul. Reformacka 3
tel. (0-prefix-12) 422-70-61, Marzena Kiedacz

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. Ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-prefix-67) 210-84-00
Okładka – Galerie Fine 90 gsm; Producent – Metsa Serla
Kirkniemi Mills.
Środek – Stellapress 60 gsm; Producent – Stora Euso.

PRENUMERATA: u Wydawcy – Izabela Dębska,
Agnieszka Bogdańska, tel./fax (0-prefix-22) 625-08-20,
tel. (0-prefix-22) 628-05-29 w. 210
Przez pocztę – przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe
na terenie całego kraju
Przez RUCH S.A. – informacja tel.: (0-prefix-22)
532-87-31, fax: (0-prefix-22) 532-87-32

Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.

Redakcja zastrzega sobie prawo
do zmian i skrótów w nadesłanych
artykułach i listach.
NAKŁAD: 77 500 egz.

Cel: samolot pasażerski

Sprawcy tych
zestrzeleń nie
przyznają się do winy,
nawet w obliczu
oczywistych dowodów.

MICHAŁ FISZER

12



Rambo, który myśli

Komandosi to
specjalna broń do
specjalnych misji.

IRENEUSZ
CHLOUPEK

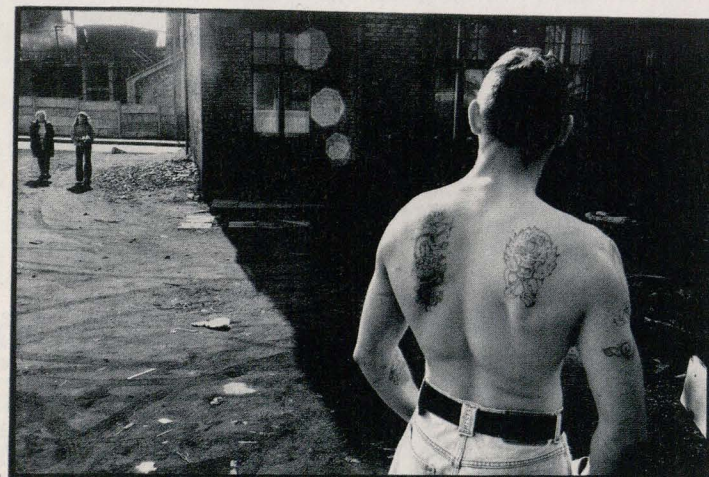
16

Książę tu nie przyjedzie

Życie w familoku
płynie sennie, a jego
mieszkańcy
tracą nadzieję.

ALEKSANDRA
ZDROJEWSKA

20



NUMER 48
2.12.2001



OKŁADKA:
fot. Marek Strzałkowski

Listy 3, 6

CZECZOT w „Przekroju”
ANDRZEJ MLECZKO
Pan Zenek wesoły sanitariusz 7

Ilustrowany „Przekrój” tygodnia 8

MICHAŁ FISZER
Cel: samolot pasażerski 12

IRENEUSZ CHLOUPEK
Rambo, który myśli 16

ALEKSANDRA ZDROJEWSKA
Książę z bajki tu nie przyjdzie 20

WOJTEK KLIMCZYK
Whitman, bop i czarne okulary.
Beat Generation 24

ARTUR CEZAR KRASICKI
Gej nie jest okej 30

WIEDEMANN Dziennik „duszy” 32

LESZEK MAZAN
Szczęśliwi kufla nie liczą 33

JÓZEF STAROWIEJSKI
Wiatr śmierci 34

JOANNA BONIECKA,
ZBYLUT GRZYWACZ 36
Henri Rousseau w Musée d'Orsay

Galeria: WOJTEK KOCOŁOWSKI
Verdun – piekło widziane z nieba 38

Historie: MIECZYŚLAW CZUMA,
LESZEK MAZAN
Opowieści z Krainy centusiów 46

HOFF Trzecia fala 48

Nauka LESŁAW PETERS
Kopernik w barńce 50

Zdrowie TERESA BĘTKOWSKA
Chore stawy 52

Sport JOANNA GROMEK
Wyścig z czasem 54

Szatnia JACEK PODSIADŁO
Utracona magia nazw 58

Instrukcja obsługi TV
Wyberzmy przeszłość 59

Media ANNA PIECZARA
Trudy młodych demokracji 60

Sztuka MARTA SOBOLSKA
Biżuteria literacka 62

PAWEŁ GÓRECKI
Odstuchiwanie sztuki 63

Film JACEK ZIEMEK
Wieder – Schubert – seks.
„Pianistka” 64

Teatr ŁUKASZ DREWNIAK
Namalować „Dziady”;
Dostawka GŁOWACKIEGO 66

Mazyka ROBERT ZIĘBIŃSKI
Nick Jagger – usta
The Rolling Stones 68

Adam Bieda
Rozmowa
z GRZEGORZEM SKAWIŃSKIM 70

Książki TADEUSZ NYCZEK
Okruchy losu. O książce Hanny Krall
„To ty jesteś Daniel” 72

Klub Smakosza TADEUSZ PIÓRO
Moje ulubione dania 74

Lustro weneckie
JAN PESZEK 75

Mieszanka firmowa 76

Krzyżówka z jolką
i STEFANIAKIEM 80

Co Pan na to, Panie LEM? 82

Rozmaitości 84



Whitman, bop i czarne okulary

Beat Generation chciała zerwać z mieszczańskim społeczeństwem.
WOJTEK KLIMCZYK

24

Wiatr śmierci

Gdy halny duje, mnożą się samobójstwa, potęguje się
agresja, jest więcej wypadków drogowych.

JÓZEF STAROWIEJSKI



34

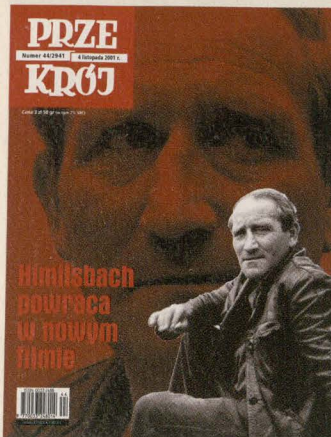
Verdun – piekło widziane z nieba

EDMUND
MALICKI
fotografował
największą bitwę
tamtej wojny
z gondoli
niemieckiego balonu
obserwacyjnego.

WOJTEK
KOCOŁOWSKI

38





KTO W UL DMUCHNIE – TEMU PYSK SPUCHNIE!

Wielki Georges Leclerc de Buffon napisał olbrzymie dzieło w 44 tomach pt. „Historia naturalna” i współredagował „Wielką encyklopedię” z Diderotem. Było to zajęcie na topie, więc pchały się do współpracy rozmaite markizy protegowane przez króla. Jedna nadesłała raz fiszkę taką: „RAK. PŁAZ CZERWONY, CHODZI TYŁEM”. Buffon, który nie był bufonem, skorygował: „Nie płaz, lecz skorupiak. Chodzi przodem. Tyłem pływa. Czerwony dopiero po ugotowaniu (reszta podana prawidłowo)”.

W pierwszych słowach naszego listu korzystamy z okazji, aby wyrazić Ci, kochany „Przekroju”, wyrazy sympatii i zachwytu, a także wdzięczność ogromną, że znalazłeś czas, aby udzielić miejsca na swoich łamach. „Himilbach wraca na ekran w nowym filmie”! („P” 294) I do tego mój portret kolorowy, na którym jestem o 10 lat odmłodzony i prawie śliczny. Niech ja skona!

Wczytaliśmy się w tekst. I szczególnie przysło. Śmiech pusty, a potem litość i trwoga. „Reportaż”? Bicie piany. Byk na byku, 17 byków (słownie byków siedemnaście). Jak do tego doszło?

Zgłosił się do nas pewien swawolny Dyzio i my w naiwności swojej udzieliliśmy mu wywiadu. My, to znaczy ja – Stanisław Manturzewski – reżyser, i mój producent, współwłaściciel Studia „Kalejdoskop” – Zbigniew Domagałski. Dyzio oba wywiady przerobił na „reportaż”, antyreportaż post-

modernistyczny (nowa forma literatury faktu). Bywały już antyreportaże, może być antyreportaż. Swawolny wypowiedzi nasze pochłastał, niektóre wziął w cudzysłów (jako cytaty), faserując własnymi idejkami. Inne (rzeczywiście nasze myśli) zaserwował jako płody własnego mózgowia – uprawiając do smaku rozmaitościami wyszany z palca. Każdy konkretny – nazwiska, cyfry, daty, wywalił jako zbędny balast. Wolno mu! Wszak to nie wywiad, ale reportaż.

Dwa razy cały tekst Swawolnemu autoryzowaliśmy (choćby bronił się jak lew, wywijał jak piskorz). Kilkanaście byków. Rodeo! Potulnie musiał te szkaradziństwa usunąć. Wracając do domciu i byki zreanimowane galopem wracały w tekst. Obłąd! I jeszcze raz to samo!

W końcu obraził się na nas i powiedział, że jak tak, to on w ogóle nic o nas nie wydrukuje. Co za radość!

Ale – wydrukował!

No i czytam, że jestem autorem filmu pt. „Jastrząb”, który to film w rzeczy samej zrealizował znakomity ornitolog prof. dr Józef Słowik (ja zrobiłem „Jastrzębie” – studium miasta górniczego). Czytam, że zrobiłem film „Majster Białkowski i Towarzysze”. Będzie miał do mnie pretensje Pietia Spiridonowicz Mostowej z Leningradu/Petersburga, bo to jego dzieło. U niego film nasz robią studenci Akademii Filmu i Telewizji. Naprawdę zaś, ekipa wytrawnych profesjonalistów, na czele z Krzysiem Pakulskim.

Jakimś cudem, zgodnie z prawdą autor napisał, że marzymy o rozwinięciu telewizyjnej wersji w film kinowy – jakimś cudem, zgodnie z prawdą ujawnił, że brak nam gotówki, ale konkretnie, ile gotówki nam brak? Wie, ale nie powie – dlaczego? – „Tylko pół miliona złotych, nie dolarów”. To chyba bardzo mało, nawet jak na film niskobudżetowy, nieprawdaż? Dla Dyzia to wiadomość banalna, w sam raz godna postmodernistycznego wykastrowania.

Rolę Dzikiego Jasia zagra znakomity aktor, na imię rzeczywiste ma Cezary: jednak nie Kwieciński, tylko Kosiński. Do Wariata

kowa nie wysłał mnie Gall Anonim, lecz Andrzej Wajda. „Głos Wariata” wydają nie krasnoludki, lecz wściekle ambitne wydawnictwo krakowskie „Etiuda”. Naszego filmu o Himilbachu nie finansuje np. mafia kolumbijska, lecz Program 2 TVP SA, APF i charyzmatyczny dystrybutor Roman Gutek. Film rzekomo robimy od dwóch lat, naprawdę zaś od marca br. Dwa lata temu dostaliśmy wprowadzić tzw. listy intencyjne, ale to tylko obietnice sfinansowania.

Długo bym Cię jeszcze Czytelniku Kochany zanudzał, tłukąc wściekle w klawiaturę, na szczęście zdarzył się cud!

TU NASTĘPUJE OPIS CUDU:

Do pustelni mojej wtargnęła młoda, atrakcyjna kobieta, a raczej dziewczyna. Jak się miało okazać – gerontofilka!

„Starcze niemądry, donkiszocie nadwiślański, czemuż czas trwoniś na dyrdymałki? Zawiodłam się na Tobie. Czy naprawdę nie dostrzegasz, że poprzez niewinne kłamstewka naszego Dyzia prawda prześwituje niby jędrny cyr na konkursie mokrego podkoszulka?”

I tu rzuciła mi spojrzenie niewiarygodne.

Więc sami rozumiecie, serce moje zalała czułość, egzaltacja, cały świat bym do serca przytulił. Gdyby mi Dyzio się napatoczył, ucałowałbym go siarczyście, po rusku, na niedźwiedzia.

No to pa – Braciszkanie Kochani – baj-baj, do zobaczenia na premierze!

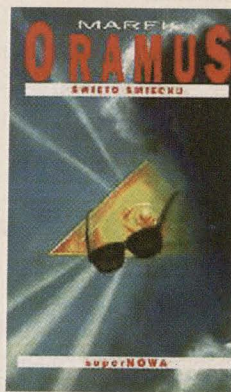
STAN MA'NTU – reżyser

PRZECZYTAŁEM, NAPISAŁEM

Bardzo mi przypadła do gustu sugestia p. Filipa Szczytrowskiego (Listy w „P” 2943), żeby „pan Oramus przeczytał pewną ilość książek fantastycznych, zanim napisze kolejny niepochlebny artykuł”. Bez fałszywej skromności uważam się za osobnika czytającego sporo – mniej więcej cztery książki tygodniowo – bo tego wymaga ode mnie kierowanie działem krytyki w „Nowej Fantastyce” i konieczność śledzenia rynku.

W artykule „Magia i cepem” pisałem nie tyle o fantastyce, co o jednej z jej odmian, jaką jest fantastyka; gdy się kogo strofuje, wypadałoby przynajmniej rozróżniać podstawowe pojęcia. Powieść Carda „Siódmy syn”, która wbrew temu, co sugeruje Szczytrowski, do fantastyki nie należy, wiosny nie czyni; zresztą daleko jej do wybitności. Może Szczytrowski, czerpiący swą literacką wiedzę z list dyskusyjnych, zamiast mnie napominać, powinien sam przeczytać pewną liczbę książek, nie tylko fantastycznych? Ale broń Boże, nic potem nie pisać. Pozdrawiam.

MAREK ORAMUS



Pan Marek Oramus przez skromność nie napisał, że jest autorem kilku książek science fiction – od „Samych zwycięzców” (wyd. w 1982 r.) po „Święto śniechu” (wyd. w 1995 r.). Ostatnio, w 2000 r., wydał „Rozmyślenia nad tlenem” – zbiór esejów krytycznoliterackich.

(Red.)

FANTAZJE O FANTASY?

Artykuł „Niech moc będzie z widzami” Jacka Ziemka („P” 2942, s. 64) traktujący o fantasy pozostawia wiele do życzenia.

Według autora świat fantasy jest „swoistym połączeniem nowoczesnej techniki z kompletnie anachronicznymi elementami”. Klasyczna literatura „magii i miecza” pozbawiona jest elementów, które określić możemy mianem „nowoczesnej techniki”. Cokolwiek by ono nie znaczyło, bo pan Jacek Ziemek nie raczy tego wyjaśnić.

Dwie zasadnicze odmiany fantasty to nie „heroiczna (heroic)

oraz mroczna (dark)”, a raczej heroiczna i taka, w której bohater bądź drużyna (wariant bardziej popularny) mają do wypełnienia jakiegoś zadanie (quest). Przyznam też, że nigdy – choć interesuję się fantastyką i różnymi jej odmianami od wielu lat – nie natknąłem się na podział fantastyki dla dzieci i fantastyki dla dorosłych. Podział ten według autora jest „ciekawym (i kontrowersyjnym zarazem)”. Być może, choć to raczej ciekawostka dla wielbicieli i znawców.

Jak w artykule o fantasy można było pominąć film „Conan Barbarzyńca” Johna Miliusa z roku 1982? Andrzej Sapkowski, autor „Wiedźmina”, wymienia go wśród nielicznych udanych filmów fantasy (obok „Willow”, „Zaklętej w sokoła” i „Excalibur”). I nie jest to opinia odosobniona. Ponadto sam Conan stworzony przez Roberta E. Howarda to jedna z najsłynniejszych postaci nurtu fantasy. Wspomnienie „Conana Barbarzyńcy” nie pasowało autorowi do tezy „powstanie filmu fantasy jest jednak możliwe dopiero teraz i to wyłącznie dzięki zaawansowanej technice komputerowej, pozwalającej wykreować fantastyczny świat hobbitów”. Conan doskonale obszedł się przecież bez owych efektów. Wystarczyła wyobraźnia i pomysłowość twórców. I jeszcze jedno: nie we

wszystkich filmach fantasy pojawiają się hobbici.

„Fantasy jest jednak bardziej zjawiskiem socjologicznym i psychologicznym niż artystycznym” – pisze autor. Dlaczego? Bo brzmi to zdanie ładnie i sprawia pozory mądrości? Dla informacji: „Władca pierścieni” Tolkiena został przez czytelników brytyjskich uznany za jedną z najwybitniejszych książek w historii literatury.

„Jakie były jej wyznaczniki (fantasy – przyp. S. H)? Odpowiedź na to pytanie przynieść może pewien paradoks, sporo dający do myślenia” (nie komentuję stylistycznej jakości przytoczonego fragmentu). Odpowiedź pada – jeśli to ona – trzy akapity dalej, ale anonsowanego paradoksu do tej pory nie mogę odnaleźć. Ani chybi, przyjdzie mi zebrać drużynę i wyruszyć na jego poszukiwania.

Zadziwiło mnie także określenie Jima Hensona mianem „spec od wielkich kukieł”. Pogratulować autorowi literackiej inwencji. Artykuł ten pełen jest określeń typu: „specyficzny rys postaci”, „przedziwny sztafaż”, „bliżej nieokreślone mityczne średniowiecze”, „bliżej nie zidentyfikowani rycerze”. Zajmują one więcej miejsca w tekście niż jest w nich treści i obnażają ignorancję Jacka Ziemka w temacie fantasy.

SZYMON HOLCMAN,
shylock@wp.pl

KONKURS ŚWIĄTECZNY

Redakcja „Przekroju” i Wydawnictwo ZNAK,
chcąc zachęcić Państwa do poznania dziejów własnej rodziny, zapraszają do udziału w świątecznym konkursie dla Czytelników na

NAJPIĘKNIEJSZE DRZEWO GENEALOGICZNE.

Prosimy o nadsyłanie prac, wykonanych w dowolnej technice plastycznej, do dnia 6 grudnia br. na adres:

PRZEKRÓJ, skr. poczt. 533, 30-960 Kraków.

Jury konkursowe w składzie: Joanna Olczak-Ronikierowa, Jacek Woźniakowski, Andrzej Wajda, Kazimierz Wiśniak oraz

Marcin Baran („Przekrój”) oceni kształt plastyczny

nadesłanych prac i ich wartość dokumentalną.

(Szczegółowe informacje o konkursie podaliśmy

w nr. 43 „Przekroju”).

Autorów wyróżnionych prac nagrodzimy książkami ZNAKU, a także nagrodą specjalną „Przekroju”. Wszystkie nadesłane prace zostaną zaprezentowane na wystawie w „Piwnicy pod Baranami” 15 grudnia br.

Zapraszamy do udziału.





GROM UDERZY W AFGANISTAN

Rząd Stanów Zjednoczonych poprosił Polskę o wsparcie wojskowe w Afganistanie. Nie ma zaskoczenia, ponieważ nieoficjalnie mówiło się o tym już wcześniej. W składzie trzypięciusetosobowego kontyngentu znajdzie się 80 komandosów z jednostki specjalnej GROM (wizytowanej – na zdjęciu – przez premiera Leszka Millera), którą utworzono przed dziesięć laty

oraz szkolono i wyposażono pod okiem Amerykanów i Brytyjczyków. Nie wiadomo, jak długo trwać będzie misja. Zacznie się w styczniu. Na razie mówi się o sześciu miesiącach, które kosztować będą budżet państwa 30 mln zł. Obecnie poza granicami kraju służy 1764 polskich żołnierzy. Przede wszystkim w misjach pokojowych na Bałkanach i Bliskim Wschodzie.

W Afganistanie mają zaprowadzić pokój, ale nikt nie ukrywa, że jadą nie na piknik, lecz do kraju ogarniętego wojną. Komandosy muszą się liczyć z tym, że mogą zostać wykorzystani nie tylko do działań zabezpieczających, ale do bezpośredniej walki z terrorystami. I pewnie to jest jeden z powodów, dla którego (wg „Rzeczpospolitej”) 65 proc. ankietyowanych nie popiera udziału

polskich żołnierzy w tej wojnie. Politycy są innego zdania. Wciąż uważają, że misja w Afganistanie wiarygodni nas jako sojusznika, jest naszą powinnością i obowiązkiem moralnym. Jednym słowem – nic nowego, oza tym, czego doświadczaliśmy nie raz w przeszłości. „Gromie” także na str. 16.)

CORAZ BLIŻEJ KOŃCA

Amerykański sekretarz obrony powiedział, że wolałby śmierć Osamy bin Ladena niż pojmanie go żywcem. Według saudyjskiego dziennika „al-Watan” człowiek, za głowę którego Amerykanie obiecali 25 mln dol., ma świadomość, że dni jego życia są policzone.

ROSJA POZA KOLEJKĄ

Bezpieczeństwo nie polega na liczbie czołgów rozmieszczonych wzdłuż granic – dowiodły tego zamachy z 11 września. Tak mówił w Moskwie sekretarz generalny NATO, George Robertson, który po raz drugi w tym roku odwiedził Rosję. Prezydent Władimir Putin nie wyklucza zbliżenia z Sojuszem, ale Rosja nie zamierza ustawić się w kolejce do NATO.

JAK ZWAŁ, TAK ZWAŁ

W Moskwie odbyły się pierwsze od wybuchu wojny rosyjsko-czeczeńskiej oficjalne rozmowy przedstawicieli obydwu prezydentów. Strona rosyjska nie nazwała ich „negocjacjami”, aby uniknąć zarzutów ustępowania przed „terrorystami”. Czeczeni mówią o „rokowaniach”, nie chcąc uchodzić za tych, którzy skapitulowali.

UŚPIENI AGENCI

Co najmniej dziesięciu członków al-Kaidy, organizacji terrorystycznej bin Ladena, dzięki małżeństwu dostało włoskie obywatelstwo. Zdaniem Interpolu pełnili oni rolę „uśpionych agentów”. Włoski ślad odkryli w Afganistanie reporterzy „Corriere della Sera”.

DLA KOGO GIBRALTAR

Ministrowie spraw zagranicznych Hiszpanii i Wielkiej Brytanii postanowili w Barcelonie, że negocjacje w sprawie przyszłości Gibraltaru zakończą się do lata przyszłego roku. Najprawdopodobniej brytyjska kolonia wróci na dobre do Hiszpanii dopiero za pół wieku. Do tego czasu zwierzchnictwo nad nią sprawować będą rządy w Londynie i Madrycie.

LIGA NIE CHCE UNII

Wejście Polski do Unii Europejskiej nazwał prymas Józef Glemp „historyczną koniecznością”. Oświadczył to w Brukseli podczas spotkania z komisarzem Unii, Günterem Verheugenem, który zaapelował do Kościoła w Polsce o pomoc w przezwyciężaniu lęków przed integracją. Katolicka, ale antyunijna Liga Polskich Rodzin uznała słowa poparcia prymasa dla Unii za „wyrwane z kontekstu”.



Petar Stojanow (z lewej) przegrał walkę o powtórny wybór na prezydenta Bułgarii. Pokonał go socjalista Georgi Pyrwanow (z prawej), któremu pomogło rozczarowanie Bułgarów transformacją gospodarczą i korupcją elit.



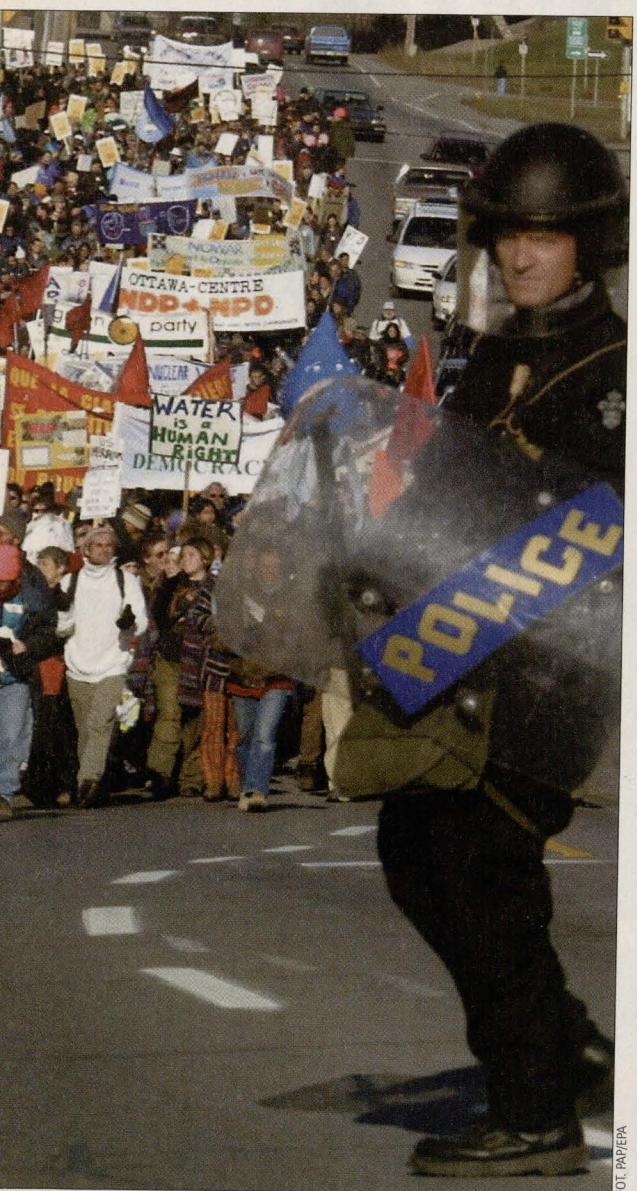
Kilka tysięcy policjantów przeszło ulicami Paryża, domagając się dodatkowych środków finansowych i prawnych na walkę z przestępcami. W ostatnich miesiącach, podczas rutynowych zatrzymań, zastrzelono siedmiu policjantów.



Włoska dziennikarka Maria Grazia Cutuli z „Corriere della Sera” na gruzach domu Osamy bin Ladena w Dżalalabadzie. Niedługo potem zginęła w drodze do Kabulu wraz z trzema innymi zagranicznymi dziennikarzami.



Wystawa fotografii Nan Goldin w paryskim Centrum Pompidou towarzyszyła Międzynarodowemu Salonowi Fotograficznemu „Paris Photo”.



WSZYSTKO JASNE

Najpierw minister ochrony środowiska, Stanisław Żelichowski, zapowiedział, że Wojciech Gąsienica-Byrcyn powróci na stanowisko dyrektora TPN. Przeciwko wypowiedziała się główny konserwator przyrody, wiceminister prof. Ewa Symonides. Minister zatem oświadczył, że dyrektora Tatrzańskiego Parku Narodowego wyłoni konkurs. Rzecznik prasowy ministra twierdzi, że resort żadnego konkursu nie planuje. Byrcyn poczuł się tym wszystkim zmęczony i nie chce już być dyrektorem.

TĘGI KONTRAKT

Nowy minister obrony narodowej unieważnił przetarg zatwierdzony przez swojego poprzednika. Przetarg dotyczył obsługi, od strony prawnej, kontraktu wartości 3,5 mld dolarów (zakup samolotów dla armii), za co prywatna firma miała dostać 8–10 proc. wartości kontraktu. Minister uważa, że tańsza będzie pomoc biura prawnego MON.

ODPRYSKI WOLNOŚCI

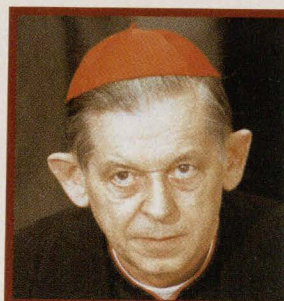
Human Rights Watch alarmuje, że w wyniku stosowania przez lotnictwo amerykańskie bomb rozpryskowych Afganistan został zasypany tysiącami niewypałów działających jak miny przeciwpiechotne. HRW wzywa do zaprzestania rzucania bomb, argumentując, że ich koszt, mierzony ludzkim życiem, przewyższa zalety wojskowe.

JAK CIĘ WIDZĄ

Instytut Spraw Publicznych opublikował raport, z którego wynika, że Ukraina postrzegana jest w Polsce tak samo, jak Polska przez kraje zachodnie: biedny, zacofany, niebezpieczny i źle zorganizowany kraj. Obraz Polski w oczach Ukraińców przypomina z kolei nasze pozytywne wyobrażenia o Europie Zachodniej.

Z VAT CZY BEZ?

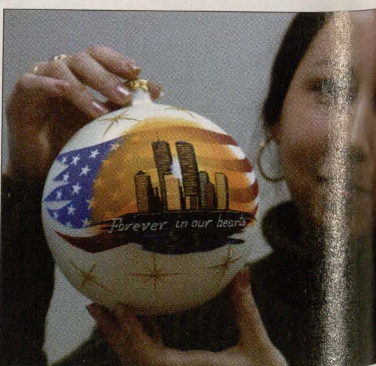
Europejski Trybunał Sprawiedliwości w Luksemburgu wypowiedział się przeciwko dyskryminowaniu prostytutek z krajów kandydujących do Unii w tych państwach członkowskich, w których tego typu usługi nie są karane. Sędziowie trybunału orzekli, że pod pewnymi warunkami prostytucja może być traktowana jak każda inna działalność gospodarcza.



Szczyt ministrów finansów G-20 w Ottawie wywołał natychmiastową reakcję przeciwników globalizacji.



Stolica Afganistanu jest morzem ruin. Pod Kabulem stacjonują już wojska brytyjskie i nie zamierzają się stamtąd wycofać, chociaż ze strony Sojuszu Północnego, który zajął stolicę, dochodzą głosy wzywające, aby „obce wojska opuściły suwerenny Afganistan”.



Pamięć o tragedii World Trade Center można uczcić również w ten sposób. Dziesięć tysięcy takich baniek zamówiła w polskiej firmie Polonia amerykańska.

MYŚL TYGODNIA

Nie podejmuję się nawracać ojca Rydzyka.

Prymas Polski, kardynał Józef Glemp w TVP



Sztafeta z ogniem olimpijskim wyruszyła w drogę z Grecji do Stanów Zjednoczonych, gdzie znicz olimpijski zapłonie w lutym na Zimowych Igrzyskach w Salt Lake City.



Holenderski pojazd „Nuna” z zespołu Alpha Centauri zwyciężył w wyścigu pojazdów napędzanych energią słoneczną, które przywieźli do Australii niekonwencjonalni konstruktorzy z jedenastu krajów świata. Na trasie liczącej 3010 kilometrów z Darwin do Adelajdy startowało z różnym powodzeniem 38 pojazdów.



W stolicy Filipin, Manili, demonstranci protestowali przeciwko kontynuowaniu nalotów na Afganistan w czasie ramadanu – świętego dla muzułmanów miesiąca postu.



Ten pogrzeb odbył się na krakowskim Rynku jako protest kupców przeciwko inwazji hipermarketów i wszelkim jej konsekwencjom.



Cel: samolot pasażerski

MICHAŁ FISZER

Sprawcy
zestrzeleń
nie przyznają
się do winy,
nawet
w obliczu
oczywistych
dowodów.

Kilkakrotnie zdarzyło się, że przypadkowo lub celowo zestrzelono samolot pasażerski z niewinnymi ludźmi na pokładzie. Większość tych tragedii wydarzyła się w strefie działań wojennych. Kilkakrotnie jednak zestrzelono samolot pasażerski w okresie pokoju, co teoretycznie w żadnych okolicznościach nie powinno nastąpić. W każdym przypadku sprawcy stanowczo i do końca nie przyznawali się do tego, za wszelką cenę starając się ukryć prawdziwą przyczynę wypadku.

KAL007 – przypadek do dziś tajemniczy

31 sierpnia 1983 roku olbrzymi boeing 747 jumbo jet Koreańskich Linii Lotniczych wystartował z lotniska Anchorage na Alasce do lotu KAL007, mając na pokładzie 23 członków załogi i 246 pasażerów. Jak się okazało po latach – załoga omyłkowo nie podłączyła

bezwładnościowego systemu nawigacyjnego do autopilota, co było brzemienne w skutkach. Radiolatarnia na wybrzeżu Alaski nie pracowała (przechodziła okresową konserwację) i załoga przyjęła naprędce obliczony kurs magnetyczny 2460. Znoszenie przez wiatr miało być zrekompensowane przez układ bezwładnościowy, jednak z powodu jego niepodłączenia do autopilota, po minięciu wybrzeża, samolot kontynuował lot z odchyleniem od zadanej trasy.

Załoga nie sprawdziła (rutyna!), że obrany kurs coraz bardziej oddala ich od właściwej trasy, a z pozoru wszystko „wyglądało” normalnie. Do momentu wyjścia poza zasięg radarów z Alaski odchylenie było na tyle małe, że kontrolerzy ruchu nie zwrócili na nie uwagi. Jednak wraz z przebytą drogą błąd powiększał się coraz bardziej. W rejonie Kamczatki samolot zbliżył się na 150 km do maszyny rozpoznawczej USAF RC-135, prowadzącej namierzanie radzieckich radiolokatorów na Da-

lekim Wschodzie. Rosjanie wzięli „pasażera” za drugiego RC-135, mającego zmienić go w rejonie rozpoznania.

Kiedy koreański samolot zanadto zbliżył się do Kamczatki, trzy pary radzieckich myśliwców usiłowały go przechwycić, ale nocna pora i niedokładność radarów uniemożliwiły to. Tymczasem KAL007 minął Kamczatkę, wciąż utrzymując poprzedni kurs, a jego załoga nawet nie podejrzewała, co się wydarzyło. Po latach okazało się, że Rosjanom nie udało się nawiązać łączności radiowej z nim, gdyż wzywano go na częstotliwościach wojskowych, ciągle myśląc, że jest to RC-135.

Nieco później KAL007 ponownie naruszył radziecką przestrzeń powietrzną, tym razem nad Sachalinem. Maszyna została przechwycona przez parę myśliwców Su-15. Zbliżyły się one do KAL007 od tyłu i nie były widoczne z kabiny załogi samolotu pasażerskiego. Na komendę z ziemi czołowy Su-15 oddał serię ostrzegawczą z działek, ale pociski pozbawione smugaczy (do czego Rosjanie przyznali się dopiero w 1993 r.) także nie były widoczne.

Wówczas to, na komendę z ziemi, Su-15 oddał dwa pociski rakietowe, które zniszczyły koreański samolot. Uczyniono to, pomimo iż radziecki pilot meldował, że nie jest to RC-135, lecz znacznie większy, oświetlony samolot pasażerski. Warto też zwrócić uwagę, że kardynalnie zlekceważono międzynarodowe procedury obowiązujące w czasie przechwycenia domniemanego intruza.

Ponad tydzień Rosjanie stanowczo zaprzeczali, że mają cokolwiek wspólnego ze zniknięciem KAL007. Dopiero 9 września marszałek Ogarkow, szef Sztabu Generalnego Armii Radzieckiej, przyznał, że samolot został zestrzelony po „celowym” naruszeniu radzieckiej przestrzeni powietrznej i to dopiero wtedy, gdy nie zareagował na wezwania radiowe i ostrzeżenia przechwytyjących go samolotów myśliwskich.

Ta wersja utrzymywana była uporczywie przez dziesięć kolejnych lat. Dorabiano do niej kolejne „legendy”. Według „informacji radzieckiego wywiadu” koreański samolot miał być rzekomo widziany wcześniej w bazie USAF Andrews, gdzie montowano mu aparaturę szpiegowską. Obalenie radzieckiej wersji wydarzeń utrudniało także to, że czarne skrzynki z KAL007 zostały przez Rosjan wydobyte i objęte klauzulą najwyższej tajności.

Już po rozpadzie ZSRR w 1993 r. mieszana komisja rosyjsko-amerykańska, powołana za zgodą Borysa Jelcyna, ujawniła najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń (przedstawioną na początku). Wówczas też przekazano komisji ONZ odtajnione czarne skrzynki. Do dziś jednak sprawę okrywa mgła tajemnicy, przy czym różni eksperci przedstawiają

swoje wersje. Wielu Rosjan (i nie tylko) nadal wierzy w „spisek CIA”.

Wieczorem 17 lipca 1996 r. z lotniska J.F. Kennedy’ego w Nowym Jorku wystartował boeing 747 linii Trans World Airlines, kierując się do Paryża (lot TWA 800). Na pokładzie maszyny było 18 członków załogi i 212 pasażerów. Samolot minął wyspę Long Island na wysokości ok. 4000 m, po czym dalsze wznoszenie przerwano, by ominąć inny samolot, zniżający się w stronę Rhode Island. Manewr omijania spowodował zbliżenie się do stref W-105 i W-107, w których US Navy zapowiedziała ćwiczenia. Gdy TWA 800 podjął wznoszenie, jednocześnie starając się ominąć strefę od północy, samolotem wstrząsnęła eksplozja, a zaraz potem szczątki maszyny spadły do morza. TWA 800 przebywał w powietrzu około 11 minut. W katastrofie zginęli wszyscy – 230 osób.

Amerykanie kłamią? Tajemnica TWA 800

Już w czasie wstępnych czynności, zmierzających do ustalenia przyczyn katastrofy, zdarzyło się coś dziwnego. Policyjna jednostka nurków, która natychmiast podjęła poszukiwania resztek samolotu, została „przeгонiona” przez jednostki ratownicze marynarki wojennej, mimo iż policjanci z Nowego Jorku mieli prawo do działań w tym rejonie.

Szczątki samolotu, a także obie czarne skrzynki zostały wydobyte przez specjalistów wojskowych i przez nich zbadane. Długo

US Navy twierdziła, że czarnych skrzynek nie odnaleziono. Ich cudowne „objawienie” nastąpiło dopiero dzięki prasie, która miała solidne podstawy, by uważać, że jest inaczej.

„Cuda” trwały jednak dalej. Początkowo sugerowano, że wypadek spowodowała eksplozja oparów paliwa w zbiorniku skrzydłowym. Miała to być wersja oficjalna, ale szybko okazało się, że nie wytrzymuje ona konfrontacji z coraz to nowymi, ujawnianymi faktami. Przede wszystkim ponad stu świadków na wybrzeżu Long Island widziało ostatnie chwile samolotu. Wszyscy zaobserwowali, że jego eksplozja nastąpiła wówczas, gdy do maszyny zbliżył się szybko lecący, świecący obiekt, który w niego trafił. Podobne zeznania, zupełnie niezależnie, złożyli też członkowie załóg samolotów, które przelatywały w pobliżu (w tym załoga samolotu Air France).

Do badań wypadku nie dopuszczono francuskich specjalistów, choć ze względu na śmierć wielu obywateli tego kraju mieli oni pełne prawo uczestniczyć w dochodzeniu. Natomiast cywilni specjaliści z USA, którym pozwolono obejrzeć wydobyte szczątki samolotu (znów pod naciskiem prasy), odkryli ślady uderzenia w kadłub obcego obiektu, przypuszczalnie rakiety przeciwlotniczej.

Ponieważ rzecznik Departamentu Obrony już 23 lipca stanowczo zaprzeczył, że jakiegokolwiek okręty znajdowały się w rejonie wypadku, a zapowiadane ćwiczenia faktycznie nie zostały przeprowadzone, uwaga prasy skierowała się na możliwość ataku terrorystycznego. Wersja ta była podsycana „przeciekami” z FBI, mówiącymi o pocisku Stinger.

OSTATNIA TRAGEDIA

12 listopada 2001 r. w nowojorskiej dzielnicy Queens rozbił się airbus A300-600 American Airlines. Oficjalnie podano, że przyczyną było wpadnięcie w zaburzoną przez inny samolot strugę powietrza. Wersja ta jest logiczna i nie ma w zasadzie podstaw, by w nią wątpić. Takie zdarzenia są jednak rzadkie. Znałe są trzy wypadki rozbicia samolotów pasażerskich po wpadnięciu w strugi dużego, lecącego wcześniej (o 1–2 minuty) samolotu. Dwa dotyczą lekkiego samolotu marki Jak-40, na tyle niewielkiego, że jego podatność na zawirowania jest znaczna. Trzeci przypadek to poważne uszkodzenie samolotu Caravelle przy lądowaniu w Atlancie 19 czerwca 1980 r. W żadnym z nich nie doszło do zniszczenia maszyny jeszcze w powietrzu, jak to przypuszczalnie nastąpiło 12 listopada. Przypomnijmy, że świadkowie wspominali o odpadnięciu silnika i o zapaleniu się samolotu przed upadkiem na ziemię. W rękach terrorystów znajdują się pociski przeciwlotnicze Stinger. Czy komisja badająca przyczynę tej tragedii ujawni prawdę?



FOT. EPA/FORUM



Wydobywanie z Morza Czarnego szczątków Tu-154.



Rakiety przeciwlotnicze S-200 Wega; jedna z nich trafiła w Tu-154.

Ale znów nic nie pasowało. Samolot był zbyt wysoko, by znaleźć się w zasięgu rakiety tego typu, poza tym trafiony został kadłub, a nie jeden z silników, co jest charakterystyczne dla kierowanego na podczerwień Stingera. W marcu 1997 r. asystent dyrektora FBI, James Kallstrom, przyznał na konferencji prasowej, że zamach terrorystyczny nie jest wykluczony. Oficjalnie nadal jednak podtrzymywano wersję o awarii samolotu, tym razem mówiąc o zwarciu w pompie znajdującej się w zbiorniku z paliwem. Szybko jednak odkryto, że wg zapisów z rejestratorów lotu feralna pompa była wyłączona. Wówczas wersję oficjalną „skorygowano” – zwarcie nastąpiło w jednym z przewodów wiązki elektrycznej, przebiegającej w pobliżu.

Teraz pozostawało wyjaśnić jedynie pochodzenie owego „świecącego” obiektu, który trafił w samolot. Według wersji oficjalnej były dwie eksplozje. Po pierwszej przednia część samolotu oderwała się i siłą wybuchu wznosiła się, natomiast eksplozja pozostałej części maszyny wyrzuciła palący się element, który dosięgnął przedniej części samolotu. Nie trzeba specjalisty, by dostrzec absurd tego wyjaśnienia, notabene oficjalnie obowiązującego do dziś. Ta „ostateczna” wersja oficjalna powstała wtedy, gdy okazało się, że są nie tylko zeznania świadków zdarzenia – niektórzy bowiem zdołali zrobić zdjęcia... Zdjęcia te, a także filmy były energicznie konfiskowane przez FBI, jako... dowody potrzebne do badania wypadku!

Oficjalne wyjaśnienie może być jeszcze inne. W miesiąc po wypadku pojawiły się oświadczenia anonimowych oficerów US Navy, którzy przyznawali, iż ćwiczenia marynarki były prowadzone w pobliżu rejonu katastrofy. Obejmowały tajne testy nowych pocisków przeciwlotniczych. Dla wielu specjalistów wspomniane doniesienia stanowiły przełom w sprawie. Pociski miały być kierowane radiolokacyjnie, a typowym miejscem trafienia ta-

kiej rakiety jest właśnie kadłub samolotu (tam, gdzie znaleziono tajemnicze wyrwy). Dziś już wiadomo, że mógł chodzić o nową wersję rakiety Standard MR-2 – Block 4A.

W marcu 1997 r. rzecznik prasowy US Navy oficjalnie przyznał, że ćwiczenia były prowadzone, ale z udziałem jedynie trzech okrętów podwodnych, a te, jak wiadomo, nie są uzbrojone w rakiety przeciwlotnicze. Jednak coraz więcej pragnących zachować anonimowość oficerów US Navy przyznaje, że ok. 250 km na południe od miejsca katastrofy znajdował się krążownik raketowy. Wymieniona odległość znajduje się w zasięgu Standard MR-2 Block 4A.

James Sanders, mąż stewardesy, której jaciółka zginęła w wypadku, otrzymał od jednego z techników pracujących przy szczątkach samolotu dwie próbki czerwonej substancji, którą znaleziono na kilku fotelach rzędów 17, 18 i 19. Pierwsza została zbadana przez niezależne laboratorium, które stwierdziło, iż są to spaliny stałego materiału pędnego silnika raketowego. Drugą próbkę Sanders przekazał telewizji CBS, jednak ta przestraszyła się i oddała ją FBI. Jej oficjalne badanie stwierdziło, że tajemnicza substancja jest... klejem, używanym w konstrukcji foteli! J. Sanders został natomiast aresztowany przez FBI za kradzież dowodów związanych z wypadkiem.

Pomimo wszystkich wątpliwości nikt do tej pory nie udowodnił (w sensie prawnym), iż oficjalna wersja jest nieprawdziwa. US Navy nadal zaprzecza, że miała jakikolwiek związek ze sprawą.

Rosyjski Tu-154 i ukraińska raketa

Ostatni przypadek zestrzelenia samolotu pasażerskiego nastąpił 4 października 2001 r. Do Morza Czarnego runął rosyjski Tu-154 linii Sybir Airlines z 78 osobami na pokładzie. Niemal natychmiast pojawiły się podejrzenia, że

samolot został zestrzelony, gdyż ok. 200 km od miejsca wypadku ukraińskie wojska prowadziły ćwiczenia przeciwlotnicze. Jednak władze oświadczyły, że zasięg używanych w czasie ćwiczeń rakiet nie przekraczał 10 km.

Wydobyte szczątki samolotu wyraźnie ujawniły, że znajdują się w nich elementy głowicy rakiety przeciwlotniczej S-200 Wega o zasięgu aż 240 km.

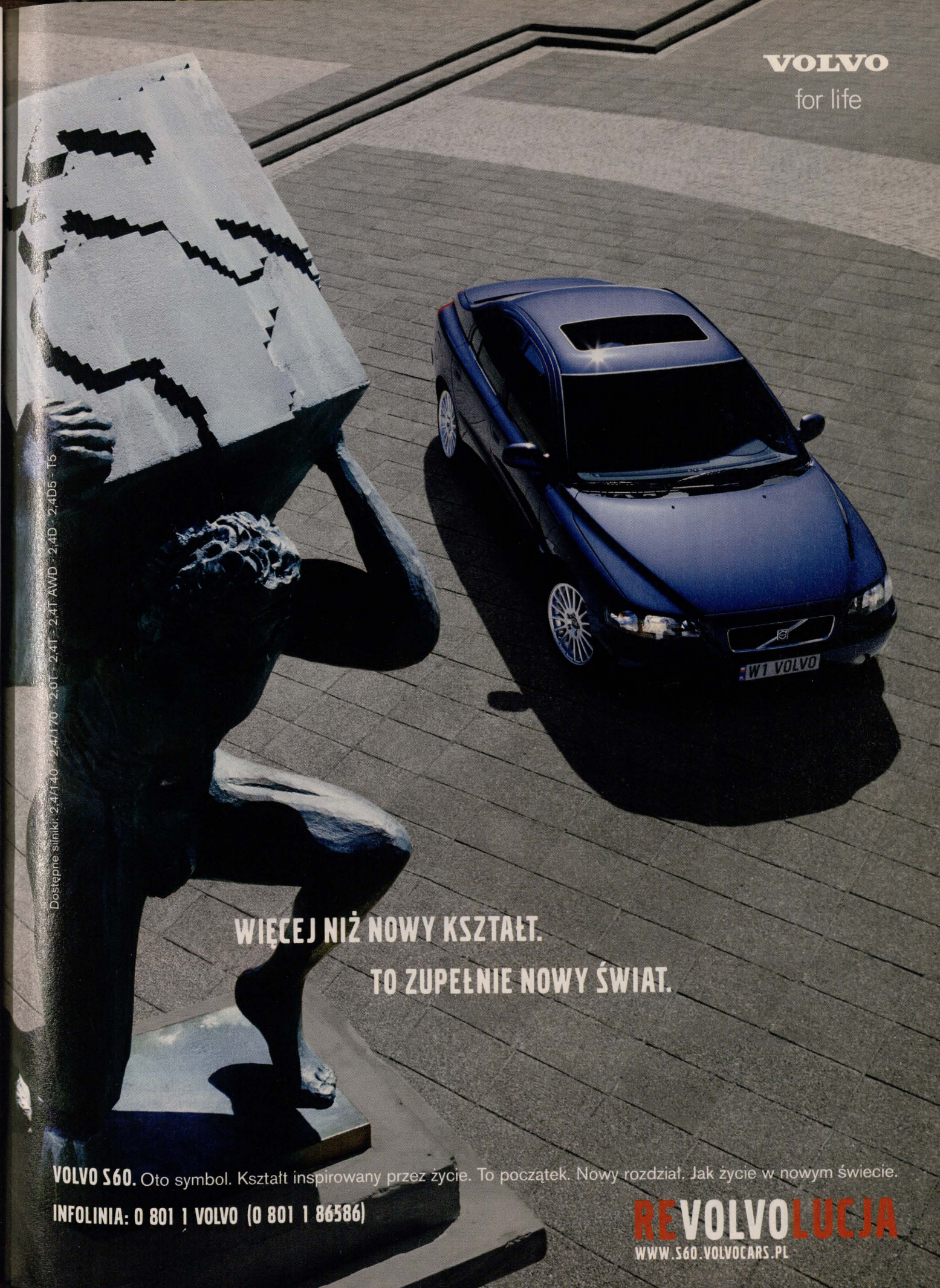
Dalsze zaprzeczanie nie miało już sensu. Właśnie tą rakietą strzelano do bezpilotowego celu powietrznego. Rosyjski samolot przypadkowo znalazł się na przedłużeniu linii strzału, a radiolokator kierowania ogniem precelowował się na większy, choć bardziej odległy „cel”. Zaniedbania operatorów systemu raketowego oraz nadzorujących ich oficerów spowodowały, że pomyłki nie wykryto. 12 października przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Ukrainy, J. Marczuk, przyznał, że samolot został zestrzelony przez ukraiński pocisk S-200 i oficjalnie przeprosił za wypadek.

Nikt się nie przyznaje

Do opisanych przypadków zestrzelenia samolotów pasażerskich (trzech, jeśli przyjąć, iż TWA 800 także padł ofiarą rakiety przeciwlotniczej), można dodać jeszcze dwa – zestrzelenie 20 kwietnia 1978 r. koreańskiego boeinga 707 przez radzieckie myśliwce w okolicach Murmańska i zniszczenie nad Zatoką Perską irańskiego boeinga 747 przez rakietę amerykańskiego krążownika USS Vincennes (to ostatnie zdarzenie – w pobliżu strefy działań bojowych). We wszystkich tych tragediach przewija się jeden wspólny motyw – niechęć winowajców do przyznania się do winy. Niemal zasadą jest zaprzeczanie, wbrew oczywistym poszlakom, do momentu, gdy nie zostaną przedstawione wyraźne dowody.

MICHAŁ FISZER

VOLVO
for life



WIĘCEJ NIŻ NOWY KSZTAŁT.
TO ZUPEŁNIE NOWY ŚWIAT.

VOLVO S60. Oto symbol. Kształt inspirowany przez życie. To początek. Nowy rozdział. Jak życie w nowym świecie.

INFOLINIA: 0 801 1 VOLVO (0 801 1 86586)

REVOLVOLUCJA
WWW.S60.VOLVOCARS.PL

Rambo, który myśli

Komandosi to specjalna broń do specjalnych misji. Głównie używają do myślenia – do rozbijania przeszkód mają inne środki.

Uwagę prasy i telewizji przyciągają zazwyczaj najbardziej widowiskowe elementy szkolenia komandosów lub spektakularne akcje z ich udziałem. Mówi się o nich jak o bohaterach, ale są też przedmiotem krytyki pseudofachowców. Misje bojowe to dla większości jednostek specjalnych zaledwie przerwany w codziennym treningu, wymagającym wysiłku, cierpliwości i wytrzymałości.

Do takich formacji przyjmuje się ochotników, którzy pozytywnie zaliczyli specjalne testy. Selekcja pozwala spośród wielu chętnych, często naiwnie wyobrażających sobie służbę komandosa, wybrać osoby o właściwych predyspozycjach fizycznych i psychicznych.

Filmowy komandos to potężnie zbudowany kulturysta i mistrz dalekowschodnich sztuk walki, który nie traci czasu na myślenie. W rzeczywistości siły specjalne bardziej potrzebują ludzi o ponadprzeciętnej inteligencji i odporności psychicznej niż osiłków. By nie tracić czasu na budowanie sprawności fizycznej, oczekuje się od kandydatów wykazania podczas sprawdzianu odpowiedniej kondycji i siły. Wymagania nie są szczególnie wygórowane. Doskonalą się je podczas dalszej służby.

Bicepsy nie są najważniejsze. Stawia się wyższy typ wszechstronnego lekkoatlety, zdolnego do długotrwałego wysiłku. Skoki spadochronowe i desantowanie ze śmigłowca, długie marsze z ob-

ciążeniem w trudnym terenie, szybkie biegi podczas akcji i odskoku po jej zakończeniu wymagają głównie sprawnych nóg i kondycji ogólnej.

Walka wręcz to ostateczność

Komandosów nie szkoli się na ekspertów w sztukach walki. Zakres wiedzy, jaką muszą zdobyć i stale doskonalić, jest zbyt szeroki, by mogli poświęcać tyle czasu na sam trening walki wręcz, co dalekowschodni mistrzowie. Przeważnie takie szkolenie ogranicza się do intensywnych, ale krótkich kursów podstawowych umiejętności samoobrony i zdecydowanego reagowania na zagrożenie. Wyrabia też odporność psychiczną i pewność siebie. Przecież komandosi w akcji zapewniają sobie przewagę, współdziałając w zespołach i posługując się bronią. Atakują z zaskoczenia, wykorzystując najsłabsze miejsca w obronie przeciwnika. Walka wręcz to ostateczność.

Skromny program walki wręcz pozwala w krótkim czasie nauczyć najprostszych, lecz najskuteczniejszych metod obezwładniania i likwidacji przeciwnika. Jedną z najbardziej znanych i cenionych to izraelska Krav Maga, którą trenują m.in. komandosi polskiego 1. Pułku Specjalnego i Marynarki Wojennej.

Techniki te są mało widowiskowe, więc na publicznych pokazach sprawności oddziałów specjalnych najczęściej można zobaczyć np. popisy w rozbijaniu głową sterty dachówek. Są to atrakcje przygotowywane dla ludzi karmionych przez telewizję obrazem komandosa w stylu Rambo. Dowódca jednej z polskich jednostek specjalnych podsumował to krótko: „Moi ludzie używają głów do myślenia – do rozbijania przeszkód mamy inne środki”.

Zdolność do szybkiego i racjonalnego, a przy tym niekonwencjonalnego myślenia w ekstremalnych sytuacjach – mimo stresu, zmęczenia lub przy stałym obciążeniu fizycznym i niedoborze snu – to najważniejsza cecha komandosa. Musi on znaleźć najlepsze i zaskakujące rozwiązanie, przewidywać różne warianty rozwoju wydarzeń, sprawnie i odpowiednio do zachodzących zmian reagować. Umiejętności i wiedza, mimo skrajnie niesprzyjających warunków zewnętrznych, decydują o powodzeniu misji.

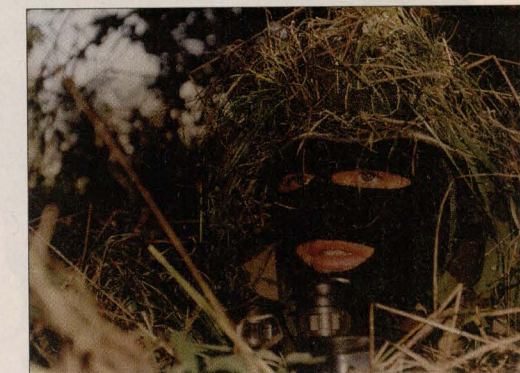
Tylko dla odpornych psychicznie

Grupy specjalne muszą być przygotowane do długotrwałego samodzielnego działania na tyłach wroga przy nikłym kontakcie z własnym zapleczem. Ich pracy towarzyszy napięcie związane z obawą przed wykryciem, osaczeniem, schwytaniem, torturowaniem, śmiercią. Historia pokazuje, że komandosi rzadko mogą oczekiwać w niewoli dobrego traktowania.

Długotrwałe ukrywanie się, osamotnienie i znoszenie skrajnych niewygód o każdej porze roku i przy każdych warunkach atmosferycznych

nie mogą zmniejszać sprawności podczas wykonywania trudnego zadania. Po tym trzeba przede wszystkim ratować życie ucieczką, nie zawsze zakończoną szczęśliwą ewakuacją z wrogiego terytorium. Tylko ludzie o szczególnej wytrzymałości psychicznej są do tego zdolni.

Trudno wyobrazić sobie, by żołnierz słaby psychicznie przetrwał intensywne szkolenie, które ma go przygotować do działań bojowych, by





zniósł te trudy, gdy nie jest to konieczne. Nie każdy zdolny jest też do monotonnego doskonalenia umiejętności, powtarzania po stokroć poszczególnych elementów oraz stawiania czoła wyzwaniom: ryzykownemu szkoleniu wspinaczkowemu, spadochronowemu, nurkowemu i z użyciem broni.

W innych zawodach, a nawet specjalnościach wojskowych wystarczy, osiągnąć pewien poziom, po czym rutynowo wypełniać swoje obowiązki. Służba żołnierzy sił specjalnych to stałe podnoszenie poprzeczki – jak u sportowców wyuczynowych. Tyle że oni ćwiczą przeważnie w komfortowych warunkach, mogą liczyć na regenerację sił oraz opiekę masażystów, lekarzy i psychologów.

Bywa, że kandydaci do służby w oddziałach specjalnych, nierzadko nawet świetni sportowcy czy mistrzowie sztuk walki, rezygnują po pierwszych dniach. Nie przywykli oni do sytuacji, kiedy po kolejnej nocy z godziną snu pada komenda do intensywnego marszu po górach, a po dośściu do celu, zamiast odpoczynku, czeka pokonanie następnego, trudniejszego odcinka, z większym obciążeniem. Brak snu, długi i monotony, pozornie pozbawiony sensu wysiłek fizyczny,



niepewność co do najbliższej przyszłości potrafią zirytować i zniechęcić niejednego kandydata na komandosa.

Zgrane pary

Instruktorzy z sił specjalnych wyszukują zatem takich, którzy – choć niepozorni, uparcie dążą do celu, nawet gdy brakuje im sił. To nie supermeni, ani też nie uczyni ich nimi późniejsze szkolenie. To ludzie o silnej woli i żelaznej wytrzyma-

łości, wykazujący głęboką chęć poświęcenia się trudnemu, nie kończącemu się szkoleniu, gotowi do podjęcia najbardziej ryzykownych zadań.

Z takich ludzi tworzone są grupy i zespoły grup specjalnych. Wbrew kolejnemu filmowemu mitowi o indywidualistach – operacje komandosów to działania zespołowe, bo o sukcesie decydują współpraca i zaufanie. Tylko w wyjątkowych sytuacjach wykonanie części zadania powierza się pojedynczemu żołnierzowi. Regułą jest działanie parami rozumiejącymi się bez słów i organizacja grup oparta na systemie dwójkowym.

Zamachy terrorystyczne w USA i spowodowane nimi działania wojenne w Afganistanie znów zwróciły uwagę opinii publicznej na siły specjalne. Odgrywają one kluczową rolę w pierwszym konflikcie XXI wieku. Jeden z amerykańskich generałów tak określił komandosów: specjaliści ludzkie jako specjalna broń do specjalnych misji.

IRENEUSZ CHLOUPEK
Fot. Marek Strzałkowski

Zdjęcia wykonano podczas reportażu przygotowywanych przez Militarny Magazyn Specjalny „Komandos”.

WHO IS WHO, CZYLI SIŁY SPECJALNE WP

GROM (Grupa Reagowania Operacyjno-Mobilnego) – formacja do operacji specjalnych, wyspecjalizowana w działaniach antyterrorystycznych. Utworzona w 1990 r., początkowo w MSWiA, z pomocą rządów i sił specjalnych USA oraz Wielkiej Brytanii, w 2001 r. podporządkowana MON. Przyjęła tradycje cichociemnych spadochroniarzy Armii Krajowej, szkolonych w latach 1940–1945 na terenie Wielkiej Brytanii.

1. Pułk Specjalny Komandosów w Lublińcu – jednostka rozpoznawczo-dywersyjna wojsk lądowych powstała w miejsce rozwiązanych w 1994 r. 1. Samodzielnego Batalionu Specjalnego (Szturmowego) oraz 48., 56. i 62. Kompanii Specjalnych, podporządkowanych dowództwom okręgów wojskowych. Kontynuuje tradycje 1. Samodzielnej Kompanii Commando, zorganizowanej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie (1942–1944), Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR (1943–1944) i Batalionu Dywersyjnego AK „Parasol” (1944).

Grupa Specjalna Płetwonurków Marynarki Wojennej – zwana popularnie Formozą – utworzona w 1975 r. jednostka morskich komandosów-płetwonurków bojowych do prowadzenia rozpoznania i działań dywersyjnych głównie na rzecz MW wzdłuż wybrzeża. Żołnierze w czerwonych beretach z 6. Brygady Desantowo-Szturmowej i 25. Brygady Kawalerii Powietrznej, popularnie zwani również komandosami. Faktycznie nie są nimi, gdyż ich jednostki nie zaliczają się do sił specjalnych, lecz do wojsk aeromobilnych, czyli lekkiej piechoty, przeszkolonej jedynie do przetrwania na pole walki częściowo jak desant spadochronowy, a częściowo śmigłowcami, nie przeznaczonej ani nie przygotowywanej do działań specjalnych.



V MIĘDZYNARODOWY KONKURS WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI KAMERALNEJ imienia KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Patronat Honorowy
Minister Kultury

Marszałek Województwa Mazowieckiego

Mecenat

Urząd Marszałkowski Województwa Mazowieckiego



KONCERT GALOWY

Sala Kameralna Filharmonii Narodowej
w Warszawie
2 grudnia 2001, godz. 19.30

Gość specjalny
GRIGORIJ ŻYSLIN

Sponsorzy:

GRUPA ZASADA

wprost

ams

PZU

Wawel

FORTIS BANK

Media Patroni:
PRZEKRÓJ PAP THE WARSAW VOICE

e.pl AKTIVIST Radio dla Ciebie

Profit

TEKST ALEKSANDRA ZDROJEWSKA, ZDJĘCIA RAFAŁ MILACH

Książę z bajki tu nie przyjedzie

Familok, w którym żyją, był w zeszłym roku śrubowany wpół, żeby się nie rozpadł. Stary budynek. Stare schody i wspomnienia dawnych, lepszych lat.

Bytomski tramwaj nr 6 staje przy ul. Siemianowickiej. Stąd już widać długie, wysokie, charakterystyczne budynki. Stare bloki, z framugami okien pomalowanymi na biało, zielono, czasem na żółto. Ten przy Siemianowickiej 21 ma osiem bram. To familoki, domy budowane u zarania wieku dla rodzin górniczych. Mieszkają tu z pokolenia na pokolenie.

Z okien wychylają się trzy kobiety: z pierwszego – matka, z drugiego – córka, z trzeciego – sąsiadka. Pod łokcie podkładają poduszki, aby nie bolały ramiona. Czasem w oknie przesiedzi się i parę godzin, jak nie ma co robić. Bezrobocie wielką falą przetacza się przez zakurzone miasto, kopalnie zamykają, bo podobno węgla brakuje.

Życie na korytarzu

Mieszkania w takim familoku są przestronne. Wysokie sufity, duże pomieszczenia. Ale miejsca brakuje. U Jadwigi Gryzik, wdowy z trójką dzieci, mieszkają dwie rodziny: w jednym pokoju pani Jadzia z córkami Karoliną i Patrycją, w drugim, mniejszym – 23-letnia córka Agnieszka z mężem i 2-letnim Przemkiem. Duży pokój ma ponad 20 metrów, kuchnia z piętnaście, drugi pokój też wcale nie mniejszy od kuchni, i szerszy. W najgorszym stanie jest łazienka. Tu by się od dawna przydał remont, ale nie ma pieniędzy.

– Kiedyś największe u nas to były korytarze i właśnie tam skupiało się życie sąsiadów – wspomina pani Jadwiga. – Wystawialiśmy ławy, krzeselka i siedzieliśmy wszyscy, jak w ro-

dzinie. Już dawno tak nie ma, każdy ciągnie do swoich, ludzie zamykają się u siebie. Niektórzy poszerzyli mieszkania kosztem korytarzy.

– Ja pamiętam – mówi Agnieszka Beger, córka Jadwigi – jak to było. Czasem tata z kopalni wracał i nawet nie szedł do domu, tylko od razu na podwórko. Z sąsiadami ognisko żeśmy rozpalali i się tak w piątek czy sobotę siedziało na dworze. Albo to pamiętam, jak na korytarz mama kawę wynosiła i ciasta. Teraz już tego nie ma. Szkoda.

Wyjechać stąd

Pani Jadwiga z żalem wspomina czasy, gdy żył mąż, gdy górnicy byli siłą.

– Teraz co mi zostało? – pyta. – Mąż zmarł w 1993 na serce, taki był zawsze zdrowy, a tu nagle zawał i po nim. Mam 1060 zł renty. Co za to kupić, jak się rachunki popłaci? – zamyśla się. – Przyszły na nas ciężkie czasy. Kiedyś to przynajmniej sąsiad sąsiada poratował, pomógł mu finansowo. Mi też, wdowie, ludzie pomagali. Ale teraz już taka bieda, że nawet jak ktoś do kogoś przyjdzie, to już obiadem się nie częstuje, tylko się czeka, aż goście pójda i wtedy daje się jeść swoim. Ratujemy się tylko dobrym słowem. To też ważne.

Ostatnio Jadwiga złamała nogę. Tak jakoś nieszcześnie stanęła. Zastanawia się, czy to nie osteoporoza. Ma przecież 43 lata, to może już czas na to? No bo żeby od stąpienia nogę złamać? Przez to kilka tygodni w domu przesiedziała, nawet do sklepu było jej trudno pójść. Dobrze, że są córki.



Najstarsza, Agnieszka, jest z nich najbardziej zapracowana, bo ma już swoją rodzinę i malutkie dziecko, którego wszędzie pełno.

Karolina ma 17 lat i uczy się w szkole zawodowej gastronomicznej.

– Jak tylko będę dorosła, to stąd wyjadę. W Wałbrzyskie – komunikuje buntowniczym tonem. – Tu nie mam co robić. Muszę uciekać, gdzie ciekawiej. Co będę robiła? A nie wiem, coś zawsze. Gotowała będę.

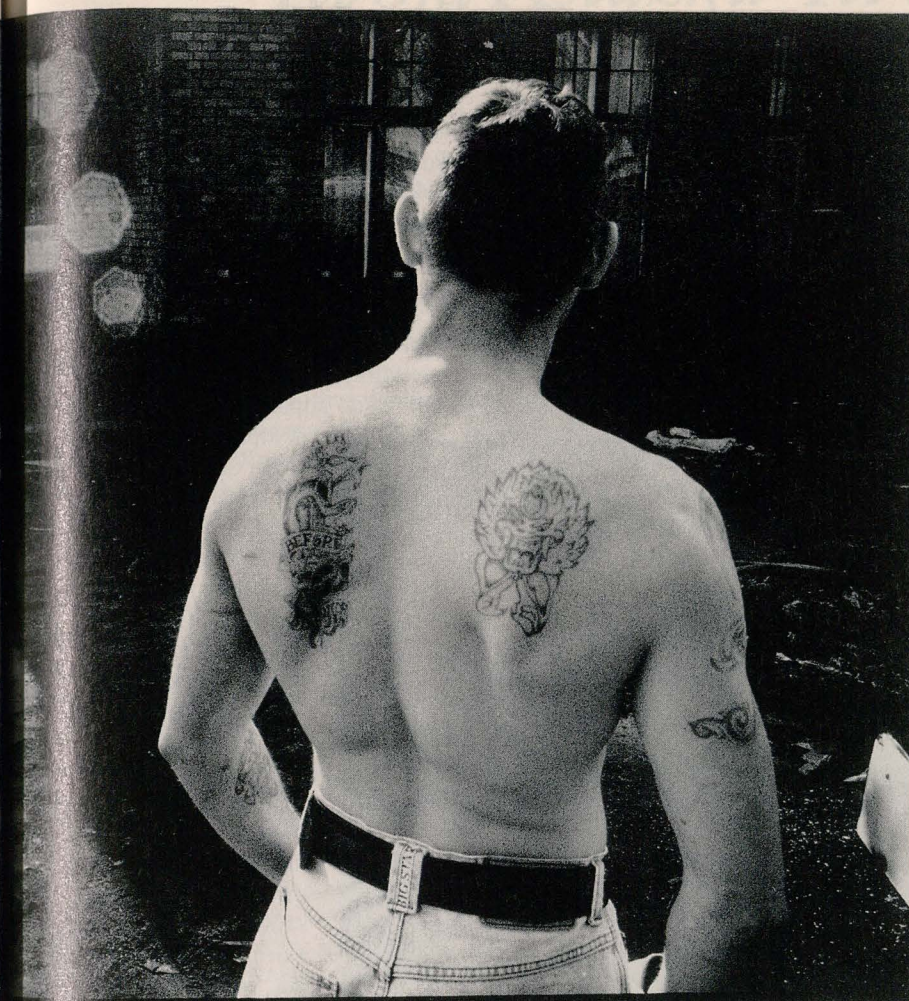
– Możesz być kelnerką, jak ja kiedyś – mówi matka.

– Nie chcę, to za ciężka praca.

Patrycja ma 15 lat i jeszcze uczy się w gimnazjum. Pokazuje starannie prowadzony zeszyt. – Lubię się uczyć – mówi z uśmiechem. – Może kiedyś będę nauczycielką. Zostanę na Śląsku. Tu mama, tu siostra, tu Przemek, dla którego jestem ciocia.

Pani Jadwiga tłumaczy starszą córkę, że to nic dziwnego, iż chce wyjechać. Wciąż stąd wyjeżdżają. Wielu z tych, co tu przybyli za chlebem i go nie znaleźli, wyjechało do Niemiec. Ona wciąż słyszy, że ktoś wyjeżdża. Nie ma się co dziwić.

– Gorole i werbusy już zrozumieli, że nie ma tu po co zostawać. Zostaną tylko prawdziwe hanysy – mówi Agnieszka.



Żyje tu około 100 rodzin, w niektórych mieszkaniach po dwie familie.

Gorole – to znaczy wszyscy ci, którzy nie są ze Śląska (nie mylić z góralami), a werbusy – to pogardliwa nazwa tych, którzy przyjechali na Śląsk tylko po to, by się dorobić. Hanysy to prawdziwi Ślązacy.

Ciężkie powietrze, ciężkie czasy

Wanda Walczakowa pamięta, że jak przyjechała tu z mężem z czystego Poznańskiego, dwa miesiące chorowała na gardło i płuca. Takie powietrze było ciężkie. Lekarz kazał jej wracać, skąd przyjechała, ale ona chciała zostać. Więc zostali. To już 45 lat.

– Na początku, jak mama do mnie przyjechała, to tylko dwa tygodnie wytrzymała i już chciała wracać. „Gdzieś ty dziewczyno osiadła, przecież to miasto wnet się całe zawali w dół, do kopalni!” – mówiła i łapała się za głowę – wspomina Paczkowa. – Gryzło ją powietrze, przeszkadzał hałas.

Bo tak się złożyło, że kiedy przyjechała, to akurat w kopalni Rozbark było tapnięcie. A już tak tutaj jest, że jak w kopalni coś się zawali, to całe mieszkania się zatrzęsą, i bloki w posadach, i słychać taki głuchy huk, gdzieś pod ziemią.

Tak jest co kilka miesięcy.



Na podwórku przed familokiem.

– Idzie się przyzwyczaić do wszystkiego. Do tego powietrza też – mówi pani Jadwiga. – Już nawet nie czuję, że mi coś przeszkadza w oddychaniu, tylko przyjeżdżnym gorolom przeszkadza. Ale nasze dzieci wysyłałimy do zielonych szkół, żeby sobie dobrym powietrzem pooddychały – dodaje. – Tylko że to dro-

gie było. Osiem lat temu miałam 3 mln 100 tys. renty, a dwutygodniowa zielona szkoła dla Karoliny kosztowała 4 mln 500 tys. zł. Skąd to miałam brać? Zapożyczyłam się. Więcej córka na żadne kolonie ani zielone, ani normalne, nie pojechała. Nie ma za co.

30, 20, jeszcze 15 lat temu, to były najlepsze czasy dla górników i ich rodzin. Jest co wspominać.

– Co roku jeździliśmy na wczasy, na kolonie – wspomina Aneta Greczyło, córka górnika i żona górnika. – Dzieciństwo miałam, że tak powiem, obfite, niczego nam nie brakowało. Ale kiedyś być górnikiem i dzisiaj to dwie różne sprawy. Jak wyszłam za mąż, przecież też za górnika, to ani razu jeszcze na wczasach nie byliśmy. Nie stać nas. Kiedyś to były bonusy, kartki, premie, książeczki górnicze. Teraz nie ma.

Aneta otwiera drzwi do sąsiadującego z Jadwigą mieszkania. Tu też są dwa pomieszczenia, ale mniejsze. Czysto, ładnie, kolorowe tapety na ścianach, kafelki w łazience.

– Mąż właśnie wstał – mówi Aneta. – Wrócił nad ranem z nocki, teraz dam mu obiad.

Mąż Anety pracuje tylko w nocy, tak wybrał. Wychodzi o 23, wraca o 8. Początkowo brał do pracy kanapki, teraz bierze tylko soki.

– Mówi, że nie będzie w nocy jadł – wzdycha Aneta. – Rano wraca, to się kładzie, wstaje na obiad. Lubi, jak mu coś dobrego ugotuję.

Tu, na Śląsku, najpopularniejsza jest rolada. Robiło się ją zawsze z mięsa wołowego, ale teraz, ze względu na chorobę szalo-

nich krów, mało kto kupuje mięso wołowe. Roladę się teraz robi z wieprzowego. Rozbija się mięso tłuczkiem, na to kładzie boczek i cebulę, i zawija się, można opleść niemi. Mąż pani Anety lubi też tradycyjne kluski śląskie, z ziemniaków i maki, i czerwoną kapustę.

- Różne rzeczy gotuję, lubię to - mówi Aneta. - Zresztą mam czas. Siedzę z dzieckiem w domu. Jest co robić. Niedługo mój synek będzie miał siostrzyczkę lub braciszka.

Pani Aneta jest z zawodu pielęgniarką. Po urodzeniu dziecka już nie wróciła do pracy, a teraz i tak by jej nikt nie przyjął. Nie ma etatów.

- Zaczęłam sobie dorabiać w Avonie, za-
wsze przyda się trochę grosza - dodaje.

Album ze zdjęciami

U Gryzików za szybką segmentu stoją zdjęcia. Na jednym jest Karol Gryzik, mąż Jadwigi, na drugim - ojciec męża, Szczepan, wzorowy górnik.

- Artykuły o teściu w gazetach pisali - pani Jadwiga rozkłada na stole poźółtką „Gazetę Kopalni Rozbark” z lat 70. - Ten artykuł z 1978 - wskazuje palcem tekst na całą stronę ze zdjęciami - był napisany z okazji jego 17 lat służby ratowniczej w górnictwie. Górników ratował.

- Dziadek Szczepan czasem żarty robił, przychodził taki umorusany i nas straszyl. I ładne bajki opowiadał - zamyśla się Agnieszka. - O Skarbniku, dobrym duchu kopalni, o złych duchach, o mądrych i głupich sztygarach. O morowej dziewczynie w Cieszynie, o zbójniku Ondraszku... Różne. Ciekawie było.

Co zostało z tamtych lat, gdy o dziadku Szczepanie gazeta pisała? Album o kopalni Rozbark, ze starymi czarno-białymi zdjęciami dziadka w pracy. Szczepan z kolegami przed kopalnią, Szczepan w ubiorze górnika i kasku przed węglowymi blokami, z kilofem, Szczepan ze sztygarem pod ziemią. No i w czasie Barbórki. Dziadek Szczepan stoi wraz z innymi w odświętnym stroju górnika z charakterystycznym nakryciem głowy.

Strój odświętny żaden się nie zachował, ani Szczepana, ani Karola.

- Nie ma miejsca, żeby to wszystko trzymać - mówi Jadwiga.

Jeśli chcemy zobaczyć odświętny strój górnika, to przyniesie nam go sąsiad, Jerzy Muro-

wany, też górnik. Długie lata pracował na kopalniach w Bytomiu, ale potem powiedział mu, że węgla nie ma i pracy nie ma. Więc teraz jeździ do kopalni w Czechach. Od tego czasu sytuacja rodziny Jerzego Murowanego bardzo się polepszyła. Stać go i na samochód, którym co dzień dojeżdża do pracy, i na lepsze życie. Jest za co utrzymać żonę i dziecko.

Murowany ubiera strój górnika, prezentuje się z zadowoleniem:

- I co? No, babki, róbcie mi kawę.

Jerzy Murowany opowiada, że kiedyś to nie tylko mężczyźni na dole pracowali, ale

co innego robić, więc poszły do kopalni. Ale to było dawno.

- Mama nawet sobie legitymację podrobiła, że niby jest o rok starsza i ma już 18 lat, żeby ją tylko przyjęli. I przyjęli - wspomina Jadwiga.

Szuka w albumie zdjęć matki, chce ją pokazać. Ale zdjęć nie ma.

Stary świat

W familokach żyje się trochę tak, jakby czas się zatrzymał. Te przy ul. Siemianowickiej należą do kopalni Rozbark. Familok,

w którym żyje rodzina Jadwigi Gryzik, Wandy Walczakowej, Anety Greczyło i Jerzego Murowanego, był w zeszłym roku śrubowany wpół, żeby się nie rozpadł. Stary budynek. Stare schody, które trzeszczą przy wchodzeniu. Klatki schodowe od lat nie remontowane, drzwi na podwórko zachowały się tylko w połowie. Żyje tu około 100 rodzin, w niektórych mieszkaniach po dwie rodziny. Niektórzy sami malują framugi okien, odnawiają mieszkania. Inni mówią, że budynek będzie w końcu rozebrany, tak jak dwa inne stare familoki.

Ale Jadwiga nie bardzo wierzy, żeby trzeba było budynek rozbierać. Mimo że ma chyba ze sto lat, to jeszcze długo wytrzyma.

- Zresztą, kto chciałby się przenosić na stare lata? Ja nie. Niedługo to u nas będzie luźniej, bo Agnieszka się wyprowadzi z mężem na swoje, już mają nawet mieszkanie. Zostaniemy we trzy baby, ja z dwoma córkami, no i z psami. A zresztą Karolina za rok kończy 18 lat i też mówi, że wyjedzie.

Przed familokiem przy Siemianowickiej 21 bawią się dzieci. Co pół godziny słychać jadący

tramwaj, czasem ulicą przejedzie samochód. Kobiety wychylają się przez okna, widać z nich szyby kopalni. Poprawiają złote pierścionki na palcach. Wyglądają... Żaden książę tu jednak nie przyjedzie...

ALEKSANDRA ZDROJEWSKA



....to miasto wnet się całkowicie zawali w dół, do kopalni”.

i kobiety. Znajoma jego matki to nawet do siódmego miesiąca, bo nie było jakichś szczególnych rygorów chroniących ciężarne kobiety. Sztygar ją oszczędzał, ale pracowała.

W kopalni spędziła też kilka lat matka pani Jadwigi i ciocia też. Nie było za bardzo

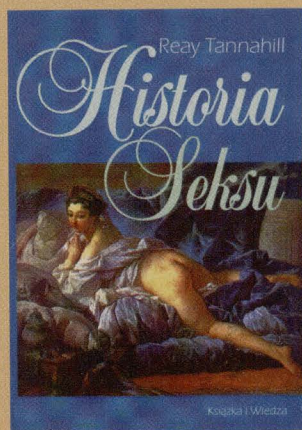
Twoja Książka Twoja Wiedza

REAY TANNAHILL

Historia seksu

Bogactwo życia seksualnego człowieka przedstawia autorka na tle epok, które je zrodziły. Pisz m.in. o szczególnych gustach erotycznych Greków, taoistowskich podręcznikach seksu, indyjskich zaleceniach mistrza Watsjajamy, wyuzdaniu pozornie tylko purytańskiej Europy XIX w., współczesnych praktykach i preferencjach miłosnych. Książka napisana bez cienia pruderii, a zarazem taktownie i z humorem.

Cena det. 59,80



Brian Chichester, Kenton Robinson,
i wydawcy Men's Health Books

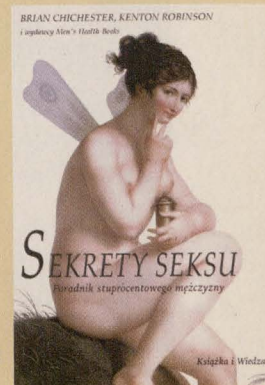
Sekrety seksu. Poradnik stuprocentowego mężczyzny

Dzięki tej książce:

- * odkryjesz na nowo swoją partnerkę;
- * dowiesz się, czego pragną kobiety;
- * otrzymasz gotowe recepty na romantyczny wieczór i upojną noc;
- * zwiększysz swą atrakcyjność seksualną;
- * spełnisz najszybsze marzenia i fantazje;
- * miłość będzie radością.

Idealny prezent dla mężczyzny.

Cena det. 28 zł



Zbigniew Landowski

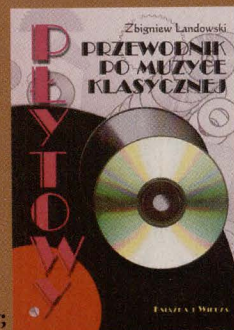
Przewodnik płytowy po muzyce klasycznej

Pierwszy tego typu przewodnik na polskim rynku - można w nim znaleźć informacje:

- * o najlepszych i - w miarę możliwości - najtańszych płytach CD z muzyką klasyczną;
- * o muzyce klasycznej w Internecie;
- * biografie największych kompozytorów i wykonawców;
- * słownik pojęć i terminów muzycznych.

Książka wprowadza znakomicie w świat muzyki klasycznej zapisanej na płytach i jest cennym vademecum, zwłaszcza dla wszystkich miłośników muzyki klasycznej.

Cena det. 55 zł

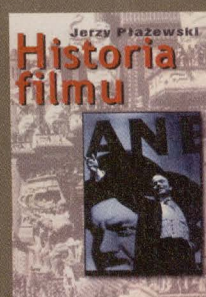


Jerzy Płazewski

Historia filmu

Poznaj sekrety najlepszych reżyserów, kariery i najgłośniejsze role gwiazd kina. Odkryj tajemnice związane z produkcją największych hitów filmowych. Encyklopedia sztuki filmowej, polskiej i zagranicznej, piąte wydanie uzupełnione przez autora dziejami filmu w ostatnich ośmiu latach. Książka bogato ilustrowana, zawiera indeksy nazw wszystkich wymienionych filmów w wersji oryginalnej i polskiej. Miłośnicy kina często zadają sobie pytanie: co dziś obejrzeć albo co nagrać dla domowej filmoteki? Ta książka ułatwi im wybór.

Cena det. 84 zł



Rupert Sheldrake

Niezwykłe zdolności naszych zwierząt

Psy, które wyczuwają zbliżający się powrót właściciela; koty, które rozpoznają telefon od osoby, do której są przywiązane, konie, które w nieznanym terenie odnajdują drogę do domu; zwierzęta, które przewidują trzęsienie ziemi i inne klęski żywiołowe, a także nagłe zgony, wypadki i choroby swych właścicieli - wszystko to świadczy o istnieniu pewnych zdolności leżących poza zasięgiem współczesnych metod poznania naukowego. Takie zdolności ma też Twój ulubieniec. Z tą książką możesz je odkryć.

Cena det. 36 zł



Jerzy A. Masłowski

Chwila dla urody, czyli starochińskie metody pielęgnacji ciała i... ducha

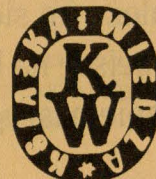
Poznaj naturalne sposoby poprawiania urody, sylwetki i samopoczucia oraz leczenia rozmaitych dolegliwości, wywodzące się z tradycyjnej medycyny chińskiej. Chińscy lekarze nie proponują cudownych recept, tajemniczych mikstur czy magicznych ekstraktów. Przywracają zdrowie, zalecając pacjentom ogólnie dostępne produkty żywnościowe oraz popularne przyprawy i zioła, dzięki którym skóra odzyska piękny wygląd, włosy - połysk, a oczy - blask. Skuteczność tych metod sprawiła, że coraz powszechniej stosują je europejskie i amerykańskie gabinety odnowy biologicznej, szpitale i kliniki.

Cena det. 20 zł



Prowadzimy sprzedaż wysyłkową. Wystarczy zadzwonić lub napisać.
Koszt przesyłki pocztowej pokrywa wydawnictwo.

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, ul. Smolna 13, 00-375 Warszawa
tel. (0-22) 827-94-17, fax (0-22) 827-94-16
e-mail: promocja@kiw.com.pl http://www.kiw.com.pl





Zespół The Jefferson Airplane – psychodeliczni rockandrollowcy.

WOJTEK KLIMCZYK

Whitman, bop i czarne okulary

Siła BEAT GENERATION opierała się na przyjaźni, twórczej krytyce i wierze we własną działalność. Łączyła ich chęć zerwania z mieszczańskim społeczeństwem.

Należy im się pamięć i miejsce na kulturalnej mapie naszego stulecia.

Rok 1945, kończy się druga wojna światowa. Gdy pilot Enola Gay, samolotu, który dokonał rzutu bomby atomowej nad Hiroszimą, dowiaduje się, jaki był cel misji, popętnia samobójstwo. Prezydent Harry Truman spoziiera jednak ze zdjęć pocziwym, łagodnym wzrokiem. Ameryka zwyciężyła, czeka nas radosna przyszłość.

Narodziny nowego ruchu

Wraz z postępow technicznym zdecydowanie zmienia się codzienność. Amerykę tamtych czasów znamy z licznych sentymentalnych filmów, takich jak „Cudowne lata” czy „Grease”. Dostatek i prosperity zawdzięcza

Ameryka przede wszystkim wojnie. Wielkie korporacje zarządzane przez rzesze menedżerów są podstawą amerykańskiej gospodarki. Żyje się według modelu: praca w biurze od dziewiętej do piątej, domek na przedmieściach i samochód typu kombi. Klasa średnia rośnie w siłę. Jednakowi ludzie dzielą czas między pracę, oglądanie telewizji i pikniki, na których smażą jednakowe hamburgery.

Właśnie wtedy na nowojorskim Uniwersytecie Columbia spotykają się Jack Kerouac, Allen Ginsberg, William S. Burroughs i Neal Cassady. Łączy ich niechęć do stylu życia pokolenia ich rodziców, poszukują czegoś prawdziwego, w co warto byłoby się zaangażować całym sercem. Staną na czele nowego ruchu,

w literaturze nazwanego później Beat Generation, i wywrą znaczący wpływ na całą amerykańską kulturę.

Określenia Beat Generation po raz pierwszy użył Jack Kerouac w rozmowie z innym pisarzem, Johnem Clellonem Holmesem, w roku 1948. Zdefiniował je zaś w cztery lata później w sławnym liście do Ginsberga. Określał nim ludzi, którzy dorastali w latach drugiej wojny światowej. Sponiewieranych i wypalonych przez jej skutki, zagubionych i nie chcących przystosować się do powojennej rzeczywistości. Młodych, którzy zaszuchani w be-bopie i zaczytani w wierszach Walta Whitmana chcieli pędzić życie swobodne, rezygnując z tego, o co przez całe życie zabiega większość ich rówieśników.

„W drodze” – manifest pokoleniowy

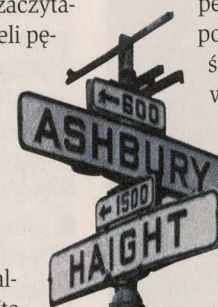
Beat Generation rozpoczyna działalność pod koniec lat czterdziestych. Wtedy Kerouac i Cassady odbywają swoją wielką podróż opisaną przez tego pierwszego w jego najśłynniejszej książce-bestsellerze „W drodze”. Podróż ta staje się sposobem na życie, realizacją marzeń, buntem przeciwko skostniałej, mieszczańskiej Ameryce.

I choć bunt ten jest w gruncie rzeczy naiwny i niewinny, nie ma to większego znaczenia. Obaj wyrażają wszak tęsknoty nie tylko bohaterów książki, ale i całej rzeszy młodych Amerykanów. Wielu młodych ludzi postanowiło wziąć przykład z Sala Paradise i Deana Moriarty i ruszyć na wędrowkę, która była próbą wyrwania się z marazmu rodzinnych miast i miasteczek.

„W drodze” przez kilka lat odrzucali wydawcy jako powieść zbyt śmiałą, chaotyczną, odległą od tradycyjnych wzorów. Opublikowano ją dopiero w 1957 r., siedem lat po jej ukończeniu i po wprowadzeniu przez wydawcę

licznych zmian (Kerouac napisał powieść na jednym arkuszu papieru długości 76,2 m, nie przejmując się zbytnio zasadami pisowni).

Autor, wzorując rytm swojej prozy na żywym języku Cassady’ego, starał się uwolnić od istniejących konwencji narracyjnych. Pisał o podróży tak, jak ona przebiegała – bez pauz, gwałtownie, w zmiennym tempie, bez upiększeń, a czasem i bez zastanowienia. To stosunkowo jeszcze nieśmiało uwolnienie języka miało być próbą stworzenia własnego stylu, który złamałby istniejące normy. Eksperymenty Kerouaca zostały później podjęte i doprowadzone do skrajności przez Burroughsa, którego powieści mogą i dziś szokować zarówno tematyką, jak i stroną formalną. Ale nawet pomimo przepaści, jaka dzieli „W drodze” i „Nagi lunch”, obie książki są swoistymi manifestami nowego sposobu myślenia o życiu i świecie.



Rozmowy o sztuce, miłości i sensie życia

Beat Generation była niezbyt liczną, ale prężną grupą. Tworzących ją artystów łączyły niezwykle ścisłe i intensywne więzy. Łączyła ich świadomość wspólnego celu, czyli tego, by żyć po swojemu. Razem bawili się na zwariowanych imprezach, gdzie królowała wolna miłość i długie rozmowy o szukaniu prawdziwego sensu życia. Razem chodzili na koncerty, na których słuchali czarnych nowatorów jazzu, w rodzaju Charlie Parkera, Dizzy’ego Gillespiego czy Milesa Davisa. Czasem nawet tworzyli razem (wspólna powieść Burroughsa i Kerouaca „And the Hippos were Boiled in their Tanks” czy też narkotyczna korespondencja Ginsberga z Burroughsem, opublikowana pod tytułem „Yage Letters”), dzieląc się pomysłami i zachęcając nawzajem do eksperymentów. To



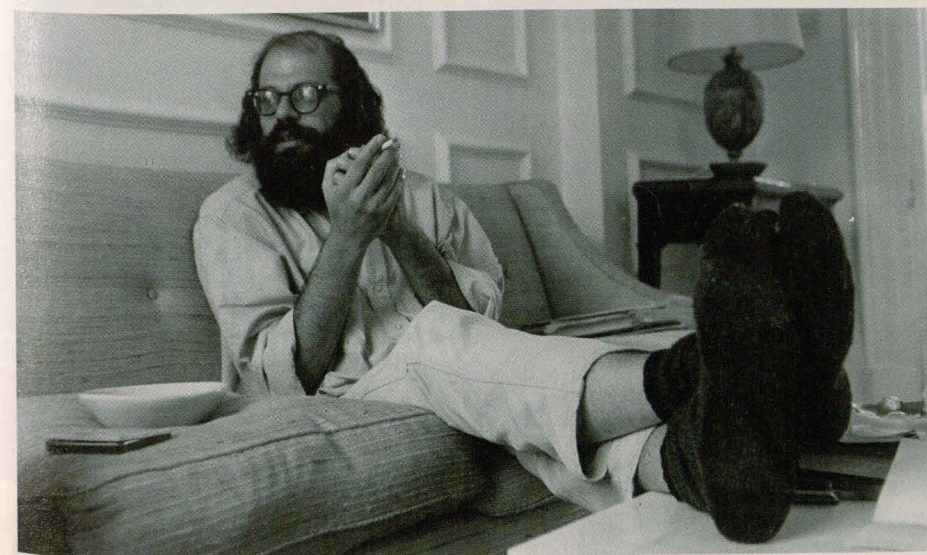
Jeanne Moreau i Miles Davis.

jednolite środowisko było silnym źródłem inspiracji dla młodych artystów zbuntowanych przeciw Ameryce Eisenhowera i McCarthy’ego, rozsiadanych po całym kontynencie. Sami pionierzy ciągle podróżowali, przenosząc się z Nowego Jorku do San Francisco, zahaczając po drodze o Denver czy Teksas, gdzie Burroughs miał farmę. Poszerzali przy tym swoją grupę o kolejnych utalentowanych pisarzy i poetów.

Właśnie w San Francisco Lawrence Ferlinghetti, jeden z najstarszych i najbardziej znanych poetów Beat Generation, założył wraz z Peterem Martinem księgarnię „City Lights”, która działa do dziś w tym samym miejscu i przy której z czasem powstało niewielkie wydawnictwo. Pod nazwą City Lights wychodziła sławna „Pocket Poets Series” (seria poetów kieszonkowych), w której ukazały się między innymi „Skowyt i inne wiersze” Ginsberga, „30 Spanish Poems” Kennetha Rexrotha czy „Pictures of the Gone World” samego Ferlinghettiego. Wcielenie w życie zasady DIY (do-it-yourself), czyli „zrób to sam”, pozwalało na publikowanie utworów bez ingerencji cenzorów, na nieskrępowaną ekspresję, na protest przeciwko wszystkiemu, co uznawano za fałszywe. I choć łączyło się to często z problemami natury prawnej, jak choćby proces wytoczony Ginsbergowi w związku z uznaniem poematu „Skowyt” za niecenzuralny, a także z nieprzychylnymi reakcjami prasy, twórczość Beat Generation zyskiwała coraz większą popularność.

Odmieńcy

Pisarze na początku lat pięćdziesiątych stanowili grupę „podziemnych”, która rezygnowała ze swojego miejsca w „wyścigu szczurów” na



Allen Ginsberg

FOT. KEYSTONE FRANCE/BEAUF



Neal Cassady i Jack Kerouac w 1952 r.

rzecz rozmów o sztuce, miłości i sensie życia. Ginsberg, najlepiej wykształcony z nich wszystkich, potrafił godzinami rozprawiać o literaturze, opowiadać o wielkich twórcach. Kerouac, obdarzony największym talentem literackim, pisał kolejne powieści, tworząc kronikę swojego pokolenia. Burroughs wprowadzał młodszych od siebie pisarzy w świat narkotyków. Gregory Corso zdobywał serca wszystkich kobiet, a Neal Cassady, choć nie wydał za życia żadnej książki, był jednak dobrym duchem i kierowcą podczas ich głośnych podróży.

Kontestacyjny charakter grupy objawiał się praktycznie w każdej sferze ludzkiego życia, od sztuki poczynając, a na seksualności kończąc. Barwne postacie pionierów Beat Generation pojawiają się we wspomnieniach wielu ludzi. Ronald Sukenick, znany amerykański pisarz, opisuje na przykład wiele kawiarni i knajp, w których artyści ci się spotykali. Przytacza wypowiedzi Ginsberga i Corso, przywołujące klimat tamtego Nowego Jorku, przyjaźni i antypatii, dyskusji i pijatyk.

Niewyczerpanym źródłem informacji są książki samego Kerouaca. Pojawiają się w nich wszyscy, którzy odegrali jakąś rolę – pisarze, poeci, intelektualiści. I kobiety. Widać, że funkcjonowali oni jakby poza nawiasem społeczeń-

stwa, w oderwaniu od większości zjawisk, z których Ameryka była dumna.

Skandaliści

Kerouac złamał zasady klarowności prozy, ale w łamaniu konwencji i obyczajowego tabu celował jednak Burroughs, zdeklarowany narkoman i homoseksualista. Zaczął pisać po trzydziestce, eksponując wrodzoną fascynację okrucieństwem i wszystkim, co ekstremalne. Jego pierwsza powieść „Čpun” została wydana przez przyjaciela wuja Ginsberga. Druga, „Pedał”, nie miała już tyle szczęścia. Po śmierci żony, którą Burroughs zastrzelił z łuku, bawiąc się w Wilhelma Tella, przy pomocy Kerouaca i Ginsberga powstał „Nagi lunch”. Książka wywołała skandal. Scenom stosunków homoseksualnych towarzyszą słowa amerykańskiego hymnu. Pederaści owijają się amerykańską flagą, a amerykańska służba zdrowia ukazana jest jako brutalna, krwawa jątka.

Ekscesy na imprezach czy w barach były na porządku dziennym. Sukenick opisuje na przykład, jak w jednym z barów powieszono napis „Beatnikom wstęp wzbroniony” po tym, jak Jack Kerouac oddał publicznie mocz do wysokiej popielniczki.

POLSKIE PRZEKŁADY BEATNIKÓW

Obfita twórczość literacka Beat Generation nie ma, niestety, zbyt wielu polskich przekładów. Długo nie publikowano ich ze względów cenzuralnych, kiedy natomiast stało się to możliwe, zainteresowanie nimi nie było zbyt duże.

Chyba pierwszym tomem prezentującym dorobek poetów beatnikowskich była przygotowana przez Teresę Truskowską antologia „Wizjonerzy i buntownicy. Wiersze współczesnych poetów amerykańskich”, wydana przez Wydawnictwo Literackie w 1976 roku. Oto kilka innych tytułów:

- „Drogi karmy i ścieżka dharmy. Antologia poezji buddyjskiej Ameryki”, Katowice 1993;
- J. Kerouac, „W drodze” 1993, „Włóczędzy Dharmy” 1994, „Podziemi” 1995;
- A. Ginsberg, „Utwory poetyckie”, Kraków 1984, „Znajomi z tego świata”, Kraków 1993;
- L. Ferlinghetti, „Wiersze”;
- W. Burroughs, „Nagi lunch” 1994;
- Ch. Bukowski – kolejne tomy jego dzieł ukazują się w wydawnictwie Noir Sur Blanc;
- R. Brautigan, „Łowienie pstrągów w Ameryce”;
- T. Wolfe, „Próba kwasu w Elektrycznej Oranżadzie” – powieść o Kenie Keseyu;
- Sporo tekstów twórców Beat Generation znaleźć można w trzech podwójnych numerach krakowskiego pisma literackiego „NaGłos”: 9–10, 18–19, 26–28.

Ginsberg spędzał większość czasu ze znajomymi Burroughsa, przeważnie narkomanami, w okolicach nowojorskiego Times Square, eksperymentując z benzydryną i marihuaną oraz odwiedzając gejowskie bary. Gregory’ego Corso najłatwiej było odnaleźć śpiącego z głową na stoliku w jakiejś knajpie.

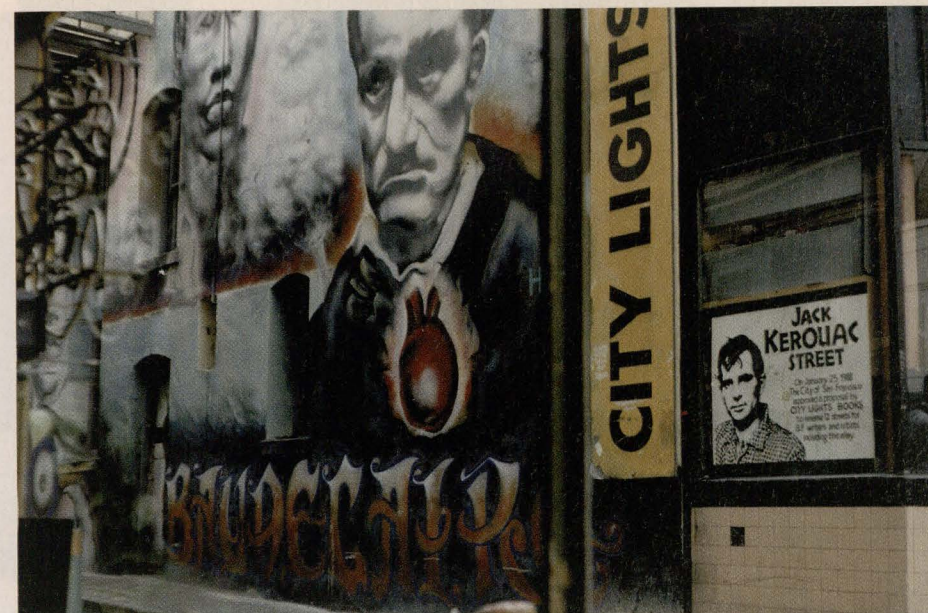
Większość małżeństw trwała nie dłużej niż kilka miesięcy. Preferowano wolne, nieskrępowane związki. Coraz odważniej niektórzy członkowie bohemy akcentowali swój homoseksualizm. Silny obecnie ruch emancypacji gejów i lesbijek wydaje się wiele zawdzięczać właśnie Ginsbergowi i Burroughsowi. W Nowym Jorku powstała grupa pisarzy gejowskich z Edmundem White’em na czele, która kilka lat temu święciła prawdziwe triumfy, stając się objawieniem w światku literackim.

Poszukiwacze duchowego ognia

Członkowie Beat Generation, rozczarowani skostniałym chrześcijaństwem, szczególnie w protestanckim wydaniu, szukali prawdziwej żarliwości, ognia, który ogarnąłby ich dusze. Mieli w sobie wielką potrzebę mistycyzmu. W ich oczach religia przodków zbankrutowała, stojąc po stronie ustalonego porządku i sankcjonując „amerykański sen”. Stąd rosła stopniowo wśród nich fascynacja Wschodem i jego filozofią.

W latach pięćdziesiątych buddyzm zen, który wśród pisarzy Beat Generation zaszczepił poeta Gary Snyder, wydawał się autentycznie odpowiadać potrzebom młodych artystów. Byli oni pod wielkim wrażeniem wewnętrznego spokoju, do którego dochodzili mistrzowie zen na drodze medytacji. Filozofia buddyjska, będąca dla większości beatników (w wielkim i krzywdzącym dla buddyzmu uproszczeniu) rodzajem pozytywnego myślenia z elementami ekologizmu, łatwo przyjęła się na gruncie amerykańskim, przesiąkniętym ideami Thoreau i Emersona.

Na buddyzm przeszli Ginsberg i Kerouac, choć ten drugi właściwie tylko pod wrażeniem osoby Snydera (po jakimś czasie rozczarowany autor „W drodze” powrócił do katolicyzmu). Ale z mądrości Wschodu przyswoili sobie przeważnie jedynie Kamasutrę i amatorskie



Tablica ku czci Jacka Kerouaca przy księgarni City Lights w San Francisco. Obok mural przedstawiający Baudelaire’a.

medytacje. Właściwie tylko sam Snyder, który wytrwale studiował kulturę Wschodu i spędził trochę czasu w buddyjskim klasztorze, naprawdę podążył ścieżką wytyczoną przez filozofię zen. Dla reszty okazała się ona modą i drogą do inności, której tak bardzo chcieli.

W kolejnej dekadzie buddyzm zamienił się w Ameryce w zwykłą ikonę, fetysz, którym

odurzali się hippisi, nie bardzo rozumiejąc, o co w nim tak naprawdę chodzi. Niejednokrotnie ta fascynacja sięgała granic absurdu.

Patroni wszelkiej kontestacji

Lata sześćdziesiąte obfitowały w Stanach Zjednoczonych w najróżniejsze akcje protestu.



Co miesiąc w sprzedaży nasze pisma przygotowujące do matury: **JĘZYK POLSKI. MATURA 2002 EPOKI LITERACKIE**

Cogito - jedyny dwutygodnik maturzystów

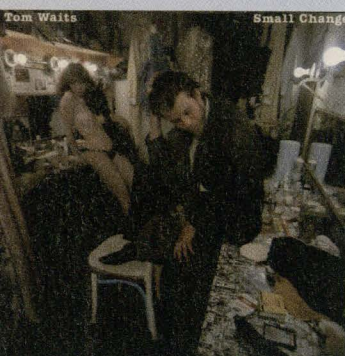
W każdym numerze:

- Dodatek: Lektury do matury
- Zeszyt licealisty: Kurs pisania wypracowań maturalnych, EPOKA LITERACKA
- Wszystko o Twoich przyszłych studiach





Księgarnia City Lights Lawrence'a Ferlinghettiego i kawiarnia Il Vesuvio – kultowe miejsca pisarzy Beat Generation.



OSTATNI POETA BEAT GENERATION

„Jego postać wtopiona jest mocno w zamglone, otwarte do świtu bary, gdzie dźwięki jazzu sączą się wśród ciężkiego, zadymionego powietrza (...), a Jack Kerouac i Charles Bukowski wrzeszczą przy grze w kości...”. W taki sposób Patrick Hupheries – autor biografii Toma Waita, scharakteryzował artystę. Beat Generation dało światu poezję. Nie tę salonową, ale wyrwaną z codziennego życia codziennych ludzi. Wielu po nich kontynuowało tę drogę, ale niewielu zmieniło oblicze muzyki rozrywkowej tak, jak to uczynił Tom Waits. Powieści Kerouaca stworzyły pewien schemat postaci, Waits nadał jej życie. Jego kariera była bezustannym ciągiem przeprowadzek, tanich moteli i podłych barów. To fortepian, bas, perkusja i saksofon – wymruczane historie o ludziach, którzy w poszukiwaniu własnego ja minęli się z życiem. Można długo się zastanawiać, która z jego płyt jest najlepsza. Ale tylko jedna z nich mogłaby być dołączona do Kerouacowego „W drodze”. „Small Changes” – małe zmiany, wielki splendor. (RZ)

Najważniejsze były skierowane przeciwko wojnie w Wietnamie i na nich twórcy Beat Generation pojawiali się regularnie. W antywojennych protestach Chicago Democratic Convention (Chicagowskiej Konwencji Demokratycznej) w 1968 r. uczestniczyli Ginsberg, Burroughs i Terry Southern, a także kontrowersyjny pisarz francuski Jean Genet. Ferlinghetti i Ginsberg pojechali w 1959 r. na Południowoamerykańską Konferencję Pisarzy Lewicowych, a sam Ginsberg poparł słynne powstanie gejów w Stonewall, a także akcję na rzecz Tybetu.

Artyści, z wyjątkiem Kerouaca, który popadł w alkoholizm, osamotnienie i opowiedział się za wojną w Wietnamie, wyraźnie odnaleźli się w latach sześćdziesiątych, w nowej dla siebie roli patronów wszelkiej kontestacji. Hip-pisi darzyli ich wielką estymą, co odbijało się wyraźnym piętnem na ich kulturze, będącej bombastyczną, naiwną i masową kontynuacją osiągnięć Ginsberga i jego towarzyszy. Zresztą i później Ginsberg pozostawał aktywny politycznie, do śmierci bywając wszędzie tam, gdzie działo się coś ciekawego, współpracując choćby z punkowym zespołem The Clash.

Gdy pisarze z kręgu Beat zaczęli zdobywać rozgłos, pojawiła się rzesza młodych ludzi, którzy postanowili iść w ich ślady. Nie mieli jednak ani talentu, ani zapału swoich idoli. Powstała wtedy subkultura beatników miała z Ginsbergiem i Kerouacem niewiele wspól-

nego. Obaj zresztą odżegnywali się od miana „beatników” z powodu postępującej komercjalizacji zjawiska, którego byli ojcami.

„Skwierczący Komerccjalizm”

Na początku lat sześćdziesiątych bycie beatnikiem było bardzo modne. Fred McDarrah, „podziemny” fotograf, prowadził na przykład świetnie prosperujący interes pod nazwą „Rent-a-Beatnik” (wypożyczalnia beatników). Każdy mógł sobie u niego zamówić występ beatnika, by uświetnić przyjęcia recytacjami i innymi płatnymi atrakcjami. Dla niektórych mniej znanych poetów była to często jedyna szansa zarobienia kilku groszy. Doszło do tego, że – wedle słów Howarda Anta – „ruch beatnikowski... mozolnie dotarł, czy też został doprowadzony, do swej ostatniej, jak na razie, fazy, czyli do Skwierczącego Komerccjalizmu”.

Środowisko artystyczne Nowego Jorku traktowało fenomen beatników z wyraźną niechęcią, uznając go za pretensjonalny. Wyraźnie zaznaczyła swą obecność awangarda spod znaku Andy’ego Warhola. Beatnicy wypalili się, pozostawiając po sobie kilka głośnych książek i masę wspomnień. Artyści

Zwój z rękopisem
„W drodze”
Jacka Kerouaca



przeszli, jak Ginsberg, na inne pozycje, bądź też stracili swoje miejsce w aktualnym życiu kulturalnym, jak Jack Kerouac.

Pozostał mit

Beat Generation niczym kometa rozbłysła na amerykańskim firmamencie i po kilku latach zgasła. Zdążyła jednak odegrać doniosłą rolę w kulturze amerykańskiej, dostarczając jej kilku nowych ikon, które do dzisiaj pobudzają wyobraźnię kolejnych pokoleń młodych gniewnych.

Artyści zdecydowali się na wystąpienie z szeregu i zabranie głosu. Dzięki nim następne pokolenie kontestatorów mogło pójść dalej. Większość ich dzieł dawno przestała być buntownicza, a pewnie nigdy nie była to literatura naprawdę wybitna. Jednak należy im się pamiętać i miejsce na kulturalnej mapie naszego stulecia.

O tym, że byli wyjątkowymi indywidualnościami, świadczyć może chociażby porównanie jakże różnych od siebie biografii Ginsberga i Kerouaca. Zaczynali razem. Jeden został kronikarzem, największym pisarzem Beat Generation, by umrzeć w alkoholowej samotności, drugi – najwybitniejszym poetą spośród całej plejady i do końca życia był w centrum



Allen Ginsberg, Marett Greer i Gary Snyder śpiewający mantrę „om sri maitreya” o wschodzie słońca.

uwagi literackiego świata. Kerouac stał się symbolem rozmarzonego włóczęgi i outsidera, Ginsberg – zaangażowanego we wszelkie możliwe inicjatywy aktywisty. Kerouac był podróżnikiem, Ginsberg wizjonerem. Kerouac sy-piał z kobietami, Ginsberg wołał mężczyzn. A jednak potrafili współpracować ze sobą, wspierać swoje pomysły.

I to pewnie stanowiło o sile Beat Generation: przyjaźń, twórcza krytyka i wiara we wła-

sne siły. Wszystkich łączyło jedno – chęć zerwania z mieszczańskim społeczeństwem, które było dla nich więzieniem. Wysiedli z pociągu nazywanego Stanami Zjednoczonymi i postanowili ruszyć swoją drogą. Nie zatrzymywali się ani na moment. Stali się inspiracją dla innych, jednym z romantycznych mitów, bez których współczesna kultura byłaby uboższa.

WOJTEK KLIMCZYK

Test matematyczno-przyrodniczy!

Victor 18

Temat: Prawda o imprezach

Wrózba na andrzejkę

Lektura: Pan Tadeusz

Mikołajki: Pluszaki dla całej klasy

Plakat: Władcy, którzy...

EGZAMIN GIMNAZJALNY WYPRAWOWANIA

Opis Sprawozdanie Rozprawka Charakterystyka Artykuł Wywiad Reportaż List Podanie

Plan Recenzja Zaproszenie Ogłoszenie Notatka Opowiadanie Debaty Pa...

ISSN 1506-249X

nr indeksu 311463

cena 8,90 zł (z 10% VAT)

Obowiązkowe pisma gimnazjalisty!

W Victorze co 2 tygodnie:

- omówienia lektur, spotkanie z wierszem
- pytania z poezji, galeria, nauka o języku
- Test do egzaminu
- ciekawostki, humor, kalendarz

W naszym dodatku znajdziesz:

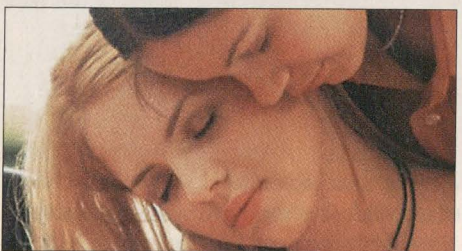
- jak napisać wypracowanie
- o formach wypowiedzi
- o przykładowych tematach
- przydatne podpowiedzi

specjalny
dodatek Victora
już w kioskach

Z nami
egzamin
nie będzie
strasznym!



„Kabaret” – „klasyczny romans młodego Amerykanina z naiwną piosenkarką”.



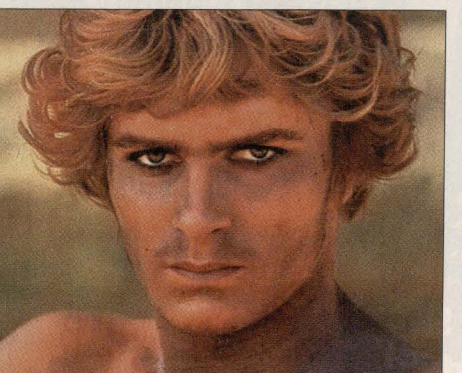
„Fucking Amal” – „licealistka, której nie zaakceptowali rówieśnicy”.



„W pogoni za Amy” – „problem seksualnych preferencji, nie hołduje szablonom poprawności”.



„Filadelfia” – „Hanks jest nosicielem wirusa HIV”.



„Satyricon” – „wyuzdany świat bez zasad i norm”.

GEJ NIE JEST OKEJ

Tak zwane filmy gejowskie krytyka traktuje niechętnie. Jakby słowa homoseksualista czy lesbijka groziły zakażeniem.

Wzorcowym filmem, który pokazuje zjawisko przekształcania gejowskich motywów na „niegroźnie” wyglądającą fabułę, może być „Północ w ogrodzie dobra i zła” C. Eastwooda (1997). Historia koncentruje się tutaj na procesie konesera dzieła sztuki, geja oskarżonego o zabicie młodego kochanka; z niektórych jednak omówień wyłania się inny, choć oczywiście podobny obraz. Małgorzata Sadowska uważa na przykład, że „Williams zabija młodzieńczego chłopca, najsłynniejszą prostytutkę w mieście” („Magazyn Gazety Wyborczej”, nr 48/97), natomiast dla dziennikarza popkulturowej „Machiny” (nr 6/98), Andrzeja Zwanieckiego, „ofiara jest przyjaciel handlarza”. Jednak zanim „Północ...” pojawiła się na naszych ekranach, uchodzący za opiniotwórczy dziennik informował o rozpoczęciu zdjęć do filmu, „którego bohaterami są dwaj przyjaciele, transwestyta i homoseksualista” („Gazeta Telewizyjna”, nr 114/97). Przyjaciółmi raczej nie byli, lecz transwestytę zaliczyć można by do głównych postaci, co wspomniana recenzentka zupełnie pomija. Najwidoczniej w tym przypadku transwestyta okazał się niezbyt atrakcyjnym tematem. Nie śmieszyl, nie prowokował.

„Heteroseksualny” kabaret

Jednym z najczęściej używanych sposobów, by ewentualny widz nie zorientował się, że będzie miał do czynienia z homoseksualizmem na ekranie, jest więc prosta zamiana słowna, niedopowiedzenie lub po prostu przemilczanie „niewygodnej” fabuły. W ten sposób jedna z głównych bohaterów „Fucking Amal” L. Moddysona (1998), licealistka o wiadomych skłonnościach, okazuje się wrażliwą dziewczyną, która „nie została w pełni zaakceptowana przez rówieśników ze szkoły (...). Po cichu zaś marzy o przyjaźni z Elin”. („Co jest grane” „GW”, 2001). O filmowej lesbijce, głównej postaci „W pogoni za Amy” K. Smitha (1996), inny recenzent nie spłodził ani słowa. Zamiast tego wymijająco napisał, iż „poruszając tak modny obecnie, powikłany problem seksualnych preferencji, Smith nie hołduje zbyt-

nio szablonom politycznej poprawności” (Marcin Niemojewski, „Machina”, nr 3/98). Jeden z nielicznych polskich filmów opowiadających o homoseksualizmie, „Zygryf” A. Domalika (1987), został natomiast tak scharakteryzowany: „Starszy pan, humanista i mecenas sztuki, jest zafascynowany młodym akrobatą cyrkowym, otwiera przed nim horyzonty wiedzy i kultury (...). W pewnym momencie wrażliwy chłopiec zorientuje się jednak, że jest traktowany instrumentalnie” („Gazeta Telewizyjna”, nr 115/2001).

Podobnie rzecz ma się z innymi, o wiele głośniejszymi filmami. Dla Pawła Mossakowskiego z „Gazety Wyborczej” („Co jest grane”, nr 9/95) nagrodzony ośmioma Oscarami „Kabaret” B. Fosse’a (1972) to „klasyczny romans młodego, naiwnego Amerykanina z pozornie naiwną piosenkarką kabaretową”. Dla dziennikarza preferencje seksualne głównego bohatera nie są istotnym wątkiem kultowego nie tylko dla gejów filmu. To, że Anglik (a nie Amerykanin) Brian (Michael York) sypia, podobnie jak Sally (Liza Minnelli), z niemieckim arystokratą, zostaje zignorowane, przemilczane. „Romans klasyczny” wydaje się bardziej odpowiedni.

Wiadoma orientacja seksualna innych filmowych postaci trudna jest do przełknięcia i dla innych żurnalistów. Mało który z nich dostrzegł rzucający się w oczy homoseksualny wątek w „Utalentowanym panu Ripleyu” A. Minghelli (1999) czy w „Straconym pokoleniu” G. Arakiego (1995), natomiast gejowski związek pary głównych bohaterów w „Mojej pięknej pralni” S. Frensa (1985) to „osobliwy związek uczuciowy między Omarem a jego dawnym kolegą szkolnym Johnnym”. („Gazeta Telewizyjna”, nr 183/93). Homoseksualność głównego bohatera oscarowej „Filadelfii” J. Demme’a (1993), która (według scenarzysty) jest przyczyną śmiertelnej choroby, przez niektórych dziwnym zapewne trafem też została „niezauważona”. Ale czy „Życie Warszawy” („Telewizja”, nr 13/2001) kłamie, gdy pisze, że „Hanks gra młodego, ambitnego i cenionego pracownika kancelarii prawniczej (...), który jest nosicielem wirusa HIV”?

Pewnych rzeczy trzeba się więc domyslać, wyłapywać je z okrucich, niedopowiedzeń, aluzji i niuansów. Nie tylko w gazetowych recenzjach. Encyklopedie, także filmowe, pełne są świadomych, jak sądzę, przekłamań, przeinaczeń (nie mówiąc o zmyślonych „heteroseksualnych” biografii aktorów czy reżyserów). Nagrodzone Oscarem „Pieskie popołudnie” S. Lumeta (1975), autentyczna historia napadu na bank w celu zdobycia pieniędzy na operację zmiany płci kochanka głównego bohatera, opisano jako „tragiczną ewolucję Sonny’ego, który napadając na bank, chciał zdobyć pieniądze na operację swojego przyjaciela (...), który – jak się okaże – nigdy naprawdę go nie kochał”. („Kronika filmu”, Wyd. Kronika, Warszawa 1995; str. 427). „Satyricon” F. Felliniego (1969), gdzie homoseksualizm jest aż nadto widoczny, to „wyuzdanie świata bez zasad i norm, przepełnione obrazkami hedonistycznych ekscesów” (tamże, str. 390).

Miłość nie nazwana

Niekiedy jednak opis filmu jest tak przeinaczony, iż trudno zorientować się, że mamy do czynienia z „historią gejowską” – w tym przypadku kompletnie przemilcza się wiadomy temat. Jedną z pierwszych produkcji otwarcie

mówiąca o problemie męskiego homoseksualizmu, „Smak miodu” T. Richardsona (1961), według cytowanej już „Kroniki...” (str. 328) opowiada o dziewczynie w ciąży, która „ze swym nowym przyjacielem, przy którym po raz pierwszy czuje się bezpieczna, mieszka (z nim – dop. aut.) razem, gdyż matka po wyjściu za mąż wyprowadziła się. Jednak po zaskakującym powrocie matka wypędza jej nowego przyjaciela”. To, że powodem wyrzucenia chłopaka była jego orientacja homoseksualna, dla autorów książki nie ma większego znaczenia. Podobnie zresztą rzecz ma się z „Prawem pożądania” (1986), dziejami tragicznej homoseksualnej miłości. Od czego jednak pomysłowość wydawców: „Pedro Almodóvar inscenizuje szaleńczy dramat zazdrości wokół trzech mężczyzn i jednej kobiety” (str. 522).

Do „grona oszustów” dołączają również dystrybutorzy, zapewne w obawie przed utratą zysków. Któż bowiem chciałby oglądać pedalskie historie, męsko-męskie przytulanki? Okładki filmów wideo nie mówią więc pełnej prawdy. „Trick” J. Falla (2000), komedia o dwóch gejach poszukujących zacisznego miejsca w wiadomym celu, reklamowana jest tak przez firmę Vision: „Gabriel jest utalentowanym młodym kompozytorem. (...) Mieszka w małym mieszkaniu ze

swoim kumplem i jego postrzeloną dziewczyną. Taki układ całkiem mu odpowiada, dopóki nie pozna kogoś, z kim chciałby być sam na sam. Para kochanków, niebo pełne gwiazd, namiętny wieczór – wszystko idzie świetnie, ale co z tego, gdy nie ma się dachu nad głową”.

Testament Jarmana

Gejowski reżyser Derek Jarman (1942–1994) w swej pożegnalnej książce „At Your Own Risk. A Saint’s Testament” napisał: „Nikt, kto był sławny, nie mógł być pedalem: Michał Anioł, Leonardo, Szekspir – wszyscy zostali zneutralizowani. Hollywoodzka fabryka snów wymyśliła heteroseksualne romanse Michała Anioła w «Udręce i ekstazie». Dopiero po czterdziestu latach przyzwolono, żeby Cezar był pedalem w «Spartakusie». Oto dlaczego Hollywood jest godny pogardy. Jego pasje i ekstazy są wyłącznie heteroseksualne, a krytycy, jakby w znowie, nad wyraz pobłażliwi – nikt nie odważył się wygłosić odmiennej opinii, pewne słowa stanowiły tabu – nieortodoksyjne myśli nie mogły znaleźć się w prasie, w teatrze czy telewizji”.

Ten stan trwa w umysłach niektórych do dziś.

ARTUR CEZAR KRASICKI



Bal
sylwestrowy

2001/2002

w Hotelu **Sofitel** Kraków

Tradycyjnie szampańska zabawa!

Cena – 500 zł/os.

Serdecznie zapraszamy!

Rezerwacja: tel. (48 12) 261 92 12,
fax (48 12) 269 06 48
e-mail: krsofitel@orbis.pl



FOT. BOGDAN KRZEL

8.11.01

Zapewne interesuje Państwa, jak też wygląda słynny objazd Dolnego Śląska z Arturem Bursztą, niestety nie ma w tym nic ciekawego, może poza tym, że zachęoną do zadawania pytań na karteczkach młodzież interesują głównie moje preferencje seksualne, pojedyncze zaś osoby płci obojga chcą się ze mną umówić na randkę bądź też pójść do tajemniczego pomieszczenia na górze, gdzie stoi fortepian do grania na cztery ręce.

Bardzo to wszystko miłe i z tego ostatniego pewnie bym skorzystał, ale już Artur pakuje mnie do samochodu, bo następna młodzież z tymi samymi pytaniami i kolega ze szkoły, świeżo upieczony ksiądz, i jeszcze jedna młodzież, wreszcie też żona Artura z posiłkiem regeneracyjnym, wszyscy czekają na nas niecierpliwie i słusznie musimy się spieszyć.

Spożywszy posiłek (sałatka specjalnie dla mnie, bo Artur nie znosi majonezu) i obaliwszy pół butelki koniaku, trafiając w końcu do hotelu, gdzie dopada mnie (telefonicznie) Jasiu, z pretekstem, że mało dbam o jego samopoczucie przed czekającym go w poniedziałek egzaminem magisterskim. Chłopaku, mówię, im więcej cię osób podtrzymuje na duchu, tym sam się w sobie robisz słabszy. Jasiowi moja argumentacja nie trafia absolutnie do przekonania, wobec czego rozstajemy się (telefonicznie) w poróżnieniu i gniewie.

9.11.01

Z samego rana do fryzjera; Piotrek załatwił mi wizytę u znanego specjalisty od dredów, trafiając na squat zamieszany głównie przez psy różnej maści, specjalista ogolony na tyso (bo przecież sobie

samemu dredów zrobić się nie da, a trudno, żeby specjalista chodził w dredach zrobionych przez amatora, sam sobie będąc żywą antyreklamą) pastwi się nad moją głową przez bite trzy godziny, czego efekt jest wszakże nader zadowalający, już mi nie sterczą na wszystkie strony niezredowane kłaki, i zresztą teraz nikt się nie będzie mógł przyczepić, skoro mam dredy zrobione przez znanego specjalistę.

10.11.01

Dwa dni z Pauliną i Adasiem, których narzeczeństwo bardzo im obojgu służy, aż zazdrość bierze, że samemu nie miało się nigdy równie uzdrowicielskiego narzeczeństwa. Adaś wykrył, że ilustrator pierwszych numerów „Nowego Nurtu” nazywał się Dariusz Nowacki; jego rysunki znikły z nagła w momencie pojawienia się Dariusza Nowackiego – krytyka. Moim zdaniem to czysta zbieżność nazwisk, ale swoją drogą trzeba będzie kiedyś zapytać Darka (Nowackiego albo Sośnickiego), jak to tak naprawdę było.

Poza tym spacer po obrzeżach Wrocławia, rosa na pajęczynkach, sielanka we troje. Przekonuję ich do idei wydania książki z opowiadaniem Jarka Klejnbęrga, w końcu pijemy toast za Jarka i jego książkę, po chwili zaś dzwoni sam Jarek, mający właśnie urodziny, i mogę mu w prezencie przekazać tę w miarę radosną wieść.

Ciekawe tylko, czy nasze ustalenia odbijają się jakoś na rzeczywistości.



Opowieść Pauliny: Do autobusu komunikacji miejskiej wsiada profesor Miodek i zauważa siedzącego tam już w towarzystwie dwóch pań innego profesora, z którym się wita, a następnie, celem podtrzymania kontaktu, pyta się, gdzie tu można skasować bilet. Gdy idzie do wskazanego mu uszłuznika kasownika, drugi profesor mówi cicho do pań:

– Ojczyzna-polszczyzna. – Panie chichoczą, profesor zaś dodaje: – Jeździ autobusami, bo samochód ma w warsztacie.

11.11.01

Święto Niepodległości, dokoła krakowskiego Rynku kursuje armatka zaprzężona w dwa ogniście perszerony.

13.11.01

Jakiś czas temu wystosowałem reklamację do obsługującej mój telefon sieci E. i oto otrzymałem odpowiedź: oczywiście podstępne wyłudzenie ode mnie dwustu złotych odbyło się w zgodzie z wszelkimi możliwymi przepisami, o których co prawda nie zostałem poinformowany, ale miałem obowiązek je znać. Jem obiad bez apetytu, planując dalszą walkę, po czym wychodzę na Rynek i spotykam chłopaków ze Słowacji, Aleksandra i Marka, którzy mnie właśnie szukali. Co za radość, jestem uratowany! Umawiamy się na wieczór przy winku, podczas którego dochodzę do wniosku, że znacznie prościej będzie doczekać do wygaśnięcia umowy i wtedy zmienić sieć. Z bogatym wszak nie wygrasz, a po co niepotrzebnie tracić pieniądze na znaczki.

– O, kotek! – mówię, bo jestem na ciężkim kacu i widok siedzącego na płocie grubego kota wprawia mnie w rodzaj metafizycznej ekstazy. – Dobrze, że Stanisław Czycz już nie żyje – stwierdza Skolas – bo by go zaraz zastrzelił.

17.11.01

Drugi dzień sesji czyczowskiej w Krzeszowicach; obejrzawszy ponownie dom Czycz (z nieodłączną wybitą szybą), postanawiamy ze Skolasem i z Frytką odłączyć się od reszty towarzystwa; ja-koś nie uśmiecha nam się jazda busem do zamku, wolimy się przespacerować.

– O, kotek! – mówię, bo jestem na ciężkim kacu i widok siedzącego na płocie grubego kota wprawia mnie w rodzaj metafizycznej ekstazy. – Dobrze, że Stanisław Czycz już nie żyje – stwierdza Skolas – bo by go zaraz zastrzelił.

ADAM WIEDEMANN

SZCZĘŚLIWI KUFLI NIE LICZA

Przed 160 laty udało się po raz pierwszy w dziejach ludzkości wyprodukować klarownie czyste, „złote” piwo. Obecni przy tym smakosze uznali to za cud. Cud wydarzył się w Pilźnie i trwa do dziś.

Łutowy dzień 1838 roku w Pilźnie wstał zimny i ponury, jakby wiedział, iż stanie się świadkiem widowiska, od którego zatrzepocą wszystkie serca. W samo południe na rozkaz stojącego w podcieniach ratusza burmistrza i ocie-rajających ukradkiem łyż panów rady, zgarbieni z zimna i niezastużonego wstydu pacholkiwie miejscy wytoczyli na rynek 36 beczek i ustawili je nad rynsztokiem, zaczęli odbijać szpundy.

Na bruk chlusnęło piwo. W tłumie przyglądającym się martwo tej ceremonii rozległ się szmatyczny kobiecy szloch.

– Czuję się jakbym kazał zamordować własne dziecko – szepnął jeden z rajców. – Niszczyć piwo! Nic się nie da uratować?

– Nie – mruknął ponuro burmistrz. – Skwaśniało. Dlaczego, nie wiem. Może jaki urok? Chyba za szybko zrezygnowaliśmy z palenia czarownic...

Piwo pilzneńskie, warzone w czeskim miasteczku od 1295 r., nie było ani lepsze, ani gorsze od innych. Od roku 1516, kiedy to w sąsiedniej Bawarii elektor książę Wilhelm IV kazał wrzucić do kadzi tych, którzy podali mu piwo z dodatkiem wapna (niektórzy twierdzili, że mydła) warzone wszędzie piwo zgodnie z wydanym przez księcia „prawem czystości” (Reinheitsgebot) wyłącz- nie z jęczmienia, chmielu i czystej

wody. I choć w latach trzydziestych XIX wieku cesarz Austrii Ferdynand Dobrotliwy nie karał już piwowarów tak okrutnie – Pilzno wiernie przestrzegało „prawa czystości”. Napój był wprawdzie ciemny i nieco mętny, ale takie były wtedy wszystkie piwa. Smakowało nawet nieźle. Cóż, gdy najpierw nie obrodził jęczmień, potem przyszła zaraza na chmiel, a wreszcie piwo zaczęło kwaśnieć. Mieszkańcom Pilzna groziła już nie tylko utrata zarobków, ale nawet – tfu, zgini, przepadnij, duchu nieczysty! – całkowita abstynencja.

– Po moim trupie! – rzekł burmistrz, przeskakując brunatny od piwnej piany rynsztok. – Nigdy do takiej hańby nie dopuszczę!

Jedziemy do Monachium.

Po całych zachodnich Czechach krążyły słuchy, że w niedalekiej Bawarii stosuje się teraz szeroko XV-wieczną, zapomnianą metodę warzenia piwa. Że tamtejsze piwowary, korzystając z nowych możliwości transportowych, sprowadzają z gór duże ilości lodu,

dzięki czemu warzone na skalę przemysłową piwo może fermentować w niskich, dolnych temperaturach: zaledwie kilka, kilkanaście stopni powyżej zera. Pilzneński biznes zwierzył w owej staro-nowej metodzie swą szansę: za 1378 guldenów wykupiono grunta na przedmieściu miasta zwanym Bubenec (Bebenek), z Bawarii zaś przywieziono gotowy plan browaru i dwu znakomitych fachowców: piwowara Józefa Grolla i oberknechta Jana Elsnera. W skałach wyryto chłodne piwnice mogące pomieścić 7 tys. hektolitrów piwa.

Reszta była w rękach Opatrzności.

Pierwsza warka w nowym browarze „Mieszczańskim” odbyła się 5 października 1842 r. Całe Pilzno, jakby przeczuwając, iż ów dzień przejdzie do historii piwa, z najwyższym zainteresowaniem wysłuchiwało wieści z Bubenc. Mistrz Groll nie pozwalał jednak nikomu zbliżyć się do piwnic, gdzie dojrzewał przyrządzony według jego oryginalnej receptury „leżak”. Dopiero po kilku tygodniach na rynek pilzneński wbiegł z rozwianym włosiem jeden z rajców, ściskając w ręce nie dopity kufel.

– Ludzie! – zachrypiał z emocji, graniczącej z szaleństwem. – Ludzie! To nie piwo, to uśmiech Pana Boga! Cud! Cud! Cud!

Naród runął w stronę rajcy, który stał pod ratuszem, dzierżąc kufel wysoko, by każdy zobaczył, że promienie jesienno- słońca po raz pierwszy w historii ludzkości igrają w klarownie czystym piwie o niespotykanym dotąd nigdzie czarodziejskim, złotym kolorze...

Zachwyty przerwały dobiegające od Bubenc wiwaty: to rozentuzjasmowany tłum na czele z burmistrzem niósł na rękach mistrza Grolla, spoconego od przyjmowania gratulacji i hołdów.

– Do końca nie wierzyłem, że tak się to uda – tłumaczył w chwilę później, gdy już zasiedli wokół beczki. – Fermentację „na zimno” wykonywali ongi mnisi, ja wymyśliłem nową recepturę, ale reszta jest zasługą waszego chmielu, waszego jęczmienia, drożdży i – ach, jakie to ważne! – waszej niezrównanej miękkiej wody i pilzneńskiego powietrza! Dlatego, panie burmistrzu, nikt nie potrafi podrobić piwa PIL-SNER URQUELL – bo tak proponuję je nazwać.

Nie odpowiedział mu nikt. Wszystkie wąsy tkwiły bez przerwy w ogromnych kufiach ze spiętrzoną, gęstą, białą pianą, kufiach wypełnionych napojem cudownie przezroczyście złocistym, oszałamiającym smakoszy intensywną wonią chmielu i łagodnym smakiem, z którego istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy żaden piwowar na świecie.

– Pierwszą partię wysyłamy do Pragi, potem do Monachium i Berlina – zarządził burmistrz, polecając jak najszybciej napełnić ponownie swój kufel. – A potem – otarł z wąsów gęstą pianę – potem ruszymy na cały świat. Himmelherrgott-donnerwetternochein-mal! Którą to już kolejkę pijemy? Zresztą, nieważne... Pilsner Urquell! Szczęśliwi kufli tego piwa nie liczą...

LESZEK MAZAN



1842. Pierwsze złociste piwo.

Przedwczesne zgony, samobójstwa, poronienia, agresja, wypadki drogowe – to jego żniwo. Halny zmienia pogodę i ludzkie organizmy.

Wiatr śmierci

FOT. JAN ZYCH



– Powinno się ostrzegać o nadejściu halnego – uważa dr Alfred Jakubowski, zakopiański lekarz, autor doktoratu o wpływie halnego na liczbę zgonów z powodu chorób układu krążenia. Wnioski z jego badań są przerażające. Ponad 53 proc. zgonów w Zakopanem jest wynikiem zaburzeń w układzie krążenia. W czasie halnego liczba ta wzrasta półtora raza, a ludzie chorzy powinni traktować wiatr od gór jako bezpośrednio zagrożenie życia.

Zdaniem dr. Jakubowskiego ryzyko, jakie niesie za sobą halny, powinno być uwzględniane przez przyjeżdżających na Podhalę turystów. Każdego roku wypoczywa tu ok. 5 mln ludzi.

300 kilometrów na godzinę

Ciepły, wiejący od gór wiatr, zwany w Polsce halnym, bierze swój początek na południu Europy. Z tworzących się tam wyżów powietrze przelewa się w stronę

położonych na północy obszarów o niskim ciśnieniu. Na drodze stają Karpaty. Rozpędzone powietrze wspina się na szczyty, traci przy tym wilgotność, a jego temperatura spada o pół stopnia na każdych 100 metrach. Na szczytach wiatr ma już prędkość huraganu, a spadając ku dolinom, gwałtownie się ociepla. Tym razem o jeden stopień na każde 100 metrów. – Na grani trudno wtedy ustać – wspomina Andrzej Ziarko, ratownik TOPR. – Nawet oddychanie sprawia kłopot. To tak, jakby wychylić się z samochodu jadącego 100 km/h – mówi.

– Dla nas to normalne zjawisko – wyjaśnia dyżurny synoptyk w obserwatorium meteorologicznym na Kasprowym Wierchu. Ciepły wiatr powoduje spadek wilgotności i ciśnienia. Topi śnieg i zmienia jego strukturę, powodując ryzyko lawin.

Największą prędkość osiągnął halny w Tatrach w maju 1968 r. – dochodziła do 300 km/h. Duże od

kilku godzin do kilku dni. Najdłużej wiejący halny zanotowano w 1951 r. – trwał 11 dni.

Uderzenie halnego poprzedzone jest, często nawet o dwa dni, uderzeniem fal elektromagnetycznych, wytworzonych podczas tarcia mas powietrza o ziemię. Fale docierają na wiele kilometrów od gór, nawet pod Warszawę. Dr Alfred Jakubowski mówi, że halny oddziaływuje dwa dni przed i dwa dni po bezpośrednim uderzeniu. Zmienia nie tylko pogodę, ale i ludzkie organizmy.

Biją, wieszają, mordują

Halny zaczął wiać w sobotę wieczorem. W niedzielę na Kasprowym pędził z prędkością 153 km/h. W poniedziałek temperatura skoczyła w Krakowie o kilkanaście stopni. Młody chłopak napisał list do swojej dziewczyny z Nowego Sącza i poszedł w Pieniny. Wspiął się na Sokolicę i rzucił w przepaść.

Jego problemy nie należały do nierozwiązywalnych. Co było przyczyną: kłopoty sercowe, skaza umysłu czy wiatr wiejący od gór?

Przed czterema laty, podczas wrześnie podmuchów halnego tylko w samym Krakowie popełniło samobójstwo siedem osób. Kilka miesięcy później, gdy do Krakowa dotarły styczniowe podmuchy, mieszkanka nowohuckiego osiedla rozlała benzynę i otworzyła kurki z gazem. Chciała zabić męża. Zamach się powiodł, mężczyzna zginął, a ona sama została ciężko ranna.

Tylko w jeden poniedziałek w czasie podmuchów halnego w wypadkach samochodowych zginęło 20 osób. Na sesji zakopiańskiego samorządu doszło do wyjątkowych awantur. Do krakowskiego Szpitala im. Żeromskiego przywieziono więcej zawałców, a w sądeckiej porodówce urodziło się więcej niż zwykle noworodków.

– Zawsze trafi się jakiś wisielec – mówią zakopiańscy policjanci. W komendzie, w prokuraturze i zakopiańskich urzędach masowo pojawiają się ludzie, którzy przynoszą urojone skargi na sąsiadów.

Jak mówi dr Jakubowski, halny ma wpływ nie tylko na funkcjonowanie układu krążenia. Może też prowadzić do poronień, ataków kolki nerkowej i wątrobowej, wzmacnia zaburzenia psychiczne. Nagminne są bójkę, samobójstwa, rodzinne sprzeczki. Halny może być poważnym problemem dla osób starszych.

Zdaniem doktora podatność na wiatr jest cechą indywidualną. Zbadał on wszystkie przypadki zgonów w Zakopanem w latach 1966–1970. Zmarło wtedy 1495 osób, w czasie halnego 422, choć ze średniej statystycznej wynikałoby, że powinno być o prawie 100 mniej.

– Ostatnie badania w Niemczech wykazały, że ok. 50 do

70 proc. społeczeństwa to meteoropaci, czyli osoby wrażliwe na pogodę. U nas wciąż nie robi się takich badań – mówi dr Tadeusz Gawarecki z krakowskiego sanepidu, który dobija się o objęcie meteoropatów stałą opieką lekarską i uwrażliwienie społeczeństwa na ten problem.

Fatalne uderzenie

– Czynn timer pogody uderza w najsłabszy punkt organizmu – tłumaczy dr Gawarecki. – Każdy człowiek odbiera pogodę w indywidualny sposób, powinien znać swoją wrażliwość i możliwą reakcję organizmu na zmiany temperatury i ciśnienia. Halny jest najbardziej obciążającym z czynników pogodowych.

Ciepły wiatr powoduje rozszerzenie naczyń krwionośnych, co u meteoropatów natychmiast wywołuje większe pocenie i utratę soli mineralnych, głównie sodu. Do krwi dostaje się za to większa

porcja potasu, która daje u ludzi, mających kłopoty z krążeniem, objawy podobne do zawału. Obserwacje tego typu prowadzi się w krakowskich Szpitalach im. Dietla i Żeromskiego. – W czasie halnego zawsze przywozi się więcej ludzi z chorobami krążenia – mówi dr Gawarecki. – Gdyby znały one swoją wrażliwość pogodową, można by znaleźć środki zaradcze. Na przykład chwilową zmianę diety. Doskonała w tym wypadku jest zupa ziemniaczana – dodaje.

Fale elektromagnetyczne, które towarzyszą temu wiatrowi, powodują m.in. pogorszenie samopoczucia i zaburzenia w układzie krążenia, wahanie nastrojów. W organizmie wzrasta ilość serotoniny, która działa najpierw pobudzająco, potem pobudliwie. Jeżeli człowiek ma słabą konstrukcję psychiczną, predyspozycję do ulegania stresom, a na dodatek w jego życiu pojawiają się realne lub urojone kłopoty, nadmiar serotoniny sprawia, że nie kontroluje już własnego postępowania. Efektem jest agresja wobec innych lub siebie.

Śmierć na drodze

– We Francji podczas niekorzystnych warunków biometeorologicznych obowiązuje zmniejszenie dopuszczalnej prędkości na drogach o 5 do 10 km/h – mówi dr Gawarecki.

Halny niemal demoluje zmysły kierowcy: wydłuża się czas reakcji, obniża koncentracja uwagi. Polskie komunikaty radiowe o zmianie „warunków psychofizycznych” nikogo nie poruszają. Zdaniem doktora każdy kierowca powinien znać swą pogodową wrażliwość, tak aby dostosować jazdę do warunków. Badania powinny być prowadzone przed wydaniem prawa jazdy.

Trzeba pamiętać, że halny wieje najczęściej wiosną i jesienią, kiedy warunki na jezdni gwałtownie się pogarszają. Jak zatrważające mogą być skutki halnego na polskich drogach, świadczy jeden z wietrznych dni, kiedy przy świetnej pogodzie i doskonałych warunkach jazdy

doszło do 160 wypadków, w których zginęło 20 osób, a 180 zostało rannych. – Trzeba pamiętać, że zmysły odbierają jedynie jeden procent czynników pogodowych, resztę odczuwamy w sposób pozazmysłowy – przypomina dr Gawarecki. Obniżenie prędkości o 10 km w czasie halnego to niemal obowiązek.

Dr Alfred Jakubowski już na progu lat 70. postulował publiczne ostrzeganie mieszkańców Zakopanego i turystów przed halnym. – Dobrodziejstwo zakopiańskiego klimatu jest problematyczne – uważa.

W roli bociana

– Nadejście halnego przewidujemy na kilka dni wcześniej. Gwałtownie wzrasta liczba porodów – mówią sądeccy ginekolodzy. Dr Gawarecki przypomina, że podobne efekty przynosił wiejący w Izraelu chamsin, który wywoływał masowe poronienia. Izraelski lekarz, współtwórca medycyny biometeorologicznej, rozpoczął podawanie leków antyserotoninowych, które wyeliminowały poronienia tego typu.

Dr Adam Perek napisał doktorat o porodach i halnym. – Gdy wieje, wyjazdy do kobiet zagrożonych poronieniem są na porządku dziennym – mówi lekarz, który swoje unikatowe badania prowadził w Krynicy i okolicach. – Wyniki badań przeczą temu, że halny wywołuje większą liczbę porodów – tłumaczy. – Cięża ma najdoskonalsze systemy zabezpieczające, a organizm kobiety broni płód przed zagrożeniami. Zdaniem lekarza halny nawet wydłuża ciążę, przeciętnie o jeden dzień. – W czasie halnego jest rzeczywiście więcej porodów, ale wpływają na to różne czynniki. Wiatr zaburza funkcjonowanie organizmu i wywołuje poród.

Gdy wieje halny, gwałtownie wzrasta spożycie alkoholu. – Na Podhalu to jedyny sposób na uśmierzenie niepokojów wywołanych przez halny – mówi jeden z zakopiańskich lekarzy.

JÓZEF STAROWIEJSKI

JOANNA BONIECKA • ZBYLUT GRZYWACZ

Henri Rousseau

w Musée d'Orsay w Paryżu



Henri Rousseau (1844–1910), „Zaklinaczka węzów”, 1907, olej/płótno, 169 x 189 cm



Nikifor (1895? – 1968)

ZBYLUT GRZYWACZ: Już dawno, mniej więcej przed wiekiem, zatarła się granica, która oddzielała artystów kształconych w pracowniach mistrzów lub w akademiach od malarzy samouków, nazywanych niekiedy prymitywistami albo malarzami naiwnymi. Jednym z pierwszych, których obrazy znalazły się w muzeach obok dzieł wykształconych (dziś powiedzielibyśmy – profesjonalnych) malarzy, był Henri Rousseau zwany Celnikiem (Do-u-anier). Stoimy przed jedną z jego najbardziej znanych kompozycji pt. „Zaklinaczka węzów”. Jakoś nie mogę się do tego malarstwa przekonać. Zatrzymuję się na chwilę, patrzę, podziwiam świat, który jest dla mnie hermetyczny, podoba mi się kolor, fragmenty pejzażu – i najchętniej poszedłbym dalej do swoich kolegów malarzy. Rousseau to dla mnie osoba z innego świata, ktoś, kto jest malarzem inaczej.

JOANNA BONIECKA: A ja lubię spędzać czas z Celnikiem. Czuję się tak, jakbym czytała wiersz. Podobają mi się kontrasty światła kładącego się na liściach z mrokiem gęstego, dusznego od wilgoci lasu. I ta kobieta, która cała jest tajemnicą, wcieleniem spokoju, pewności, pełni... Ważny jest tu jeszcze księżyc jak złotówka i wielkie, ale ujarzmione muzyką fletu, węże. To jest historia, opowiedziana językiem symboli, o irracjonalnym świecie, o podświadomości, pierwotnym instynkcie, o tym wszystkim, co wiąże się z pierwiastkiem żeńskim. To królestwo kobiety, która się niczego nie boi.

Z.G.: Mówisz o znaczeniach, o opowieści... Wierzę, że jest ci to bliskie. A podoba ci się kolor tego obrazu?

J.B.: Bardzo lubię zieleń, kolor życia, a tu jest mnóstwo pięknie zharmonizowanych jej odcieni.

Z.G.: Dla mnie to nie jest zieleń wegetacji, apetyczna zieleń sałaty, kwiatu, tylko dość ponury, groźny kolor. To nie jest obraz hołdujący kobiecości i życiu, raczej jest to groza, ciemne, freudowskie strony życia... Ja tego obrazu nie lubię przez obsesyjność formy, te węże, które nie wiją się, tylko łożą, są jakieś ciężkie... To rzeczywiście jest poezja, tam jeszcze jakieś oczy świecą, nad nimi gwiazdy. Mówisz czułym głosem o czymś, co nie jest czułe, co jest namalowane z determinacją, nawet z pewnym okrucieństwem.

J.B.: Dlaczego? Dlatego że te liście są jak wycięte z blachy, ostre jak szable?

Z.G.: Dlatego, że wszystko tu jest niebezpieczne: węże, liście, woda grożąca wchłonięciem, podstępny i posępny, perfidny las pełen trujących kwiatów. Ta kobieta jest paskudna, nie ma nic z ciała, tylko jest jakimś gorylowatym potworem, a czapla, jedyny tu sympatyczny stwór na krawędzi płótna – jest tylko zabawką.

J.B.: Ależ to nie ma nic wspólnego z obrazem rzeczywistości, jest za to prawda przeżycia. Być może daleka od twojej wizji świata i kobiecości... Ta prymitywna bogini i jej „raj” powstały na zamówienie kobiety właśnie; matka malarza Roberta Delaunaya po powrocie z podróży do Indii obstałowała go u Celnika.

Z.G.: Ale jak to się dzieje, że ty, z entuzjazmem witająca ciepło, naturalność i bezpośredniość zawartą na przykład w oglądanych dopiero co rzeźbach Degasa, przychodzisz przed twórcę absolutnie sztuczny, zbudowany z dekoracyjnych elementów i jesteś równie usatysfakcjonowana?

J.B.: Dlatego że w gruncie rzeczy jestem naiwna i łatwo do mnie przemówić takim naiwnym, ale pełnym poezji obrazem. Zwłaszcza kiedy ta poezja nie jest taka całkiem łatwa – zatrąca o grozę, o ciemne, niewytłumaczalne rejony psychiki, bo to też jest mi bliskie... Pamiętam ten obraz, moje pierwsze z nim spotkanie dobrych kilkanaście lat temu, na retrospektywnej wystawie artysty w Grand Palais. Uwiódł mnie wtedy cały Rousseau, ale najbardziej jako malarz wielkich fantastycznych wizji natury, pełnych wdzięczących się kształtem i obfitością drzew, kwiatów i krzewów, spoza których wy-

ziera strach, groza, przerażenie. Tymczasem czarnoskóra zaklinaczka węży ma siłę, by nad tym wszystkim zapanować.

Z.G.: Poezja poezją, ale to jest gładkie jak oleodruk, brak tu jakiegokolwiek materii malarskiej. Utrillo, drugi z prymitywistów, który stał się malarzem muzealnym, potrafił w swoich paryskich pejzażach ożywić powierzchnię płóci; nie gadał, nie fantazjował, tylko budował klimat obrazu – też przecież pełen poezji – środkami malarskimi.

J.B.: Ale Utrillo malował z natury (później także z pocztówek) – a Celnikowi „pozowały” niematerialne zjawy zrodzone przez wyobraźnię – skąd miał wziąć dla nich materię, i to malarską?

Z.G.: Pewnie masz rację, mówię przeze mnie malarz. Wiem, że przecież nie zawsze tzw. warsztat musi być widoczny w obrazie. Pamiętasz, mówiliśmy o tym przed obrazami Uccella w Londynie. Zaliczyłem go wtedy, choć wielce był uczony, do malarzy naiwnych i porównywałem go właśnie do Rousseau.

J.B.: Nie wiem, czy masz rację, rysując po akademicku granicę między naiwistami i malarzami kształconymi. Sztuka jest jedna.

Z.G.: Ale niejedno ma imię – i może wielką księgę sztuki trzeba podzielić jednak na rozdziały? Inaczej dochodzi do paradoksów – na przykład w wielkim „Malerei Lexikon von A bis Z” brak naszych największych malarzy, np. Michałowskiego, ale jest Nikifor z Krynicy.



JOANNA BONIECKA
– historyczka sztuki,
dziennikarka.

ZBYLUT GRZYWACZ
– malarz, członek byłej Grupy Wprost, wykładowca
krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

FOT. KUBA DĄBROWSKI



Niemiecki balon obserwacyjny gotowy do lotu o świcie.



TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI
ZDJĘCIA EDMUND MALICKI

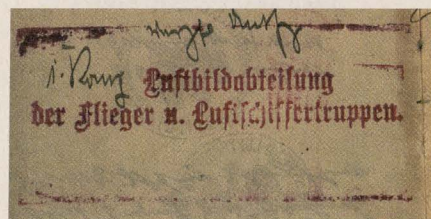
VERDUN

*piekło
widziane
z nieba*

Edmund Malicki
85 lat temu
fotografował pole
największej bitwy
I wojny światowej
z niemieckiego
balonu
obserwacyjnego.

Edmund Malicki trafił pod Verdun w 1915 r. jako poddany cesarza niemieckiego. W jego zachowanym do dzisiaj Soldbuchu, czyli książeczce wojskowej, możemy odczytać najważniejsze dane – urodzony w Hohensalza (Inowrocław) 15 listopada 1891 r., zamieszkały w Posen (Poznań), wykonywał zawód fotografa. Religia – chrześcijanin, ożeniony dnia 10 kwietnia 1917 r., do armii wcielony 16 października 1913 r.

Znalazł się niedaleko pola bitwy nad Mozą i wkrótce potem oglądał je z pułapu kilkuset metrów. Fotografował najważniejsze momenty zmagani armii z wojskowe-



Przydział wojskowy Edmunda Malickiego.

go balonu obserwacyjnego: zdobycie fortu Douaumont i Vaux i ich ponowne odbicie przez aliantów.

Przed wojną był początkującym, utalentowanym fotografem. Marzył, aby latać na sterowcach. Niestety, cenny dla armii fach, którego jeszcze się uczył (egzamin mistrzowski zdał dopiero po wojnie), sprawił, że okazał się wymarzoną nabytkiem dla Luftschiffertruppen, czyli jednostek zwiadu powietrznego.

Fotograf na uwięzi

Latali zawsze we dwójkę – obserwator i fotograf. Balon w nocy spoczywał zamaskowany, najczęściej wśród drzew. Gdy w dzień przychodził rozkaz, załoga zajmowała stanowiska, a obsługa naziemna rozwijała linę. Balon wlatywał w górę. Fotograf obsługiwał ciężki, ponad 20-kilogramowy aparat fotograficzny zawieszony w gondoli. Obserwator, od którego zależało życie obojga, siedział na niewygodnej ławeczce z przodu. Jego zadaniem, oprócz wykonywania wyznaczonych obserwacji, było ostrzeganie na czas naziemnej obsługi o zbliżających się samolotach wroga. Wtedy balon ściągano błyskawicznie na ziemię. Pociski z ziemi nie osiągały jego pułapu, więc jedynym wrogiem były latające maszyny. Zdjęcia wykonane podczas zwiadu wywoływano na miejscu w ciemni urządzonej w dostosowanym do tego standardowym wojskowym wozie.

Edmund Malicki był bardzo zdolny i sumienny, więc fotografie jego autorstwa odznaczały się doskonałą jakością. Do dzisiaj zachowały się w niemal nie zmienionym stanie, co pozwoliło na ich ponowne odkrycie w domowym archiwum córek pana Edmunda – Bożeny i Fernandy Malickich w Grudziądzu.

„Szlachetna” rzeź

I wojnę uszlachetnia się na siłę. Myśli się zazwyczaj – „pierwsza” była jeszcze rycerska, prowadzona według starych zasad i liczył się w niej honor, to dopiero „druga” przyniosła wszystkie nieszczęścia i odczło-



Obserwator chwilę przed lotem zwiadowczym.



Zniszczone miasteczko Flabas. W dole zdjęcia widoczne wozy i namioty obozu wojskowego.



Wzrost z balonu na miejscowość oznaczoną symbolem ▲ 267.



O osławiony fort Douaumont toczyły się najbardziej zażarte i krwawe walki w ciągu całego 1916 roku.



Wojskowa mapa obserwacyjna Edmunda Malickiego. W kwadracie 2100 – 66 widoczny fort Douaumont.



Własnoręcznie wykonana (4 kwietnia 1916 r.). Trzeci obserwator z załogi Malickiego „Przesyłam ci zdjęcie, sami chłopacy. Przesyłam serdecznie – jak mi przykro być z nimi, choć niektórzy dobrze zdrowienia i gorące całunki. Twój ukochany Edzio”.

Zdjęcie zwiadowcze niezidentyfikowanego na linii obronnej nad Mozą.



Przygotowanie artyleryjskie przed atakiem.



Strzelec pilnujący zamaskowanego balonu.



Verdun widziane z balonu.



Kartka pocztowa
Edmunda Malickiego
dla narzeczonej wysłana
po przybyciu pod Verdun:
„Nouillon-Pont. 31 marca
1915. Kochanej Werci
przesyłam serdeczne
pozdrowienia z widoczkiem
mego przyjaciela
sanitariusza. Czy nie ładny
chłopiec, patrz, jak się
do Ciebie uśmiecha.
U mnie tutaj nic nowego.
Twój Edzio”.

wiecznienie. Historycy uważają jednak, że konflikt z 1914 r. miał takie właśnie oblicze, bo nowoczesny sposób prowadzenia działań był ograniczany przez techniczne i logistyczne możliwości.

Stratedzy i taktycy myśleli już o konflikcie w skali globalnego zniszczenia wroga, tyle że brakowało im na to środków. Stąd wynikały niedoskonałości w postaci wojny pozycyjnej i wielomiesięcznych blokad frontów. Dotyczyło to wszystkich najważniejszych bitew I wojny – masakr we włoskich Alpach i Dolomitach, wielomiesięcznych rzezi w okolicach Gorlic i Przemyśla oraz bitwy niedaleko miasteczka Verdun, które urosło do symbolu tej wojny.

„Rycerskość” tego czasu pryska, gdy ogląda się zdjęcia z lazaretów, gdy czyta się bezpośrednie relacje żołnierzy i ogląda niektóre eksponaty w mauzoleach. W muzeum-pomniku na szczycie Monte Grappa w okolicach Wenecji, gdzie rozegrała się największa góraska batalia tej wojny, można zobaczyć narzędzia, którymi walczone. Prócz karabinów, pistoletów i bagnatów leżą za szybą także maczugi i obuchy. Nie były bynajmniej rękodziełami zdziwaczów i zdesperowanych żołnierzy, tylko seryjnym produktem dla armii. Obok leżą helmy rozbite od jednego uderzenia.

Filut z Żelaznym Krzyżem

Edmund Malicki miał szczęście, że piekło Verdun obserwował z góry. Niechętnie szedł na wojnę – już samo oglądanie bitwy i pobliskich zrujnowanych miasteczek zrobiło z niego pacyfistę. Przeżył i do końca życia nosił w sobie uraz. Rzecz jasna nie było mowy o pacyfizmie w dzisiejszym rozumieniu, bo samo pojęcie spopularyzowało się dopiero wraz z powieściami Remarque’a. Wtedy odmowa pójścia do wojska równała się dezercji i traktowano ją jako niegodną mężczyzny, zwłaszcza o mocnym poczuciu honoru.

W tym czasie Edmund był już zaręczony. Pisał do swojej narzeczonej na własnoręcznie wykonanych pocztówkach. Na jednej z nich,

przedstawiającej załogę balonu wraz z naziemną obsługą, napisał: „Przesyłam ci zdjęcie, samymi rycerzami – jak mi przykro być z nimi, choć niektórzy dobrzy chłopacy”. Wstrząsającym przeżyciem dla niego była podróż do Niemiec przez zrujnowaną Belgię. Opowiadał potem wiele razy rodzinie, jaki ogrom nieszczęścia mijał po drodze.

Za wojenne zasługi otrzymał Żelazny Krzyż drugiego stopnia. Nie ceniał go. Cesarz Wilhelm przyznawał ten order masowo żołnierzom



Edmund Malicki w swej polowej ciemni.

spod Verdun. Bał się rewolucyjnych nastrojów i masowych dezercji, więc tym chętniej dawał go poborowym z okupowanych krajów. Po wojnie, już w Polsce, podczas niedzielnych defilad polskiej kawalerii, Edmund prosił swoje małe córki, by przyprowadzały mu ulubionego psa Filuta. Potem wieszał na jego obroży Żelazny Krzyż. I tak Filut paradował dumnie z Bożeną i Fernandą po ulicy.

Wojenna melancholia

Oprócz zdjęć ze zwiadu fotografował także dla siebie. Utrwalił widoki wielu miejscowości wokół Verdun, które już dzisiaj nie istnieją. Na jego zdjęciach widzimy również przemarsze

wojsk, pejzaże, kolegów z oddziału. Robił także zaskakująco liryczne autoportrety, na których patrzy w obiektyw, a w dziurkę od guzika munduru ma wetknięty polny kwiatek.

Niektóre ze zdjęć ukazują nietknięte miasteczka, jak z czasów pokoju. Na innych widać te same miejsca, ale obrócone w perzynę po zmasowanych bombardowaniach i atakach na ziemi. Z czasem skompletował tak wiele własnych fotografii, że zrobił z nich pamiątkowy album. Wykonał go w trzech kopiach – dwie trafiły do dowództwa, jedna zachowała się w domu państwa Malickich. W albumie zaskakuje nie tyle obraz wojny, co chęć ucieczki w łagodne, melancholijne tematy. I, co dziwne, nawet wtedy, gdy zdjęcia przedstawiają zniszczenia i ruiny.

Mistrz

W 1917 Edmund Malicki awansował – był dobrze wykształcony, zdyscyplinowany, miał świetnie opanowany warsztat. Niemal do końca wojny przebywał na froncie. Dopiero w 1918 r. oddelegowano go do Berlina, skąd wkrótce trafił do Poznania. Brał udział w powstaniu wielkopolskim.

Po wojnie zdał mistrzowskie egzaminy, założył własny zakład fotograficzny. Z żoną i dwiema córkami przeniósł się do Grudziądza, gdzie stał się członkiem miejscowej elity. Aparatem robił piękne portrety i pejzaże. Sporo malował. Dzisiejsi znawcy i historycy twierdzą, że gdyby losy potoczyły się

inaczej, talent Edmunda Malickiego dałby mu pozycję klasyka pejzażu fotograficznego pokroju Jana Bułhaka.

W roku 1939, już jako wybitny fotograf, współpracował z polskim wywiadem, trafił do obozu jenieckiego, skąd dzięki doskonałej znajomości niemieckiego szybko się wydostał. Po wojnie pracował jako fotograf wraz z córkami – Fernandą i Bożeną, które przejęły po nim firmę. Edmund Malicki zmarł w 1976 r.

WOJTEK KOCOŁOWSKI

Dziękujemy paniom Bożenie i Fernandzie Marii Malickim za pomoc w przygotowaniu materiału. Zdjęcia można oglądać w Internecie na stronie www.teatr.perfect.net.pl/verdun

Zakładając, że Darwin miał rację (co w Krakowie wcale nie jest takie oczywiste), krakowianie reprezentują najwyższy stopień ewolucji – twierdzą

MIECZYŚLAW CZUMA i LESZEK MAZAN. Autorzy „Przekroju” udowadniają to w kilkuset anegdotach zawartych w ukazującej się książce „Opowieści z Krainy centusiów”.

Trzy króle, cztery dupki

Namiętny karciarz, król Zygmunt I, nie lubił przegrywać. Na nieszczęście jego stali partnerzy, bracia Krzysztof i Mikołaj Szydłowieccy, również tego nie lubili. Pewnej wawelskiej nocy w grudniu 1509 r., gdy pula była bardzo wysoka, Zygmunt zgłosił swoje do niej prawo, wołając, iż ma trzy króle.

– Widzę tylko dwa – uśmiechnął się ironicznie Krzysztof Szydłowiecki. – Nie, trzy, ten trzeci to ja! – rzekł król, zagarniając pieniądze. – Ależ, Najjaśniejszy Panie, to się nie godzi! – zawołał Mikołaj. – Mamy z bra-

tem w kartach po dupku, ergo jest nasz czworo i wygrana nasza! Król uznał słuszność tej argumentacji i wygraną zwrócił; od tej pory jednak nigdy nie zasiadał do kart w towarzystwie jakichkolwiek braci.

Pozostał w Krakowie!

Aleksander Górczyn rozpoczął 3 stycznia 1661 r. wydawanie w Krakowie pierwszej polskiej gazety – „Merkurysza Polskiego”. Interes szedł świetnie, dopóki znęcony stołecznym blichtrzem imć Górczyn nie przeniósł „Merkurysza” do Warszawy. Redaktor m.in. liczył, iż gazetę czytać będą posłowie. W wyniku tej naiwności 22 lipca (sic!) 1661 r. „Merkurysz” padł śmiercią zadłużonych.

Dwieście lat później inny krakowski dziennikarz, Władysław Anczyc, postanowił wydać w Warszawie pismo dla osób mniej wyrobionych intelektualnie, o swojsko brzmiącej nazwie „Kmiotek”. Tym razem sukces był olbrzymi: warszawiacy, a osobliwie politycy, wyrwali sobie gazetę z rąk.

Gdy w roku 1949 redaktorowi naczelnemu „Przekroju” Marianowi Eilemu zaproponowano przeniesienie redakcji do Warszawy – Wielki Marian poprosił o decyzję: czy po przenosinach profil pisma ma być zbliżo-

ny do „Merkurysza”, czy do „Kmiotka”. W wyniku braku uzgodnień na szczęblu centralnym „Przekrój” pozostał aż do 2001 r. w Krakowie.

Technika i sztuka

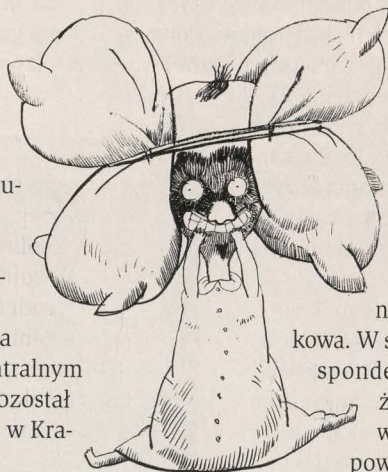
W sobotę 16 marca 1901 r. z Rynku Głównego przez Szewską i Karmelicką, ku rogatce przy parku Krakowskim ruszył pierwszy w historii miasta tramwaj elektryczny. Po dotarciu do końcowego przystanku prezydent Józef Friedlein zwrócił się do grona dostojnych osób biorących udział w tym niezapomnianym przejeździe:

– Zapraszam państwa na godzinę siódmą wieczorem do Teatru Miejskiego na część artystyczną tej uroczystości. Nasze wejście w świat najnowocześniejszej techniki i cywilizacji uświetnił pan Stanisław Wyspiański, który z tej okazji chce nam pokazać swoją sztukę zatytułowaną „Wesele”.

Zaraz po premierze arcydramatu prezydent złożył gratulacje autorowi, wyrażając jednakże przy tym żal, że w żadnej ze scen nie wspomniął, choćby najbardziej ogólnie, o uruchomionym właśnie tramwaju elektrycznym.

Przed wszystkim nie budzić

Warszawski dziennikarz i literat Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) podjąwszy szlachetne



ryzyko podróży po Galicji, przybył 2 września 1877 r. na kilka nocy do Krakowa. W słanych stąd korespondencjach donosił, że miasto jest nawet ładne, czyste, powietrze prześliczne, można dobrze zjeść, tyle że nie da się spać spokojnie, „bo jakiś wariat co godzinę gra z wieży na trąbie”.

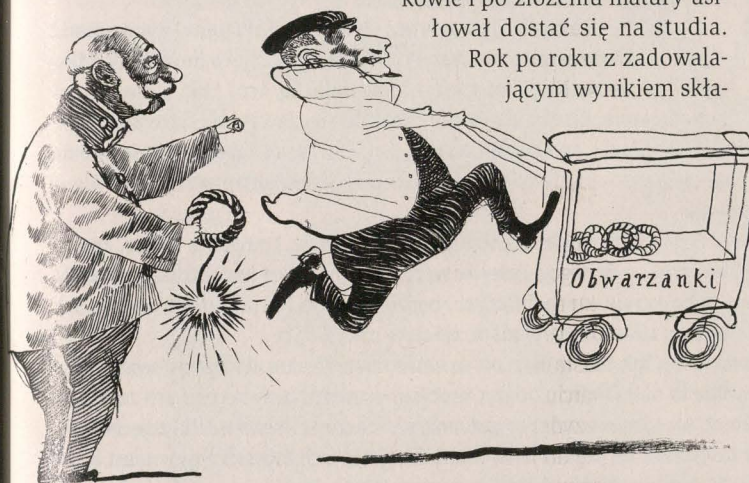
Gdy dokładnie pół wieku później centralne władze Rzeczypospolitej chciały przenieść hejnał mariacki na wieżę warszawskiego ratusza – ostry protest warszawskich hotelarzy spowodował, że hejnał pozostał na starym miejscu.

Za często w Warszawie

Tylko dwukrotnie (w roku 1851 i 1880) Franciszek Józef I raczył odwiedzić Kraków (w 1900 r. cesarz jedynie przejeżdżał przez Kraków „w drodze na manewry” i w salonie dworca przyjął stosowny hołd – przyp. aut.); w Warszawie za to był aż czterokrotnie (1849, 1850, 1860 i 1884). Zaniepokojonej deputacji krakowskiej cesarz nakazał wierzyć, iż nie jest to jednak dowód niełaski, lecz wyłącznie względy protokolarne: – Jeżdżę do Warszawy na spotkania z kolejnymi carami Rosji i nie jest moją winą, że tak często padają ofiarami zamachowców.

– Ależ bez trudu moglibyśmy coś takiego zorganizować również w Krakowie! – skłonił się premier, były namiestnik Galicji, Kazimierz Badeni.

Cesarz jednak, mimo że ceniał Badeniego jako znakomitego organizatora, więcej do Krakowa nie przyjechał.



Niezdrowy cukier

Ludwik Jerzy Kern był nabył drogą kupna swej małżonce, Marcie Stebnickiej, „malucha” i pozwolił, by pojechała nim na zakupy. Kiedy wychodziła ze sklepu, „malucha” już nie było: leżał w rowie, bo pani Marta, jak prawdziwa dama, ani nie zostawiła go na biegu, ani nie zaciągnęła ręcznego hamulca. Sam Ludwik Jerzy, kiedy już przeszła mu pierwsza złość, zapytał:

– Marta, na litość boską, ani biegu, ani hamulca... Dlaczego? – Bo ja tylko po kilo cukru...

Ludwik Jerzy stanowczo zabronił odtąd małżonce kupowania cukru, motywując to względami zdrowotnymi.

Utytułowany książę

Stanisław Lubomirski, potomek wywodzącego się z Mało-

polski jednego z najzamożniejszych rodów magnackich dawnej Rzeczypospolitej, po tułaczce w latach II wojny światowej osiadł wraz z rodzicami w Krakowie i po złożeniu matury usiłował dostać się na studia. Rok po roku z zadowalającym wynikiem skła-

dał egzaminy na historię sztuk, psychologię, języki obce, rozmaite kierunki humanistyczne.

Na próżno. Drzwi wyższych uczelni były przed nim szczelnie zamknięte. Zdesperowany tą sytuacją napisał skargę do Bolesława Bieruta, w której podał w wątpliwość wpisane do konstytucji zapewnienia o niespotykanej dotychczas w dziejach, a zaprowadzonej właśnie ludowej sprawiedliwości. Wkrótce z Warszawy nadeszła odpowiedź: zezwala się na studia, ale w związku z zachodzącymi w kraju przemianami – jedynie na kierunku hutniczym.

Jak tylko szczęśliwy adresat ukończył studia na AGH i rozpoczął pracę zawodową, wysłał do wysokiego protektora swoją pierwszą wizytówkę: „Mgr inż. Stanisław książę Lubomirski, słusarz sieci ciepłowniczej Huty im. Lenina”.

Zachwycony tą treścią Bierut polecił natychmiast rozpropagować hasło: „Cały naród buduje Nową Hutę!”.

Magnificencja w stroju niedbałym

Aktor Jan Nowicki rozmawiał z Anną Polony o bliskim awansie ich wspólnego przyjaciela: – Słyszałaś, podobno Treła będzie rektorem.

– Dlaczego nie, jak się ubierze...

Toga i gronostaje uczyniły z Jerzego Treli, dotychczasowego entuzjasty dżinsów, sweterków i koszulek polo, najprawdziej dostojną Magnificencję.

A kiedy po zaszczytnym wyborze Tomasz Zygałdo zaproponował Magnificencji rolę w filmie „Sceny dziecięce z życia prowincji”, Treła uzależnił przyjęcie roli od możliwości zakupu garniturów, w których przyjdzie mu wystąpić na planie.

Nieszczęsna przeprowadzka

A czy pani Dul-ska nie mogłaby wystąpić pana Felicjana na kopiec Kościuszki zamiast na Wysoki Zamek? A na drugi dzień do Grot Twardowskiego, zamiast do Kaiserwaldu? – pytał dyrektor Teatru Miejskiego w Krakowie, Ludwik Solski, panią Gabrielę Zapolską, gdy ta przywiozła mu

ze Lwowa w 1907 r. egzemplarz „Moralności pani Dulskiej”.

– Pewnie, że mogłaby, ale po co? – wzruszyła ramionami autorka. – Kołtun mieszka wszędzie. Przecież i tak się domyślą, że to o nich.

– He, he, he – wybuchnął upiornym śmiechem Solski. – Już ja ich znam. Natychmiast wszyscy będą mówić, a prasa pisać, że takie kamieniczniczki, takie królowe mieszczańskie obłudy mogą mieszkać tylko we Lwowie. Tu trzeba kawę na ławę.

Państwo Dulscy, przeniósłszy się w ten sposób do Krakowa, zostali już w nim na zawsze, stając się przedmiotem złośliwych dowcipów, głównie ze strony obywateli Lwowa.

Dla chleba

W latach dziewięćdziesiątych XIX w. pewien nędzarz – dla chleba – zapisał, jeszcze za życia, swe ciało prosektorium Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ponieważ zaś nie umierał – po ośmiu latach krakowski magistrat przysłał mu ponaglenie.

Gdy nędzarz nadal nie reagował, magistrat, rozumiejąc jego trudną sytuację życiową, zaproponował, by ze swoich zobowiązań wobec prosektorium wywiązywał się na raty.

Mieczysław Czuma,
Leszek Mazan: „Opowieści
z Krainy centusiów”,
Wyd. Anabasis, Kraków 2001.

RYUNKI DARIUSZ VASINA

HOFF

TRZECIA FALA



Przyplłynęły do nas ciuchy z Zachodu już w takich ilościach, że nie możemy narzekać. Narzekać, że ich nie ma. Marzenia spełnione, mamy to wszystko, o czym się śniło, po co się jechało, po co się kelnerowało, nieraz traciło dobre o sobie mniemanie, malowało domy, zmywało gary. Można na miejscu pokelnerować, pozmywać, pomalować i kupić sobie dawniej nieosiągalne.

Już tu są. Słynne firmy, słynne sieci sklepów, słynne marki. Może jeszcze nie wszyscy, ale wystarczająca ilość. I tak u Diora na ogół się płaszczy nie kupowało. Są, i co? I nic. Jakies rozczarowanie. Ciuchy jak ciuchy. Okazało się, że są dość normalne. Bluzki jak bluzki, swetry jak swetry, żakiety jak to żakiety. Właściwie nic specjalnego – myślimy. Leżą jedne lepiej, jedne gorzej – myślimy. Ale za tę cenę?

Ale, ale. Przyjechały też do nas ubrania średnio drogie. I nawet te tańsze. Zgroza. Ale modna zgroza – myślimy. Tylko że wszystkie one jakoś nas rozczarowują. Wydawały się niebotycznie cudne. Włóżysz i będziesz wyglądać jak młoda Claudia Sch. Wkładasz i myślisz: tak sobie wyglądam, ale za tę cenę?

To są normalne ceny. Tak, tak, ubrania nie są wcale tanie. Modne ubrania na świecie kosztują. Oczywiście tu należałoby poruszyć problem proporcji ceny do naszych zarobków – to inny temat. Ale rozczarowuje nas gatunek, wykończenie, trwałość. Na zdjęciach wyglądało fantastycznie, na pięknie oświetlonych wystawach zagranicznych miast kuszą urodą. A kiedy możemy dotknąć, pomacać, przymierzyć, kiedy wisi przed nami na wieszaku, wydaje się normalne, a nawet nieco rozczarowuje.

My jesteśmy trochę zafocani i jeszcze chcemy, żeby składać równo kraty, oni się nie przejmują, my patrzymy, czy materiał „nie gryzie”, ich klienci czymś modnym dają się zagryźć i zupełnie nie zwracają uwagi. Oni patrzą, żeby był modny wzór, a my ciągle macamy i grymasimy, że sztuczne.

Oni robią rzeczy ze sztucznego, sztuczne jest modne, ma być sztuczne, ma być widać, że jest sztuczne, trochę sztywne, nie przepuszcza powietrza, a komu to przeszkadza, aby wyglądało, aby się błyszczało, mieniło, lśniło. Ludzie, my chcemy, żeby bluzka była miękka, jedwabna, najlepiej żeby się nie gniotła, żeby się dobrze prała, prasowała, była mięciutka i lejąca, a kosztowała tyle co z koreańskiego poliestru.

Tak – myślimy złośliwie – przesyłają nam tu sam szajs. Ależ nie, tak teraz świat wygląda. Proszę następnym razem za granicą przejść się spokojnie po drogich sklepach i zobaczyć, co się dzieje. Jakie mają teraz gatunki (takie sobie), jak jest wszystko wykończone (tak sobie), jaka do tego jest cena. A płaci się za firmę. Przez ostatnie lata gatunki ubrań na świecie, ich wygląd, ich wykończenie gwałtownie zjechały w dół. Zmieniły się wymagania, znane marki nie wstydzą się rzeczy zupełnie średnich. Szyje się wszystko Bóg wie gdzie, żeby było taniej, szuka się tańszych materiałów itp. Nawet supersłynne i wręcz wytworne firmy nie ofiarują superdobrych i wytwornych rzeczy.

Ciuchy zagraniczne gwałtownie nam spowszedniały, na pokazach słynnych firm siedzimy zdumieni, że to takie kiepskie i nudne, a największym rozczarowaniem jest to, że często nie odróżniamy ich od miejscowych.

Wielkimi krokami zbliża się godzina 0. Króluje czarny, ale też jest na wieczór beż. Masami widać skoszone doły, kochane mini jest nadal, a o mieszanu stylów pisałam w zeszłym tygodniu: patrzcie, jakie tu są rajstopy i buty.

VIVIANE WESTWOOD, FOT. DAVID STRECHOWSKI/REX

MAGAZYN ROKU

tytuł przyznany przez MEDIA i MARKETING POLSKA



VIVA! LOTERIA
W ŚRODKU KUPON
- SPRAWDŹ PIN
WYGRAJ 100 000 zł!

już nigdy nie będę kretynką!

Britney Spears

uwaga!

VIVA! LOTERIA
W ŚRODKU KUPON
- SPRAWDŹ PIN
WYGRAJ 100 000 !

Kopernik w bańce

Od czasów Kopernika, a nawet jeszcze wcześniej, przedstawiano nasz system planetarny jako twór płaski jak naleśnik. Teraz astronomowie są przekonani, że Układ Słoneczny jest kulisty.

Gdy teleskopy wyławiają z bezkresu kosmicznej pustki obiekty oddalone o miliardy lat świetlnych, wydawać by się mogło, że dość dobrze już poznaliśmy własny system planetarny. A jednak ostatnie lata przyniosły dramatyczną zmianę w naszych wyobrażeniach o peryferiach Układu Słonecznego.

Przestrzeń poza orbitami Neptuna i Plutona nie jest tak pusta, jak nam się dotąd zdawało. Istnieje tam bogaty świat, o którym zaczynamy dopiero zdobywać pierwsze informacje. Co więcej, ten świat zaczyna dziś zmieniać nasze wyobrażenie o kształcie Układu Słonecznego.

Kartka już nie wystarcza

Niespełna pięć wieków temu Kopernik wyrysował cyrklem na kartce papieru osiem koncentrycznych okręgów. Okrąg wewnętrzny symbolizował Słońce, zewnętrzny – sferę gwiazd stałych. Pozostałe przedstawiały orbity sześciu planet znanych w XVI wieku: Merkurego, Wenus, Ziemi, Marsa, Jowisza i Saturna.

Do dziś podręczniki astronomii i wydawnictwa popularnonaukowe powielają ten schemat (oczywiście bez sfery gwiazd stałych, pojęcia rodem z astronomii średniowiecznej) wręcz do znużenia. Od prawie 500 lat! Nie wiele teorii naukowych może się poszczycić równie długim żywo-

tem. Co prawda, po ukazaniu się dzieła „De revolutionibus” astronomowie kilkakrotnie poprawiali rysunek Kopernika. Dorysowali orbity Urana, Neptuna i Plutona. Między Marsem i Jowiszem domalowali też chmurę planetoid. Istota rysunku nie uległa jednak zmianie.

Prosty szkic Kopernika okazał się tak bardzo trafny, że nie zaszkodziła mu nawet epoka lotów kosmicznych. Wprost na nim można zaznaczać trajektorie sond kierowanych z Ziemi do innych ciał Układu Słonecznego. Mimo to astronomom przełomu XX i XXI wieku przestał on wystarczać. Twierdzą oni, że rzeczywistość jest znacznie bogatsza, niż to wynika z rysunku Kopernika.

W 1930 r. amerykański badacz nieba Clyde Tombaugh znalazł Plutona – najdalszą planetę Układu Słonecznego. Odkrycie to okrzyknięte zrazu wielkim triumfem astronomii, dziś zaczyna być traktowane jako jedna z największych pomyłek w dziejach poznawania kosmosu.

Jeszcze w XIX w. przypuszczano, że poza odkrytym w 1846 r. Neptunem może istnieć nie znana, dziewiąta planeta. Tombaugh kupił tę hipotezę, tym bardziej że znalazła ona potwierdzenie w obserwacjach. W pierwszym ćwierćwieczu

XX w. wykryto bowiem, iż ruch dwu skrajnych planet Układu Słonecznego – Urana i Neptuna – jest zakłócany przez jakiś inny obiekt. Wszystko wskazywało, że chodzi o nie znaną planetę. Tombaugh zaczął szukać i po wielu nocach spędzonych przy teleskopie w styczniu 1930 r. znalazł słabutką plamkę na niebie. W świat poszła wiadomość: odkryto dziewiątą planetę!

Planeta to, czy nie?

Początkową euforię zastąpiło jednak zdziwienie, gdy okazało się, że Pluton nie jest kolejnym gazowym olbrzymem – jak poprzedzające go w Układzie Słonecznym Neptun, Uran, Saturn i Jowisz. Gdy udało się, dopiero po kilkudziesięciu latach, dokładnie zmierzyć jego średnicę, stwierdzono, że nie tylko jest mniejszy od małego Merkurego, ale wielkością ustępuje nawet kilku księżycom różnych planet, w tym też naturalnemu satelicie Ziemi.

Czy tak drobne ciało mogło „potrząsnąć” orbitami Urana i Neptuna? Bardzo wątpliwe. Wygląda

na to, że czysty przypadek podsunął Tombaughowi Plutona w trakcie poszukiwań dziewiątej planety. A to, co znalazł, tak naprawdę planetą nie jest.

Ciąg dalszy tej historii dopisują ostatnie lata. Tam, gdzie poza orbitami Neptuna i Plutona widziano do niedawna jedynie kosmiczną pustkę, dziś potężne teleskopy ujawniają niezwykle bogactwo ciał kosmicznych. Do tej pory naliczono ich już blisko 400. Ze względu na kolosalną odległość – ponad sześć miliardów kilometrów – potrafimy na razie dostrzec tylko obiekty o średnicach co najmniej stu kilometrów. Astronomowie przypuszczają, że łącznie z ciałami o mniejszych rozmiarach mogą tam krążyć miliardy globów.

Tę chmurę brył kosmicznych nazwano pasem Kuipera – dla uczczenia Gerarda Kuipera, Holendra z amerykańskim paszportem, który pół wieku temu przewidział istnienie takiego zbiorowiska na peryferiach Układu Słonecznego. Do tego zbiorowiska należy również Pluton, przez pomyłkę zaliczony 71 lat temu do grona planet. Dziś pozostaje planetą głównie na mocy ludzkich przyzwyczajęń i dzięki konserwatyzmowi Międzynarodowej Unii Astronomicznej, która nie

KOPERNIKA UZUPEŁNILI:

■ Początek XVII w.

Johannes Kepler – stwierdził, że orbity planet nie są okręgami, jak sądził Kopernik, lecz mają kształt elips (elipsy te są jednak bardzo zbliżone do okręgów).

■ 1781

Frederick William Herschel – odkrył planetę Uran, której nie znano w czasach Kopernika.

■ 1783

Frederick William Herschel – doszedł do wniosku, że Słońce nie jest nieruchome, lecz wraz z otaczającymi je ciałami porusza się względem innych gwiazd.

■ 1801

Giuseppe Piazzi – odkrył pierwszy obiekt pasa planetoid pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza.

■ 1846

Johann Galle – odkrył Neptuna, ósmą planetę Układu Słonecznego.

■ 1930

Clyde Tombaugh – przekonany, że znalazł dziewiątą planetę, odkrył w istocie pierwszy obiekt pasa Kuipera.

■ ?

Odkrycie pierwszych obiektów obłoku Oorta zostanie zapewne dokonane za pomocą dużego teleskopu wyniesionego w kosmos.

może się zdecydować na formalny akt degradacji Plutona.

Matecznik komet

Wróćmy jednak do Kopernikowskiego schematu. Jak widać, należałoby dziś do niego dorysować okrąg symbolizujący pas Kuipera. Astronomowie twierdzą jednak, że na tym nie koniec. Układ Słoneczny kryje jeszcze jedną tajemnicę, która nadal czeka na odkrycie. Lecz dla jej przedstawienia nie wystarczy już kartka z manuskryptu „De revolutionibus”.

Na kartce Kopernika można było bez trudu narysować wszystkie planety łącznie z planetoidami i ciałami pasa Kuipera, bo krążyły one wokół Słońca w jednej płaszczyźnie. Tymczasem wiele wskazuje na to, że pas Kuipera rozciąga się jeszcze dalej, stopniowo przekształcając w twór sferyczny. Tam, gdzie nie sięgają dzisiejsze teleskopy, zamienia się w gigantyczny obłok utworzony z lodowych ciał, które krążą wokół Słońca w odległości ok. sto tysięcy razy większej niż Ziemia. Zamykają one w kulistej przestrzeni wszystkie pozostałe ciała naszego systemu.

Wizję takiego Układu Słonecznego przedstawił 50 lat temu inny Holender – Jan Hendrik Oort. Co prawda nikt do tej pory nie znalazł żadnego obiektu należącego do obłoku Oorta, jednak hipoteza jest dziś powszechnie akceptowana. Dlaczego? Astronomowie wskazują na komety, które docierają do Słońca z najróżniejszych kierunków – nie tylko z rejonów leżących w płaszczyźnie, którą wyznaczają planety i pas Kuipera.

Przypuszcza się dziś, że właśnie obłok Oorta, otaczający system planetarny ze wszystkich stron, jest prawdziwym matecznikiem komet. Od czasu do czasu siły grawitacyjne powodują wytrącenie którejś z nich z obłoku i wówczas ciało to zbliża się do Słońca, fundując nam niekiedy prawdziwy spektakl na niebie. Jedne komety wiążą się ściślej ze Słońcem, powracając do niego co kilka lub kilkadziesiąt lat (jak słynna kometa Halleya). Pozostałe znikają nam z oczu na setki, tysiące lat, a być może nawet odlatują bezpowrotnie.

Tak więc Układ Słoneczny dla obserwatora spoglądającego z większej odległości nie jest tworem płaskim jak naleśnik. Jest konstrukcją trójwymiarową. Przypomina gigantyczną bańkę mydlaną unoszącą się – być może pośród wielu innych podobnych bańek – wewnątrz Galaktyki. Trzeba spojrzeć do wnętrza tej bańki, aby dostrzec – mikroskopijny w stosunku do jej rozmiarów – system planet i innych ciał krążących wokół Słońca. System Kopernika.

LESŁAW PETERS

TO I OWO

POĆCIE SIĘ I ROZMNAŻAJCIE

Podczas badań prowadzonych w Szwecji stwierdzono, że kobiety i mężczyźni odmiennie reagują na naturalne substancje zapachowe i smakowe zwane feromonami. Wcześniej wiedzano, że substancje te pełnią różne funkcje u zwierząt, m.in. służąc samicom do wabienia samców, jednak nie znano mechanizmu ich działania. Dr Ivanka Savic z Instytutu Karolinska w Sztokholmie i zespół badaczy z Kliniki Uniwersyteckiej Huddinge użyli specjalnego skanera, który po raz pierwszy pozwolił wykryć zmiany w mózgu, zachodzące pod wpływem feromonów. Okazało się, że woń spoconego mężczyzny powoduje zwiększony dopływ krwi do tego rejonu mózgu kobiety, który jest odpowiedzialny za rozmnażanie. Podobny wpływ na mózg mężczyzny ma woń wydzielana przez kobietę. Nie zarejestrowano natomiast oddziaływania feromonów na mózgi osób tej samej płci. Uzyskane wyniki dowodzą, iż używanie perfum i wód po gołeniu w celu zwiększenia własnej atrakcyjności seksualnej ma uzasadnienie fizjologiczne.

JAK 2,6 MILIONÓW SŁOŃC



Astronomowie uzyskali najbardziej przekonujący z dotychczasowych dowodów, że w centrum naszej Galaktyki znajduje się olbrzymia czarna dziura. Obiektów tego typu nie można zobaczyć bezpośrednio, pochłaniają one bowiem wszystko, co znajdzie się w ich otoczeniu – łącznie

ze światłem. Jednak skutkiem ubocznym owej „żarłoczości” są gwałtowne rozbłyski promieniowania rentgenowskiego. Taki właśnie rozbłysk, świadczący o nagłym zniknięciu w czeluściach czarnej dziury dużych ilości gazu i pyłu kosmicznego, zarejestrował satelita amerykański Chandra X-Ray Observatory. Odkrycie ogłosiła grupa astronomów z Massachusetts Institute of Technology. Choć czarne dziury pozostają niewidzialne, możemy obserwować skutki ich oddziaływania grawitacyjnego. Na podstawie analizy prędkości, z jaką miliony gwiazd krążą blisko środka naszej Galaktyki, obliczono, że znajdująca się tam czarna dziura ma masę 2,6 miliona razy większą od Słońca.

INŻYNIEROWIE Z NEOLITU

Brytyjscy archeolodzy odkryli w pobliżu Callander w Szkocji dom mieszkalny rolników z młodszej epoki kamiennej. Budynek wzniesiony 6000 lat temu, a więc starszy od piramid egipskich, wywołał zdumienie naukowców. Ma 24 m długości i 9 m szerokości. Zbudowano go z masywnych bali drewnianych, wyodrębniając w środku mniejsze pomieszczenia: pokój dzienny, sypialnię i kuchnię. Ponieważ twórcy budynku nie znali gwoździ, drewniane bale połączyli drewnianymi kołkami. Zdaniem dr. Gordona Barklaya z Uniwersytetu Stirling nigdzie dotąd w Europie nie znaleziono równie zaawansowanego przejawu sztuki inżynierskiej z tak odległych czasów. Odkrycie świadczy, że neolityczni inżynierowie nie ustępowali pod względem umiejętności i inteligencji dzisiejszym architektom.

(LP)

31-letnia Joanna Łabędź z Wrocławia – od połowy swego życia poddawana różnorodnej terapii, łącznie z operacjami wszczępienia endoprotez bioder, usztywniania stawów skokowych – odzyskała w okresie stosowania leku nowej generacji władzę w nogach i poruszała się bez pomocy inwalidzkiego wózka, zapominając, co to przejmujący ból.

Katarzyna z Jarosławia dzięki temu samemu preparatowi też mogła odstawić na półkę stosowane dotąd tabletki. Jej kolana i ręce przestały puchnąć, zniekształcać się. Terapia przywróciła ją rodzinie, pozwala znów prowadzić dom, zajmować się małą córeczką, a nawet akompaniować na fortepianie w ognisku baletowym dla dzieci.

Czy nowy lek rzeczywiście stanowi punkt zwrotny w leczeniu reumatoidalnego zapalenia stawów?

Stan zapalny

Gościec przewlekły postępujący wciąż nie jest do końca rozpoznany. Jego przyczyn szuka się w uwarunkowaniach genetycznych oraz coraz śmielej w autoimmunizacji. Jest to sytuacja, w której organizm sam siebie oszukuje, produkując przeciwciała, bo nie potrafi odróżnić substancji własnych od obcych. To objawia się właśnie stanem zapalnym w stawach i strukturach okołostawowych.

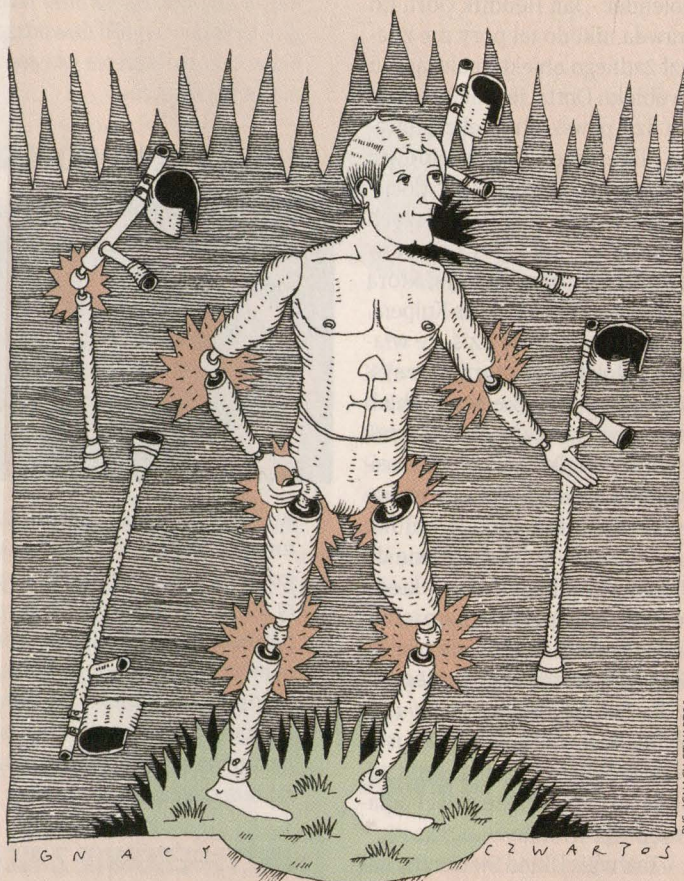
Jeszcze kilka lat temu reumatolodzy byli zupełnie bezradni wobec choroby dającej znać o sobie gorączką, obezwładniającym bólem, obrzękiem, zniekształceniami i zesztynieniem stawów. W zasobie leków nie było takiego, który skutecznie by zwalczał jeśli już nie przyczynę, to przynajmniej objawy choroby. Nawet preparaty ogłaszane jako rewelacyjne niosły z sobą niepożądane skutki uboczne: krwawienia z żołądkowo-jelitowego odcinka dróg pokarmowych, ostrą chorobę wrzodową. Z powodu tych powikłań w Wielkiej Brytanii np. hospitalizowano 12 tys. osób, a w USA aż osiem razy więcej.

Wyciszanie bólu

Pod koniec lat 80. profesor John R. Vane, laureat Nagrody Nobla (współpracował z nim kiedyś prof. Ryszard Gryglewski, farmakolog z Collegium Medicum UJ), zasygnalizował, że należy inaczej spojrzeć na

Chore stawy

Pocziwa aspiryna
jest dobra na reumatyzm,
ale lek likwidujący tę chorobę
dopiero powstaje.



REUMATYZM – nazwa powszechna, ale niepoprawna. Medycyna mówi o chorobach reumatycznych, które obejmują prawie 200 jednostek o różnej epidemiologii, przebiegu, metodach leczenia. W Polsce na owe schorzenia cierpi aż 5 milionów ludzi, a 1,7 miliona z tego powodu jest na rencie. W tym – 75 tysięcy przykutych do łóżka.

Chorują ludzie wszystkich ras i pod każdą szerokością geograficzną. Reumatyzm dotyka trzykrotnie więcej kobiet niż mężczyzn. Aż siedmiu na dziesięciu chorych po dziesięciu latach wymaga stałej opieki. Choroba, atakując często układ sercowo-naczyniowy, płuca, przewód pokarmowy i narząd wzroku – skraca życie średnio o 7 lat. Najgroźniejsze reumatoidalne zapalenie stawów dotyka pół miliona Polaków. W 80 procentach ludzi w sile wieku, pomiędzy 30. a 50. rokiem życia, skazuje na wózek inwalidzki albo kule.

znaną od stu lat aspirynę. Zwłaszcza na jej aktywny udział w zmniejszaniu skutków związanych z wytwarzaniem w organizmie substancji (prostaglandyn) wywołujących takie reakcje jak ból, puchnięcie, itd.

Wieloletnie badania nad aspiryną i prostaglandynami w kilkanaście lat później zaowocowały nową generacją niesterydowych leków antyzapalnych. Co prawda, wciąż jeszcze nie powstrzymują one destrukcji stawów i nie zwalniają biegu choroby, ale za to wyraźnie łagodzą jej objawy. I przede wszystkim – ból. Sprzedaż celebrexu i vioxu w USA, także w Europie Zachodniej, pobiła nawet sprzedaż viagry! Niestety, na preparat likwidujący przyczynę RZS jednak czekamy...

Nadzieja w molekularnej

Nadzieję na zmiany wiąże się z biologią molekularną. Specjaliści poznali przebieg reakcji zapalnych na poziomie komórkowym. Zwrócili też uwagę na czynniki biologiczne zwane cytokinami, produkowane przez komórki w celu wywołania, ale również przeciwdziałania stanom zapalnym. Azymutem okazało się odkrycie, że na szczycie kaskady tych cytokin – pośredniczących w komunikacji pomiędzy komórkami odpornościowymi – stoi ta najistotniejsza dla reumatoidalnego zapalenia (TNF-alfa, z ang. tumor necrosis factor – czynnik martwicy nowotworu). Ten bowiem czynnik należy zablokować, by wyhamować proces destrukcji układu mięśniowo-stawowego.

Metodami rekombinacji genetycznej uczonym udało się uzyskać lek, który zbliża do powstrzymania choroby reumatoidalnej poprzez głęboką ingerencję w mechanizmy immunologiczne organizmu. Czy z równym skutkiem uda się to zastosować u wszystkich i na jak długo? Prawdę o skuteczności leku – bardzo drogiego i podawanego wyłącznie pod ścisłym nadzorem lekarskim z powodu znacznego obniżania odporności organizmu – będzie można poznać po kilku latach. Poprawę stanu zdrowia, a więc i jakości życia, odnotowuje się obecnie u 60 procent chorych, zażywających nowy lek. Oznacza to, że nie wszyscy pacjenci równie dobrze nań reagują. Dlaczego? Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi...

TERESA BĘTKOWSKA



LEN & CERAMIDY



Kasety pielęgnacyjne damskie

Kasety perfumeryjne męskie



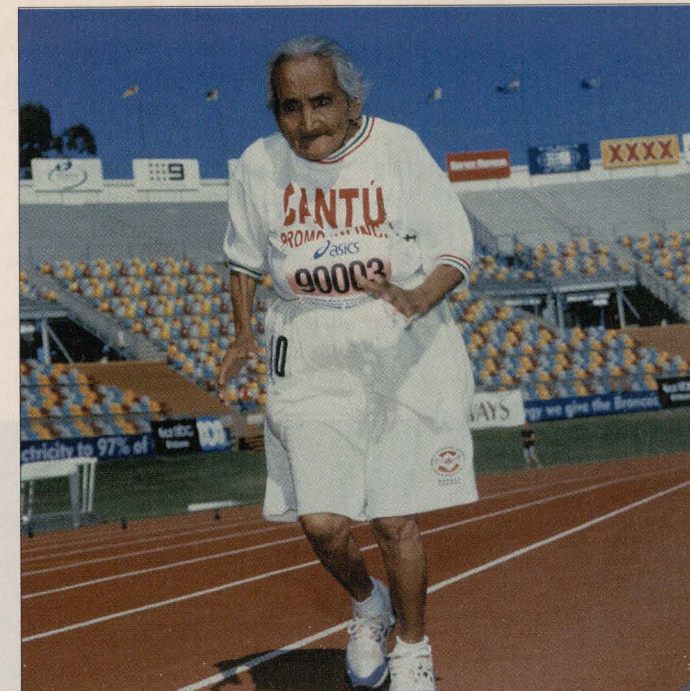
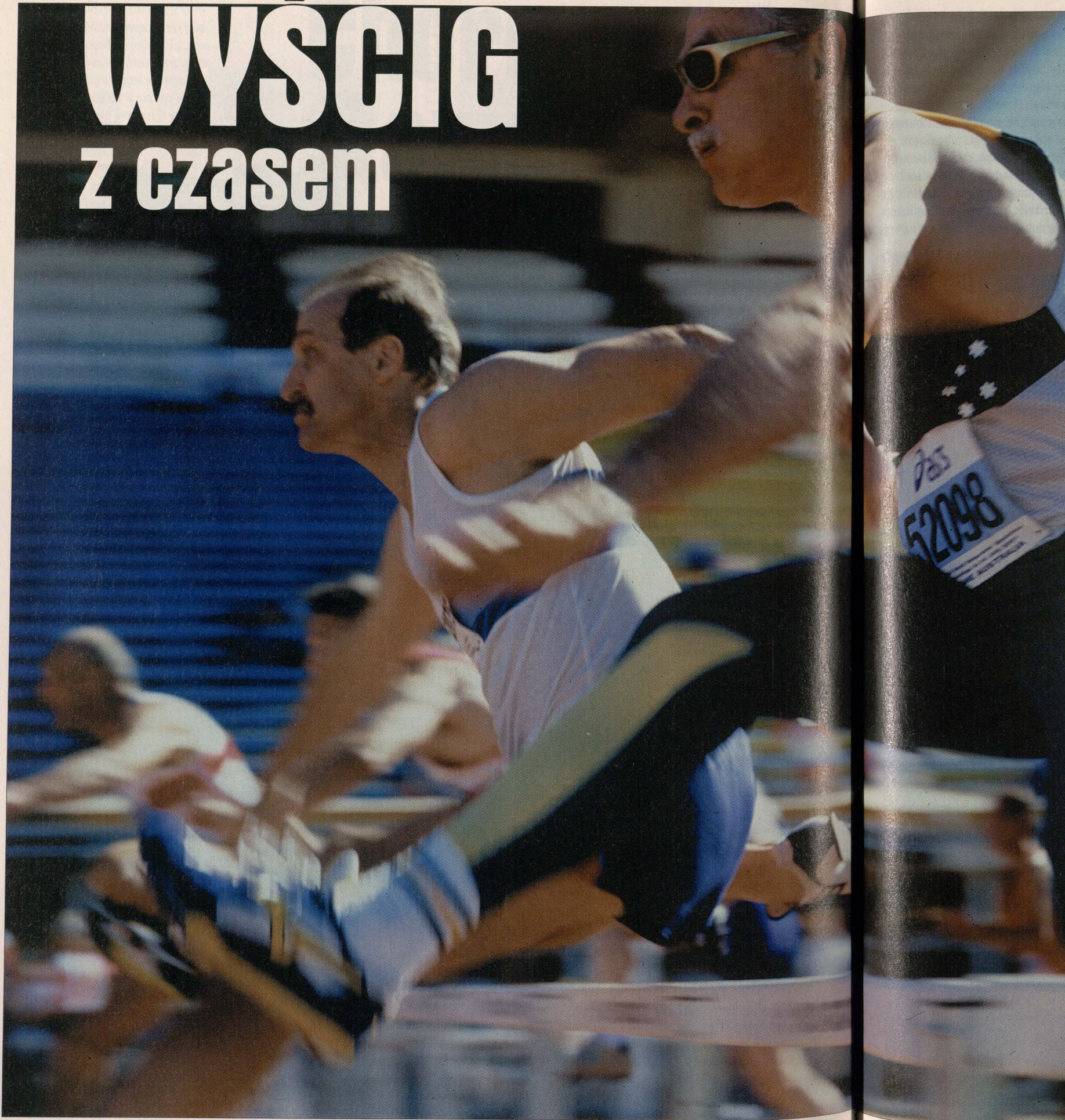
KASETY UPOMINKOWE DO NABYCIA W SKLEPACH KOSMETYCZNYCH I DROGERIACH NA TERENIE CAŁEGO KRAJU ORAZ W SKLEPACH PATRONACKICH Z CHARAKTERYSTYCZNYM NEONEM



Fabryka Kosmetyków POLLENA-EWA SA, 90-616 Łódź, tel. 42/ 633 98 55



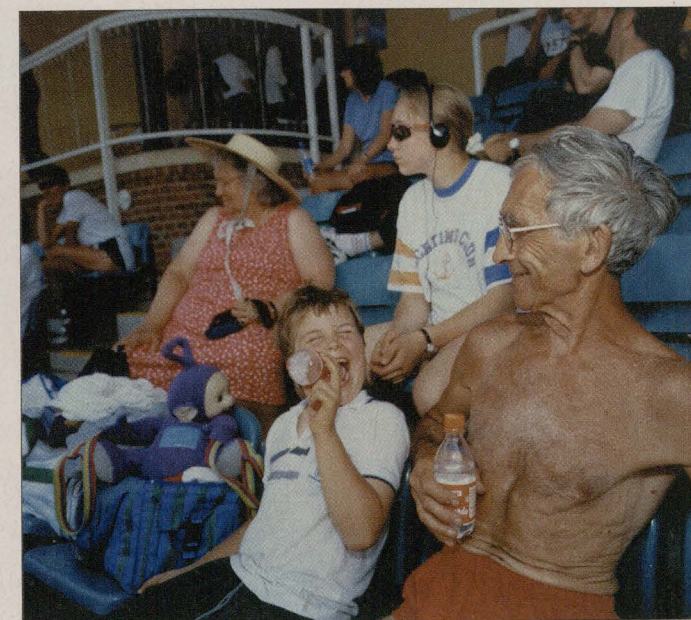
WYŚCIG z czasem



Rosari Iglesias, lat 90, Brisbane.

TEKST JOANNA GROMEK
FOT. ALISTAIR BERG / EK PICTURE

Fotografie Alistaira Berga
prowokują do postawienia
dwóch pytań:
Co to znaczy uprawiać sport?
Czym jest starość?



Mistrzostwa Weteranów, Eton 2001.

Sport można uprawiać przez całe życie, nawet wyczynowo, to znaczy z założeniem, że ważne są osiągnięte wyniki. Dowodzą tego choćby prezentowane zdjęcia. To, że ruch i wysiłek fizyczny sprzyjają zachowaniu zdrowia do późnego wieku, jest dzisiaj oczywistością. Systematyczny trening wzmacnia organizm i zwiększa jego wydolność. Rzesze joggerów, rowerzystów, wrotkarzy wierzą, że uda im się powstrzymać działanie czasu.

Eliksir młodości nie jest już potrzebny – zdają się mówić, determinacja i siła woli mogą go zastąpić. To oczywiste, ale pożyteczne złudzenie. Blisko jednak spokrewnione z niebezpiecznym przeświadczeniem, że lepiej jest być młodym niż starym, pięknym niż brzydkim, bogatym niż ubogim. Te złudzenia były mocnym fundamentem tak zwanej kultury zachodniej w drugiej połowie dwudziestego wieku. Dobrym czy złym – na to bardzo trudno odpowiedzieć.

Czy na pewno zdrowy

Pomiędzy ruchem dla zdrowia a sportem wyczynowym jest jednak zasadnicza różnica. Nie bierze się udziału w olimpiadzie dla przyjemności – w każdym razie nie takiej, jakiej dostarcza niedzielna wycieczka rowerowa. Nie osiąga się rezultatów pozwalających na uczestnictwo w sportowej walce bez wielkiego wysiłku.

I nie zawsze ten wielki wysiłek daje satysfakcjonujące wyniki. Ileż razy zdarza się czytać o ofiarach sportu: młodych ludziach okaleczonych na skutek kontuzji, „przetrenowania”, zażywania sterydów czy innych środków, które miały zagwarantować im sukces. Nawet oglądając w telewizji relację z meczu, można usłyszeć rzucaną mimochodem uwagę: zawodnik trzydziestoletni, jak na piłkarza już stary. Podobnie jest w innych dyscyplinach sportu i chyba tylko szachista po trzydziestce nie musi się obawiać epitetu „za stary jak na sportowca”. Czy to mit, czy rzeczywistość niszczącego działania ostrego treningu pomnożonego przez dążenie do „lepszyc” wyników?

Szybkość, intensywność, ekspansja, siła, sukces – te słowa, postawione w jednym szeregu z wypisanym wielkimi literami: MŁODOŚĆ – zastąpiły niektórym wszelkie inne zasady i dążenia. Być może pozostały w spadku po przegnanym przez sprzymierzone armie faszyzmie z jego wolą mocy i kultem ciała. Ale też pewnie są przejawem odwiecznego lęku przed śmiercią, obawy wywołanej często uświadamianą kru-

chością życia. Kult młodości to wynalazek kultury masowej. Wszystkie negatywne oceny tego zjawiska bardzo łatwo wziąć w nawias, jeśli szczerze odpowiemy sobie na pytanie: czy boję się starości? Cóż zrobić, nie kusi nas przekonanie o wadze doświadczenia zdobywanego przez wiele lat ani wizja grona wnucząt i prawnucząt. Ceniemy starych mistrzów i mędrców, zgarbionych nad księgami, pod jednym wszak-

że warunkiem – jeśli nie obsadzamy w tej roli samych siebie.

Nadzieja na starcie

Czy więc chcielibyśmy – po osiągnięciu stosownego wieku – stanąć na mecie sztafety sześćdziesięciolatek albo na podium wśród lekkoatletów po siedemdziesiątce? Odpowiedź na to pytanie zależy także od szerokości geograficznej, pod jaką je zadano.

W Polsce na pewno doszłaby do głosu gorycz ludzi, którzy spędzili młodość w pseudokomunistycznym pseudoraju, tracąc z biegiem lat złudzenia na temat swoich możliwości. Niechęć do starości, starzenia się ma bowiem wiele wspólnego z brakiem nadziei na tak zwane lepsze jutro. Jeśli w młodości tak trudno było nie tylko osiągnąć coś wielkiego, ale nawet zachować dobre samopoczucie, to coś dopiero na sta-

rość... Bieda i degradacja osób w podeszłym wieku stoją niestety na przeciwnym biegunie radości uprawiania sportu.

Być może dzisiejsi dwudziesto- i trzydziestolatekowie zechcą w przyszłości pójść w ślady uprawiających sport do późnego wieku, zmagających się ze słabościami ciała przez całe życie, czerpiącymi siłę z przełamywania barier wydolności organizmu. Być może wpływ na ich decyzję będzie

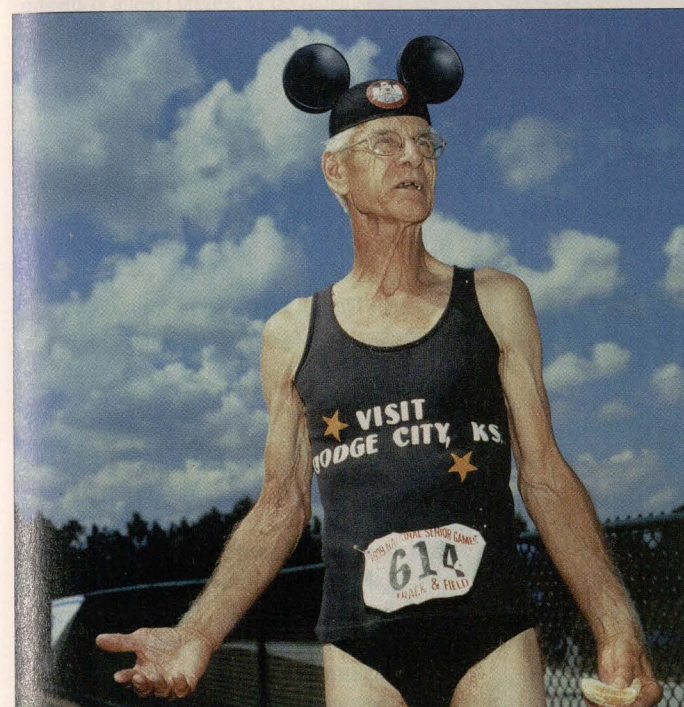
miął zdrowy rozsądek lub fascynacja sportową rywalizacją. Na pewno jednak będą musieli zmierzyć się również z konwencją w postrzeganiu ciała ludzkiego, własnego ciała.

Czy pięknym można nazwać ciało siedemdziesięcioletniej lekkoatletki? Albo dziewięćdziesięcioletniego biegacza? Odpowiedź Alistaira Berga brzmi: tak!

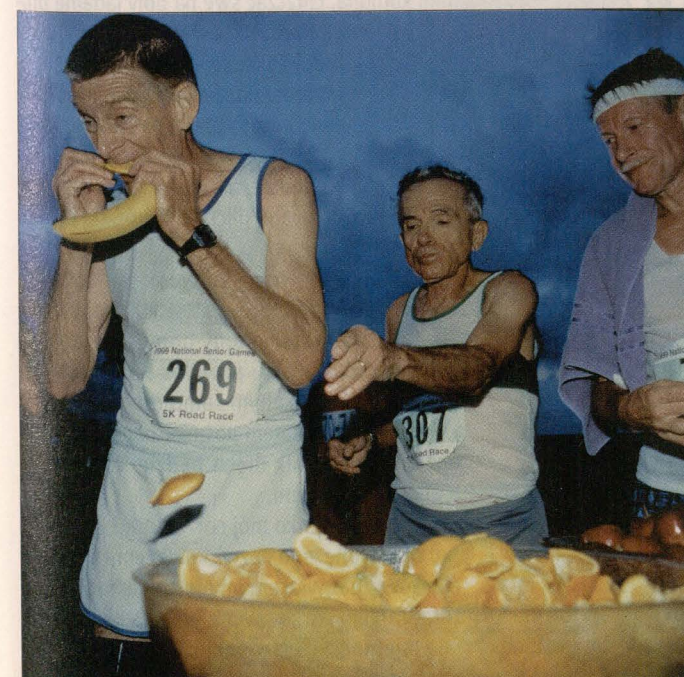
JOANNA GROMEK



Tor Magnuson, lat 80, wygrał brązowy medal za skok wzwyż, Brisbane 2001.



John „doc” Holliday na Igrzyskach Seniorów, Floryda 1999.



Narodowe Igrzyska Seniorów, Orlando, Floryda 1999.

Poznajmy się bliżej...

PROGRAM RODZINA

to kompleksowa ochrona ubezpieczeniowa przy jednoczesnym uproszczeniu skomplikowanej procedury zawierania kilku umów.

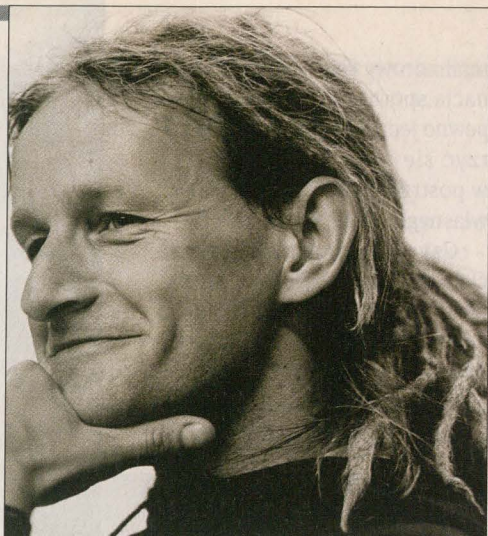


Program Rodzina obejmuje:

ubezpieczenie mieszkań i domów od kradzieży z włamaniem oraz skutków ognia i innych zdarzeń losowych;
ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym
ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków.



Towarzystwo Ubezpieczeniowe COMPENSA S.A.
ul. Łucka 13, 00-842 Warszawa, tel. (22) 620 95 65, fax (22) 620 45 97
e-mail: centrala@compensa.com.pl, www.compensa.com.pl



FOT. ANDRZEJ KRAMARZ / STOROCENT

UTRACONA MAGIA NAZW

Ostatnio zamieszkałem z narzeczonym. Jest dla mnie dobry. Przyniósł mi na śniadanie sajgonki i kupił mi u ruskich na bazarze moje ulubione „Biełomory”. Znacie tę rozkosz: wyjmować osadzone na tekturowych fifach cygarety z kwadratowego pudełeczka z mapą „Biełomorkanału”, zaciągać się, delektować, kaszleć i rzezić...

Jacek Kleyff śpiewa piosenkę, do której napisania natchnęła go z jednej strony fraza autorstwa Jana Kelusa, a z drugiej chińska przyprawa do zup „Tiananmen”. I czasem opowiada przy tej okazji anegdotę o spotkaniu z „Zielonym” Niemcem, też miłośnikiem „Biełomorów”. „Słuchaj, Hans. A papierosa Auschwitz-Birkenau zapaliłbyś?” – miał go wtedy zapytać. No właśnie. Jak przełknąć przyprawę „Tiananmen” albo wypuścić chmurę z „Biełomora” upamiętniającego przedsięwzięcie Stalina, którego cel został osiągnięty najdosłowniej po trupach?

Odnoszę jednak wrażenie, że Kleyffy są na wygnięciu i coraz mniej wrażliwi jesteśmy na znaczenia nazw, że nie wspomnę o ich magii. Zresztą tyle jest na ziemi miejsc naznaczonych męczeństwem i śmiercią, że nie tylko chińską przyprawą czy biełomorem należałoby się zakrzusić. Także papierosem „Grunwald”, drinkiem „Bielizna Goeringa”, no i sajgonkami też. Jednak z wieloma nazwami, jak i z tragediami, oswoiliśmy się i jeśli mówimy np. „Ale sajgoni!”, to mamy na myśli najczęściej po prostu bałagan w mieszkaniu.

A jeden mój przyjaciel to dał córce na imię Adolfina. Trochę niechący, bo w szpitalu domagali się podania jakiegoś imienia, a była akurat rocznica zdobycia Berlina i w przypły-

Wciąż
miewają
dla nas urok,
ale
nie potrafią
go już rzucać.

wie czarnego humoru rzucił to „Adolfina”, a potem już tak zostało w papierach. I trudno, trzeba kochać Adolcię. A w porewolucyjnej Rosji podobno wcale popularne było nadawa-

nie dziewczynom imienia Elektryfikacja. Nie wiem, jakie jest zdrobnienie od Elektryfikacji, ale chyba nie Ela?

Tak czy siak, zdaje się, że nazwy wciąż miewają dla nas urok, ale nie potrafią go już rzucać. Coraz częściej nazwy i imiona oderwane są od tego, co oznaczają, albo z założenia nie oznaczają nic. Dobrą szkołę w tym względzie dała nam komuna, chrzcząc swe na poły jadalne produkty mianem herbatników „Wybornych” albo „Kawy zbożowej Luksusowa”. A ktoś, kto siedemdziesiąt lat temu nazwałby swoją firmę „Kowalski i Synowie”, dziś nazwie ją „Kowex”.

Wiarę w siłę nazwy zachowujemy częściej, gdy nazwę trzeba odebrać, nie nadać (te nieustanne korowody z nazwami ulic!). Właśnie się dowiedziałem, że wcale pokaźna część Estończyków opowiada się za zmianą nazwy swej ojczyzny na Estland, m.in. dlatego, że Estonia kojarzy się z katastrofą promu. Fajny pomysł i warto go podchwycić. Mnie na przykład Kopernik kojarzy się z roztrzaskanym samolotem, a Chopin z wódką, żądam zatem pośmiertnej zmiany tych nazwisk. Kopernik niech będzie Koperskym, a Chopin Szopenem.

A co na to wszystko mój narzeczony? Marzy mu się, że przyjmę jego nazwisko. Przepraszam Czytelników, że zawracam im głowę mimochodnym zdradzaniem się z tzw. preferencjami, ale brzemień tajemnicy bardzo mi już ciążyło. Sajgonki tymczasem wystygły.

JACEK PODSIADŁO

Wyberzmy przeszłość

Jedną z cech, która odróżnia telewizję publiczną od jej komercyjnych konkurentek, jest narcyzm. O ile TVN, Polsat, Puls czy RTL7 kuszą konkretnymi filmami, produkcjami własnymi lub cudzymi, o tyle TVP jest przekonana, iż względy widzów należą jej się... tak po prostu, z wieku i urzędu. Za dawne zasługi, obecny wdzięk i przyszłą bezpretensjonalność. Dlatego TVP kocha wszelkie benefisy, jubileusze i gale. Zwłaszcza jeśli na estradzie brylują telewizyjni prezenterzy, dyrektorzy anten i prezesi. W porządku, nikt nie jest doskonały, każdy ma jakieś słabości. Ale ktoś na Woronicha tkwi w przeświadczeniu, że ta słabość może być przewagą. I to już jest perwersja.

Program „Dobry wieczór, tu Łódź”, którym niedawno obdarzyła nas Dwójka w 45. rocznicę istnienia ośrodka telewizyjnego w mieście Leszka Millera, był perwersyjny podwójnie. Nie dość, że TVP zajęła się własną historią, jak za dawnych lat zaprezentowała na estradzie władze (oprócz własnych) partyjne i państwowe, to jeszcze postanowiła na światło dzienne wyciągnąć swoje najbardziej żenujące produkcje w charakterze wisienek na urodzinowym torcie.

Są wisienki z czasów późnego Gomułki i wczesnego Gierka, które można pokazywać i konsumować bez końca. Kabaret Starszych Panów, niektóre spektakle teatralne, a nawet seriale – bronią się na swój sposób, mimo realizacyjnej siermiężności. Ale na pewno do tej kategorii nie zaliczają się estradowe

knoty produkowane w Łodzi przez Janusza Rzeszewskiego, słusznie uchodzące za symbol złego smaku w rozrywce. Ekspozowanie ich teraz, w uroczystej oprawie, jako arcydzieła z telewizyjnej kolekcji, to estetyczny kryminał. Godny konferansjerki Michała Fajbusiewicza (tel. 997).

Zgoda. Telewizowicie lubią zanużyć przeboje sprzed lat, z łezką w oku powspominać, obejrzeć gwiazdy swojej młodości uwiecznione w telerecordingu. Ale pokazane z dystansem, przymrużeniem oka, okraszone anegdotą. Tymczasem TVP myli porządku, uważając, że sentyment widza do starej melodii oznacza również uznanie dla całego blichtru, w jakim ją trzydzieści lat temu sprzedawano: dla reżysera stawiającego schody (co nie mogą wyjść nigdy z mody), grafomana piszącego scenariusze (pod dyktando) czy artysty firmującego propagandowe widowiska („ja wam wszystko wyśpiewam”). Więcej, to właśnie tym ludziom organizuje się benefisy, korzystając z przewrotnej mody na PRL. To oni występują w roli estetycznych autorytetów, przy okazji budując sobie pseudokombatanckie życiorysy z wątpliwej wiarygodności anegdot.

Fakt, że w całej kulturze masowej chętnie wraca się dziś do ówczesnych klimatów, ale biorąc je w potężny cudzysłów, traktując jak tworzywo artystyczne. Nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyjdzie do głowy wmawiać ludziom w 2001 roku, że wielka płyta była perłą w koronie europejskiej architektury, mały fiat przebojem motoryzacyjnym Starego Kontynentu, a Władysław Machejek polskim odpowiednikiem Williama Whartona. TVP wydaje się z tej reguły wyłączone i wmawia nam, że właśnie tak było.

Nie dotyczy to tylko rozrywki (z nią jeszcze najmniejszy problem) i jest oczywiście spowodowane „złym pochodzeniem” firmy.

Z jednej strony, patrząc na cele, do jakich przez dziesięciolecie wykorzystywano TVP, nie ma się czym chwalić, z drugiej chwalić się trzeba, skoro ludzie tęsknią za czasem minionym, a telewizja jest tej tęsknoty poważnym udziałowcem. Problem moralny: jak chlubić się ciemnymi kartami z własnej historii, rozwiązano więc w iście orwellowski sposób. Zmieniając przeszłość.

Jeśli przy kolejnych telewizyjnych jubileuszach hołdy oddaje się ludziom odpowiedzialnym w Radiokomitecie za informację czy publicystykę, to już nie jest śmieszno, a zwyczajnie straszno. Słowa „wydawca”, „dziennik”, „komentarz” znaczą dziś zupełnie coś innego, niż znaczyły jeszcze dwadzieścia lat temu. Tymczasem we wspominkowych felietonikach najzwyczaj-

szych politruków sprzedaje się jak gwiazdy polskiego dziennikarstwa.

W takich warunkach jakaś weryfikacja sprzed dziesięciu lat traci ważność i nie ma się co dziwić, że nowa władza chętnie po owe „gwiazdy” sięga – w charakterze doradców. Parafrazując znane hasło reklamowe: znów można – znów wypada.

WŁAJER



RYS. BOGNA OTTO-WESELYN

Trudy młodych demokracji

Strażnikami demokracji są niezależne media, zwane czwartą władzą. Im większy apetyt rządzących na władzę, tym bardziej usiłują podporządkować sobie media.

Politykom wojna z mediami nie wychodzi na dobre. Pierwszym krajem środkowoeuropejskim, w którym pojawił się taki konflikt, były Węgry. W 1990 r. władzę przejął prawicowy rząd pod kierownictwem Josefa Antalla. Węgierskie Forum Demokratyczne całkowicie zdominowało publiczną telewizję i radio. Zwolnienia i ingerencje w programy spowodowały uliczne demonstracje, a w konsekwencji przegrane przez prawicowców wybory parlamentarne w 1996 r.

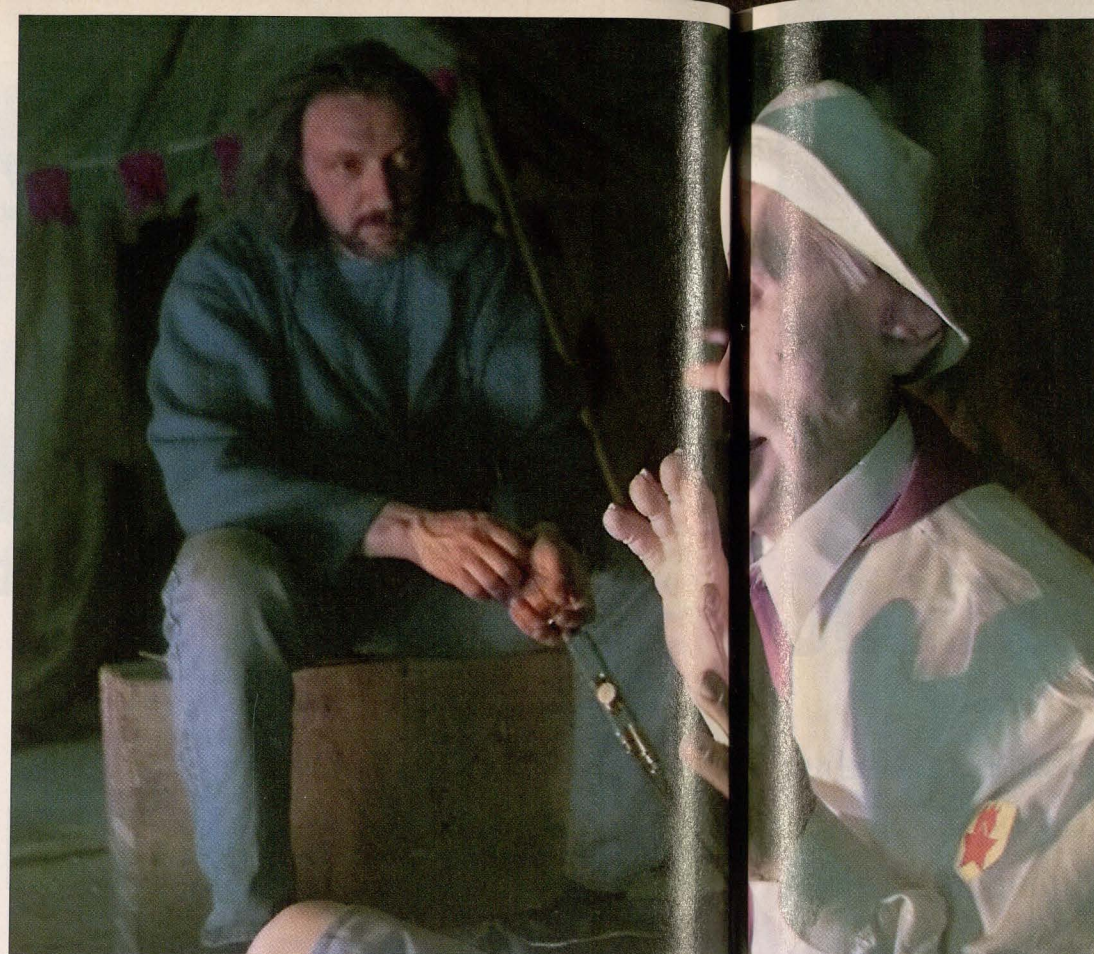
Dla umocnienia swojej władzy drastyczne kroki przedsięwziął prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko. Zamknął opozycyjne gazety, wyrzucił redaktorów naczelnych głównych gazet i państwowej agencji informacyjnej. Wydał dekret podporządkowujący sobie państwowe media. Mimo licznych protestów Białorusinów, a nawet amerykańskiego Departamentu Stanu, nie udało się nic zmienić. Wolne media

na Białorusi nie istnieją. Niezależne gazety drukowane są na Litwie.

Telewizyjne problemy Czechów i Słowaków

Rząd Vladimira Mecziara uznawał programy telewizyjne za antysłowackie. Dążono do zaprzestania nadawania programów węgierskich i czeskich. Oferta słowacka była na tyle słaba, że przegrywała konkurencję z czeską komercyjną TV NOVA.

W 1994 r. rząd zdymisjonował szefów radia i telewizji, a także wydał polecenie, aby każdy materiał krajowy opatrzone był komentarzem partii Mecziara. – W czasach, gdy zalewa nas masa dezinformacji i niesłusznych oskarżeń ze strony zachodnich dziennikarzy, musimy na ekranie zachować czystość naszych szlachetnych twarzy przepojonych humanizmem i ideą chrześcijańską. Dlatego telewizja musi pozostać słowacka – takie słowa pa-



Aktor z kukiełką Władimira Putina, w pionierskim stroju, podczas realizacji programu w niezależnej telewizji rosyjskiej NTW.

dły z ust ówczesnego dyrektora telewizji, Józefa Darmo.

W 1995 r. dyrektor międzynarodowego Komitetu Obrony Mediów, William Orme, wystosował list protestacyjny. Prezydent Michal Kovacz przyznał, że faktycznie na Słowacji nie respektuje się wolności słowa. Ale dziennikarzom groziła nie tylko utrata posady, byli także zastraszani, grożono im, zdarzały się pobicia. Mieszkańcy Bratysławy wyszli protestować na ulice. Wówczas premier ustąpił, ale w późniejszych latach przypu-

ścił jeszcze atak na prywatną telewizję Markiza i radio Twist. Konflikt z mediami i inne decyzje premiera nie przysporzyły mu popularności i skomplikowały sytuację międzynarodową Słowacji.

Spektakularny przebieg miał konflikt Vaclava Klause z Telewizją Czeską. Rada CzT, wybierana przez niższą izbę parlamentu, zdeterminowana wówczas przez rządzącą socjaldemokrację i partię Klause, 12 grudnia ub.r. odwołała dotychczasowego dyrektora, Dusza Chmeliczka. Powołała na to stanowisko „swojego człowieka” Jirzeho Hodacza, osobę uznawaną za niekomunikatywną i niekompetentną. Ten z kolei wprowadził swoich ludzi.

W redakcji CzT wybuchł bunt. Dziennikarze połączyli siły z już protestującymi artystami i związkowcami. Doszło do absurdałnej sytuacji: emitowano dwie wersje wiadomości. Pierwsza „buntowników” – profesjonalistów, druga „legalna” i lojalna względem rządu, przygotowywana przez amatorów. Podstawą buntu była uzasadniona obawa przed ingerencją partii rządzących w przekazywane informacje.

Telewizja pod Gazem

Dług trwał spór pomiędzy prezydentem Władimirem Putinem a Władimirem Gusińskim, właścicielem telewizji NTW. Stacja powstała w 1993 r. jako jedna z inwestycji potężnego rosyjskiego biznesmena. W skład jego holdingu Media Most wchodziły też radio Echo Moskwy i wiele gazet.

Od początku błyskotliwej kariery politycznej Putina NTW była z nim w konflikcie. Jako jedyna telewizja w Rosji negowała wojnę w Czeczenii, krytykowała politykę i poczynania prezydenta. W ub.r. konflikt rozpoczął się na dobre. Zamaskowani funkcjonariusze policji przeprowadzali rewizje i konfiskaty dokumentów w siedzibie NTW. Gusiński trafił do aresztu pod zarzutem malwersacji.

W jego sprawie interweniowało wiele osobistości, w tym Bill Clinton. Po kilku dniach Gusiński został wypuszczony, jak się okazało, za cenę przekazania swego holdingu Gazpromowi (światowy potentat gazowy, w pełni kontrolowany przez Kreml).

Prezydent Vaclav Havel porównał tę sytuację do komunistycznego puczu w 1948 r. Mieszkańcy stolicy Czech demonstrowali na ulicach. Taki stan rzeczy trwał do 11 stycznia br., kiedy to na żądanie prezydenta, premiera i parlamentu odszedł dyrektor Hodacz.

Miesiąc później parlament wybrał tymczasowo na to stanowisko Jirzeho Balvina, od lat związanego z CzT. Strajkujący zaaprobowali ten wybór. Jednak w maju kolejna groźba strajku zawisła nad Czeską Telewizją. Partie polityczne chciały ponownie zdominować Radę CzT, eliminując przy jej wyborze niezależnych kandydatów.

Ostatecznie doszło do porozumienia. W Radzie znalazło się 15 osób, wybranych przez parlament spośród kandydatów zaproponowanych przez różne organizacje społeczne, związki zawodowe i twórcze. Z jej składu zadowolone są wszystkie frakcje parlamentarne oraz tymczasowe kierownictwo CzT. Zgodnie twierdzą, że tym razem udało się uniknąć pokusy upolitycznienia władz publicznej telewizji. 15 listopada Rada przyznała oficjalnie Balwinowi stanowisko szefa CzT.

z kredytami, które zaciągał bez pokrycia. Jednak sam fakt zamknięcia ust niezależnym mediom oraz sposób, w jaki to uczyniono, poruszył światową opinię i ugruntował w przekonaniu o autorytarnej polityce prezydenta Rosji. Dla Gazpromu interes też nie okazał się lukratywny. W październiku ogłosił, że sprzedaje wszystkie udziały w mediach. Nie wiadomo, czy znajdą się chętni, bo holding boryka się z poważnymi problemami finansowymi.

Serbski kocioł i gruziński konflikt

Według podobnego scenariusza przebiegły wydarzenia w Serbii. Slobodan Miloszević długo pozwalał działać wolnym mediom, równocześnie je prześladował. W 1998 r. wprowadzono restrykcyjną ustawę o informacji, na mocy której dziennikarze i wydawnictwa skazywani są na grzywny za publikowanie niewygodnych dla władz informacji. Koncesje przyznawane były według uznania przedstawicieli koalicji rządzącej.

W 1996 r. w wyborach lokalnych opozycja wygrała w 40 serbskich miastach, przejmując lokalne media. W maju 2000 r. władze serbskie nie pozwoliły na taki rozwój wypadków, zajmując główną opozycyjną telewizję Studio B2 i Radio B2-92. Rozpoczęły się strajki pracowników mediów i wiece antyrządowe, które brutalnie tłumiono. Skomplikowana sytuacja międzynarodowa nie pozwalała na reakcję z zewnątrz. Konflikt został zażegnany po przegranej Miloszevicia i dojściu do władzy opozycji.

30 października br. doszło do najnowszego zamachu na wolność słowa. Gruzinińska służba bezpieczeństwa przez dwie godziny okupowała budynek prywatnej telewizji Rustawi-2 pod pretekstem przejrzenia ksiąg finansowych. Operatorzy stacji skierowali kamery na urzędników i nalot transmitowano na żywo.

Istniejąca od 1994 r. Rustawi-2 niejednokrotnie krytykowała rząd Edouarda Szewardnadze, dlatego kierownictwo telewizji zarzuciło władzom próbę wywarcia presji politycznej. W obronie TV na ulicach Tbilisi protestowało 5 tys. osób.

Reakcja prezydenta była błyskawiczna. Odwołał ministra bezpieczeństwa. Domagano się jeszcze ustąpienia szefa MSW i prokuratora generalnego. W tym przypadku Szewardnadze pozostał nieugięty, a nawet postawił ultimatum, że, jeżeli parlamentarzyści będą nieprzejednani, poda się to dymisji. Odejście Szewardnadze skomplikowałoby sytuację Gruzji, gdyż jest on niezwykle szanowanym politykiem w świecie. Nieoczekiwanie Szewardnadze zdymisjonował cały rząd, a jego największy rywal, Zurab Żwanija, ustąpił ze stanowiska szefa parlamentu.

To tylko niektóre przykłady konfliktów władzy z mediami w krajach postkomunistycznych. Doszło do nich prawie we wszystkich państwach, które odzyskały niepodległość. Prawdopodobnie jest to nieodłączny element dochodzenia do demokracji.

ANNA PIECZARA



ZBROJNIE LUB ZBEREŻNIE

W haśle z reklamy billboardowej Orlenu: „Jeśli nie chcesz wykończyć silnika, tankuj bezpieczną benzynę”, nie ma nic niezwykłego. Jednak już dwa kadry, które się do niego odnoszą, mają wystrzałową siłę. Zestawiono wkładanie do wlewu paliwa rewolweru i pistoletu z węża na stacji benzynowej.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

REKLAMA(GJE)

Również na zestawienie, a nawet zderzenie postawiono w przepełnionej erotycznymi aluzjami reklamie filmowej. Oto krótka historyjka o problemach pewnej pary. On fajtpapowaty i nieciekaw – Ona seksowna (przynajmniej w założeniu) i znudzona. Mają problem z autem. Odmówiło posłuszeństwa. Muszą jechać zatłoczonym autobusem. Nawalił zaworek, bo On nalał nie taką benzynę, jak trzeba. Jest jeszcze ten Trzeci, który przemyka obok autobusu sportowym samochodem. On wiedział, co zatankować. Ona patrzy już tylko na niego, a On to widzi. Tylko czy ta namietność to kwestia tego, co kto nalał?

Zobacz, co słyszysz

99.40 FM 91.30 FM
RADIO ECHO
ul. Wąłowa 6
33-300 Nowy Sącz
tel. (0-18) 443-73-21

98.10 FM **Radio MAKS**
Tarnów
Biuro reklam Radio MAKS tel./fax (014) 621-29-29

RADIO PARADA
96.00 FM

SLUPSK 91.50 FM
KOSZALIN 99.70 FM
LEBORK 102.90 FM
Vigor RADIO

radio Merkurs
POZNAŃ
91.1 FM
91.9 FM
100.9 FM
102.7 FM
103.6 FM
Reklama: tel. (0-61) 885-83-73

RADIO KRAKÓW
Małopolska
Kraśnik 101.6 FM
Tarnobrzeg 101.9 FM
Nowy Sącz 102.0 FM
Zielonogóra 102.2 FM
Kryniewy 102.5 FM
Radom 102.8 FM
Siedlce 103.0 FM
Działowa 103.2 FM
Stronie 103.4 FM

Ostrołęka **RADIO OKO**
106.7 MHz



Biżuteria literacka

Wieczne pióra to symbol władzy, dobrego stylu i elegancji.

Zastąpiły pióra maczane w atramencie, słynące z kleksów.

Wciąż są ludzie, którzy piszą listy, a nie e-maile, pamiętniki, a nie blogi, podpisują się odręcznie, a nie elektronicznie. Są nawet tacy dziwacy, którzy do tych czynności używają pióra. Przez trzy dni w krakowskiej kamienicy Hipolitów można było obejrzeć unikatową kolekcję ponad 500 piór, kałamarzy i innych przyborów do pisania, poznać ich historię, podziwiać rozwiązania techniczne i materiały, z których je wykonano – od laku, poprzez emalię, po srebro, złoto i kamienie szlachetne.

Dlaczego właśnie pióro stało się prestiżowym i snobistycznym przedmiotem, a nie najpiękniejszy nawet długopis? Długopis wprawdzie pisze długo, łatwo zmienić w nim wkład i nie robi plamy na ubraniu, ale jest pozbawiony magii. Mówi się, że pisarz „ma sprawne pióro”, a nie „sprawny długopis”. Dzieła wychodzą spod pióra, nie spod długopisu. A czy można władać długopisem? Nie – piórem, owszem.

Władza i literatura

Skoro mowa o władaniu i władzy, to przecież trudno sobie wyobrazić, że jakikolwiek dokument wagi państwowej mógłby zostać podpisany długopisem. Akt kapitulacji Niemiec 7 maja 1945 r. generał D.D. Eisenhower przypieczętował parkerem. Z tej samej marki skorzystali w 1987 r. M. Gorbaczow i R. Reagan, podpisując traktat antynuklearny. Parker jest też od 40 lat oficjalnym piórem brytyjskiego domu królewskiego.

Tradycyjnie jednak pióro kojarzy się z literaturą. Klasyka została napisana maczakami, bo tak nazywają się pióra do zanurzania w atramencie. Od XIX w. nowocześni pisarze korzystali z piór ze zbiorniczkiem, czyli wiecznych. Parkerem opisał Artur Conan Doyle przygody Sherlocka Holmesa, a ulubionym modelem S.G. Colette był Duofold Mandarin

Yellow, czyli tzw. mandarynka. „Wyznawcami” tej marki byli też: E. Hemingway, G.B. Shaw i K. Makuszyński. Gombrowicz wołał pióra Montblanc. „Noce i dnie” zostały napisane watermanem, któremu wierni byli też Iwaszkiewicz i Broniewski.

Nawiązując do literackiej konotacji pióra, firma Montblanc od dziewięciu lat każdej jesieni przygotowuje limitowaną serię – 4810 egzemplarzy (wysokość Mont Blanc w metrach) poświęconą danemu pisarzowi. Były już kolekcje Fiodor Dostojewski, Marcel Proust, Agatha Christie, Voltaire.

Twórcze kleksy

Tak naprawdę wynalezienie wiecznego pióra spowodowały kleksy, mobilizując konstruktorów do wymyślenia m.in. systemu vacumatic, czyli systemu spływaka z podłużnymi rurkami kapilarnymi, naboju do piór czy „bezpiecznego” pióra z chowaną stalówką.

Anegdota mówi, że Lewis Edson Waterman pracował jako agent ubezpieczeniowy, dopóki nie zalał atramentem ważnego kontraktu. Skutkiem tego kleksa był pierwszy waterman – Regular, opatentowany 12 lutego 1884 r. Pomysłem Watermana był też klips na skuwce pozwalający przytrzymać pionowo pióro w kieszeni nasadką do góry. Dzięki temu kieszeń była bezpieczna, a równocześnie dyskretnie można było pochwalić się marką używanego pióra.

Bo pióro to także prestiż, snobizm i biżuteria. Najdroższe egzemplarze wykonane są ze złota lub srebra

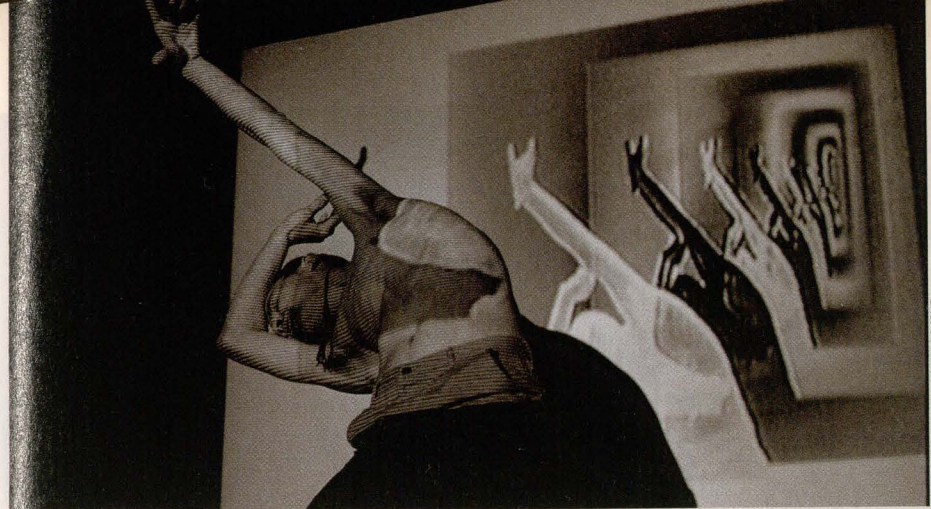
i ozdobione kamieniami szlachetnymi. Robią je znane firmy jubilerskie, np. Jade, Tiffany czy Cartier.

Pióro osobiste

Kupno dobrego pióra wymaga nie tylko pełnego portfela, ale też dobrego doradcy, który dobierze do dłoni wielkość i ciężar, a rozmiar stalówki do pisma. Kolor i wzór trzeba dopasować samemu, np. do spinek do mankietów, zegarka, okularów. Elegancka kobieta potrzebuje kilku egzemplarzy na różne okazje. Trzeba też pamiętać, że pióro jest przedmiotem osobistym, który dostosowuje się do ręki, więc nie powinno się go pożyczać.

MARTA SOBOLSKA

Trzecią Ogólnopolską i Pierwszą Międzynarodową Wystawę Wiecznych Piór gościło Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, kamienica Hipolitów



Odsłuchiwanie sztuki

Audio-art pozwala zobaczyć muzykę i usłyszeć plastykę. Z potyczek obrazu z dźwiękiem biorą się pomysły alchemiczne i niewinnie kuglarskie.

Po wieczornym koncercie 9. Festiwalu Audio Art wracałem z krakowskiego klubu „Miasto Krakoff”. Nagle usłyszałem dziwne trzaski płynące z góry. Było mroźno, trudno w taką pogodę zlokalizować źródło dźwięku. Na jednej z kamienic wisiało dużo biało-czerwonych flag i chyba stamtąd, z balkonu czwartego piętra, dobiegała seria trzasków. Taki dźwięk wydaje plastikowa taśma samoprzylepna – może ktoś owinał nią drzewce flagi?

Śpiew ze środka

Ale to nie był audio-art, bo do jego zdefiniowania nie wystarczy powiedzieć, że to obraz zespolony z dźwiękiem. Audio-art to samoistość sytuacji, w której artysta produkuje dźwięk. Taka definicja pozwala uniknąć nieporozumień. Drugi dzień festiwalu zaczynał koncert Jurija Jarremczuka i Natalii Połowynki. On grał na klarnecie, saksofonach, instrumentach perkusyjnych, ona śpiewała. Po koncercie spytałem ich o rolę tekstu w ich utworach. Bo kiedy Połowynka śpiewała, tylko czasem rozpoznawaliśmy całe słowa. To był przede wszystkim czysty śpiew z wnętrza, na granicy wypowiedzenia. Słuchając, doświadczaaliśmy spotkania z tym wnętrzem, nie umiając go przeżyć. Jeśli doznawaliśmy jego obecności, to być może ten rytm budził nasze pytania. Jeśli nie – błędziliśmy jedynie myślą po zewnętrznej fakturze śpiewu.

Stół alchemika

Drugi dzień festiwalu zamykał koncert formacji „Cod.Act” z Zurychu. Bracia André i Mi-

chel Décosterd przeprowadzili „5 testów empirycznych – Bach/Mendelejew”. Po koncercie słyszałem komentarze, że nie mieli wyczucia dramaturgii. Moim zdaniem to świat ma tak oczywistą dramaturgię historii, że okrutnie jest powtarzalna w dziełach człowieka. Bracia Décosterd prokurowali w podświetlonych retortach „życie”. Kuliste drobiny substancji wirowały na szklanych tackach, rozpadały się i wyparowywały. Obraz tych mikroprotuberancji światło mieszało z obrazem resztek jakiegoś świata – kilka czarno-białych odbitek zniszczonych fotografii z początku ubiegłego wieku, sklejonych w pierścieni jedną obok drugiej, wirowało nad retortami. Kilka fragmentów muzyki Bacha rozpędzano się i cichło.

Jarzeniówki

Kiedy wszedłem trzeciego dnia festiwalu do sali w „Bunkrze Sztuki”, zobaczyłem białe rurki jarzeniówek wiszące dookoła na ścianach. Nie chciałem wierzyć, że to właśnie one, bo jarzeniówka jest lampą wzbudzaną wysokim napięciem, a subtelny układzik dostarczający prądu w znanych mi z czasów PRL-u świetlówkach często bywał niewydajny. Powszechny był więc widok migoczących i bzygających przy rozbiegu świetlówek.

Lampy jarzeniowe Matthew Ostrowskiego z Nowego Jorku pracowały jednak solidnie. Sprzężone z obsługiwany przez kompozytora systemem sterującym włączały się i gasły w rozmaitych sekwencjach. Tak jak tamte, które pamiętam. Dźwięk, choć podobny do dźwięku źle pracujących świetlówek, podawa-

no z czterech rozstawionych w sali głośników. Warkot spreparowany był i zsynchronizowany z zimnym światłem lamp na białych ścianach galerii. Dopiero w programie doczytałem się informacji, że Matthew Ostrowski użył jednak oryginalnego dźwięku wzbudzanych jarzeniówek.

Śpiewający słupek

Duch PRL-u pojawił się znów ostatniego dnia festiwalu w postaci metalowego androida. Jan Pieniążek umieścił w miejscu jego uszu dwa małe głośniki, z których cicho sączyła się namiętna transmisja z 1-majowego pochodu.

Android powstał z gotowych kształtek metalowych: tulejek, prętów, czasz, pierścieni. Specjalnie wykonano zimną, metalową dłoń. Z wyciągniętym palcem wskazującym, poziomo przed siebie zawieszona na mimośrodowym wahaczu dłoń androida rytmicznie przeskakiwała z prawa na lewo, szukając obiektu do wskazania wśród widzów-słuchaczy wchodzących na ekspozycję rzeźb dźwiękowych Pieniążka.

Wychodząc, zauważyłem czerwony plastikowy słupek, osłonięty trzema czarnymi metalowymi prętami – tak się czasem osłania pnienie drzew na ulicach. Wysoki nieco ponad metr, zakończony był wbudowanym głośnikiem i ci-chutko poświszywał. Śpiewał sobie, poświszyjąc, a ja, wchodząc, nie usłyszałem tego poświszywania i wziąłem go za nieistotny element techniczny.

Pulsujące róże

W ostatnim dniu festiwalu Tilman Küntzel pokazywał swoją „Roseboard”, czyli „Planszę różaną”. 30 plastikowych róż leżało w przezroczystych pudełkach o wymiarach 8 x 8 x 40 cm. Pudełko leżało w sześciu warstwach, jedna na drugiej, po pięć w jednej. Widzowie patrzyli na przezroczyste ścianki, zza których prześwitywały czerwone kwiaty. Ścianki przypominały ekran leżącego bokiem telewizora.

Róże zapalały się, świeciły czerwonym blaskiem, najpierw jedna, u góry środkowej kolumny, potem następne w dół i na boki, skupione po kilka obok siebie i w pierścieni na całej planszy. Zapalały się i gasły, jak lampki flipperów z lat 70., kiedy nie było jeszcze gier komputerowych. Sekwencje światła wzbudzały terkoczący dźwięk – jak terkot broni maszynowej. Róże stały się różami z odpustowej strzelnicy, a pulsujący czerwonymi błyskami ekran – obrazem ostrzeliwanego lub bombardowanego pola walki. Na koniec zostały trzy światła, terkot ucichł, przez chwilę pulsowały jeszcze dwa kwiaty w rytm dźwięku tętna, jak ze słuchawek stetoskopu.

Taki to był festiwal.

PAWEŁ GÓRECKI



Benoit Magimel



Annie Girardot

Wiedeń – Schubert – seks

W „Pianistce” wielka sztuka zbudowana jest z motywów kina pornograficznego.

Francusko-austriacki film „Pianistka”, wyreżyserowany przez Michaela Haneke, jest ekranizacją prozy Elfriede Jelinek, pisarki kontrowersyjnej o wyjątkowo pokrętniej biografii. Z wykształcenia jest organistką, jej ojciec umarł w szpitalu psychiatrycznym, a opisany w książce emocjonalny związek z matką oparty na „love-and-hate relationship” ma podłoże autobiograficzne.

Jelinek demaskuje austriackie społeczeństwo z pasją godną Thomasa Bernharda czy Wernera Schwaba. Uważana jest za wojującą feministkę, skandalistkę i lewaczkę (choć kilka lat temu manifestacyjnie wystąpiła z austriackiej partii komunistycznej, sukces Haidera po raz kolejny spowodował u niej polityczną furję). Tyle skandali – a w Polsce przeszły one bez echa: wydana czas jakiś temu po polsku „Pianistkę” kupiłem w sklepie z taną książką za 2 złote.

Teraz mamy jej ekranizację – dzieło głośne, zwłaszcza po spektakularnym triumfie na tegorocznym festiwalu w Cannes: Grand Prix i dwie nagrody aktorskie dla Isabelle Huppert i Benoit Magime-

la. Reżyser też najwyższej klasy, choć w Polsce kojarzony przede wszystkim z rewelacyjnym „Funny Games”, filmem-analizą spirali przemocy, podaną z laboratoryjną dokładnością.

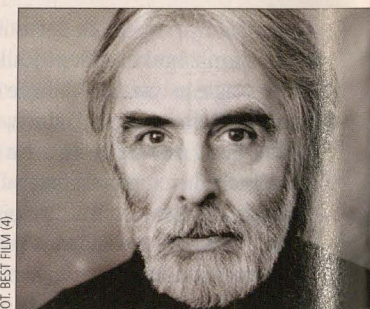
Haneke – z wykształcenia filozof i psycholog – znów ukazuje nam ciemne strony związku uczuciowo-seksualnego 40-letniej profesor konserwatorium z jej znacznie młodszym uczniem. W Krakowie film wyświetlany jest na jednym jedynym seansie o 21.00, jak jakiś pierwszy pornos. A przecież jest to obraz wnikliwy poznawczo, bezlitosny w swojej diagnozie, a z punktu widzenia artystycznego – wybitny.

Haneke analizuje niemal patologiczny przypadek kobiety niespełnionej erotycznie, która sublimuje swoje popędy w pięknie muzyki (specjalizuje się, co dość znamienne, we Franciszku Schubercie). Owe niespełnienia rekompensuje sobie, oglądając wideo o wiadomej treści, wzajemnymi seansami nienawiści z nadopiekuńczą matką, skłonnością do samookaleczania się.

Sytuację emocjonalną radykalnie zmienia pojawienie się dyna-

micznego, acz subtelnego młodzieńca – studenta politechniki, ho-keisty, a przede wszystkim utalentowanego pianisty amatora. Rozpoczęcie przez niego nauki w klasie mistrzowskiej fortepianu u Eriki Kohut wiąże się z podjęciem niezwykle perwersyjnej gry erotycznej, której dynamika zadziwi niejednego. Polega na stałym przemieszczaniu pragnień i sposobów ich spełniania, a przede wszystkim – na ciągłej zmianie układu pana i sługi. Wynikiem jest wstrząsająca analiza tego, do czego może prowadzić nie tylko seks długo skrępowany, lecz także – nagle odblokowany.

Nie bez powodu rzecz cała dzieje się w Wiedniu. Mamy zatem mieszczaństwo, konserwatyzm, klimat sztuki wysokiej oraz – w domyśle – Freuda (kamera z czułością pokazuje nam dłonie grające na fortepianie; słownik symboli sennych Zygmunta F. interpretuje tę czynność jednoznacznie). Haneke nie dokonuje jednak psychoanalizy w amerykańskim, infantylnym stylu. Obserwuje swoje postaci bez cienia emocji – niczym preparaty pod mikroskopem. W efek-



Michael Haneke

cie powstaje film mocny, wymagający od widzów powagi, dojrzałości i namysłu.

Oglądając go, myślałem o dwóch innych reżyserach. Rainer Werner Fassbinder łączy często wszelakie międzypłciowe perwersje z krytyką społeczności mieszczańskiej. Roman Polański, ukazując pozornie normalne życie, odkrywał pokłady horroru, brutalności i perwersji.

Nie oznacza to, że Haneke naśladuje któregoś z nich. Swoją indywidualizm wyraziście zaprezentował w „Funny Games”. Dwie rzeczy jednak uderzają – rozgrywanie kluczowych scen w jednym ujęciu oraz niebawym prowadzenie aktorów.

Kreacja Isabelle Huppert jest genialna – kamera często skupia się na jej twarzy, która odzwierciedla absolutnie wszystko, co dzieje się we wnętrzu postaci. Nie ma tu żadnego psychologizowania – to jest



Benoit Magimel i Isabelle Huppert

poziom aktorstwa czysto behawioralnego. Partneruje jej rewelacyjny Benoit Magimel, tworząc postać niezwykle skomplikowaną i nieobliczalną, używając całej gamy odcieni aktorskich – od tych najsłabszych po najgrubsze. Za kilka lat może zostać jednym z największych aktorów. Wreszcie dawno nie oglądana Annie Girardot w roli agresywnej matki, Eriki Kohut, odgrywająca starość i szpetotę z godnością, a nawet z jakąś sadomasochistyczną frajdą.

Haneke nie oszczędza nam niczego. Są sceny jak z kina porno, jest cięcie żyłką po genitaliach i masturbacja, są wzajemne bijatyki i dużo krwi. Reżyser odważnie ukazał cały bagaż dwuznaczności związanych z erotyką. Z pomocą atrybutów kina niemal pornograficznego stworzył film, który zaliczyć można do najważniejszych refleksji nad erotyką i miłością. Wykorzystując cudowną, czystą muzykę fortepianową (Schubert, Beethoven, Bach) i zestawiając ją z bolesną, „brudną” sferą seksu, stworzył dysonans, który każdego poważnego widza zmusi do refleksji nad muzyką, kinem, erotyzmem.

Za sprawą „Pianistki” Michael Haneke stał się czołowym filmowcem Europy. Może nawet filmowcem najwybitniejszym.

JACEK ZIEMEK

„Pianistka”, reż. Michael Haneke, Francja/Austria 2001

● SLABE ●● PRZECIĘTNE ●●● ZACNE ●●●● ZNAKOMITE ●●●●● WYBITNE



ROZGRYWKA

Błogosławione niech będą proste przyjemności. A pośród nich raczej nie się zajmującymi, a czysto rozrywkowymi historiami. Takimi, co to chcą wyłącznie bawić czy też trzymać w błogim napięciu. Bez podtekstów, naddatków, znaczeń ukrytych, sensów podskórnych. Dwie godziny radochy i kwita! Zmysłna intryga, zręczne wykonanie. Rozgrywka w „Rozgrywce” z pewnością należy do tej kategorii. Frank Oz, znany do tej pory jako współautor „Ulicy Sezamkowej” i „Muppetów” oraz twórca kina komediowo-familijnego, sprawdził się teraz w kolejnym popularnym gatunku – filmie sensacyjnym. Starzejący się majster do-

liniarstwa daje się namówić przez przebojowego adepta tej profesji do dokonania wspólnego skoku. Ma to być dla mistrza ostatni skok w życiu, ale i skok życia. W sprawę wmieszany jest jeszcze tajemniczy i ekscentryczny pośrednik. Akcja prowadzona jest skrupulatnie, zrazu może zbyt dostojnie, by nabrać w końcu tempa, a nadto obdarzyć widza niespodziankami. Atrakcją jest możliwość ujżenia w jednym kadrze gigantów Brando i De Niro, którym kroku dotrzymuje Edward Norton. Potwierdzając, iż wyrasta na ich godnego następcę. (PT)

Reż. Frank Oz, USA 2001



SCHYŁEK LATA

W odróżnieniu od nakręconego neurotycznie pamiętnego „Rykszarza” narracja w nowym filmie eksportowego wietnamskiego reżysera niana jest statecznie, by nie rzec statycznie. Egzotyczne freski odsłaniają skomplikowane związki emocjonalne w pewnej rozległej rodzinie. Wydobytą i oświetlają rozmaite odcienie erotyzmu. Zarówno tego kielkującego, dopiero co uświadomionego, jak i usankcjonowanego społecznie, obciążonego odpowiedzialnością za stadło. Niewinnego, dziewiczego, jak i dotkniętego skazą, występkiem. Fotografowana przyroda nasycza kadry aurą zmysłową i duszną. Owoce, cała roślinność pęcz-

nieją od soków, nabrzmiewają pełnią, wabią doskonałością. Wilgoć i skwar dodatkowo działają na płeć, pobudzają i nęcą. Paradoksalnie wśród tej materii rozkwitłej i gęstej, w powietrzu płonącym i lepkiem miłości ludzkie są jakieś zgaszone, suche. I nie jest to zamierzony kulturowy kontrpunkt dla wybijanej, rozbuchanej natury. A raczej skutek nieudanego użycia określonej estetyki. Wybrano wymagającą szczególną wyobraźni i formalnego mistrzostwa metodę operowania prawie zastygłymi, znieruchomiałymi obrazami. W tym przypadku osiągnięto efekt wyzutej z życia upoetyzowanego nudziarstwa. Pozostały piękne malowidła pustką podszyte. (PT)

Reż. Anh Hung Tran, Wietnam/Francja/Niemcy 2000

■ HARRY POTTER I REKORDY

„Harry Potter i Kamień Filozoficzny” – ekranizacja głośnej prozy dziecięcej J. K. Rowling zrealizowana przez Chrisa Columbusa – przejdzie na pewno do historii kina. Powód jest jednak pozaarty- styczny – „Harry Potter” najszybciej, bo w cztery dni, zarobił 100 mln dolarów. Poprzednim liderem były „Gwiezdne wojny”, które przyniosły taki sam dochód w pięć dni. Twórcy liczą także na rekord w kategorii dochodu całkowitego (na razie dzierży go „Titanic” z kwotą 1,8 mld dolarów). W Polsce realizatorzy zaczną zarabiać od 18 stycznia – wtedy film wchodzi na ekrany naszych kin.

■ NOWY SZEF OD KINA

Premier Leszek Miller wymienił przewodniczącego Komitetu Kinematografii. Tadeusza Ścibora-Rylskiego zastąpił Janusz Bodasiński. Piastował on stanowisko dyrektora Zespołu Ekonomiki, Budżetu i Administracji w biurze Komitetu Kinematografii. Nominację tę uważa się za pierwszy krok w stronę likwidacji komitetu i wchłonięcia jego działalności przez ministerstwo kultury – co zresztą zapowiedział już minister Andrzej Celiński. Jak będzie? Trzeba czekać na decyzje Sejmu RP.

■ FORD NAGRODZONY ZA WKŁAD

Popularny i ceniony aktor Harrison Ford podczas ceremonii wręczenia

Złotych Globów (20 stycznia 2002 r.) otrzyma nagrodę imienia Cecila B. DeMille’a za „szczególny wkład w rozwój przemysłu filmowego”. Do tej pory to prestiżowe wyróżnienie otrzymali: Al Pacino, Barbra Streisand, Jack Nicholson, Shirley MacLaine, Dustin Hoffman, Sean Connery, Sophia Loren i Robert Redford.

■ W BACHTARZE GRAJĄ „URUJ”

Po pięciu latach zastoju spowodowanego przez reżim talibów w Kabulu otwarto pierwsze kino. Nazwano go Bachtar, może pomieścić 600 osób (ściślej – wyłącznie mężczyzn). Wyświetlany jest afgański „Uruj” – film o trzech bohaterskich mudżahe-dinach walczących z inwazją radziecką w latach 80. (JAZ)

JUŻ STAROŻYTNI RZYMIANIE

BRZMIENIE CISZY

Parę tygodni minęło od śmierci Henryka Tomaszewskiego, a we Wrocławiu wciąż smutno. Już starożytni Rzymianie uwielbiali swoich pantomimów. Bogaty i wpływowy Mecenaz zakochał się tak bardzo w Bathylosie z Aleksandrii, że do nowej sztuki pantomimy przekonał nawet surowego cesarza Augusta. Parysa z kolei uwielbiał cały Rzym, z żoną cesarza Domicjana na czele. Powstał nawet fan club artysty, a jego członkowie – zwani Paridiani – porysowali ściany domów w Pompejach i Herculanium niezliczonymi „miłosnymi” graffiti. Zazdrosny cesarz kazał ponoć zgładzić nie tylko Parysa, ale i jego ucznia, który przypominał mistrza wyglądem i sztuką. Po śmierci Domicjana wzniesiono Parysowi na Via Flaminia grobowiec, o którym potem pisał Marcialis, że „pochowano tam wszystkie boginie Wenus i wszystkich Kupidynów”. Wcześniej innego Parysa kazał zgładzić Nero tylko za to, że był lepszym artystą od ce-

sarza. Ów Parys zachwycił filozofa Demetriosia, kiedy w milczeniu odegrał przed nim historię cudzołóstwa Ariadny i Aresa, i to bez żadnego akompaniamentu. Pewien grecki król chciał go nawet zatrudnić jako... tłumacza.

Rzymscy pantomimowie występowali w charakterystycznych maskach z zamkniętymi ustami i w bogatych kostiumach. Byli świetnie wyszkoleni, za pomocą tego samego płaszcza potrafili wyczarować „ogon łabędzia, włosy Wenus i bicz Furii”. Podczas występów w teatrze towarzyszyły im często chóry i orkiestra. Niekiedy stawiali do zawodów. Wtedy grali po kolei i zwykle na ten sam temat, a ich zwolennicy rzucali się sobie do gardeł, demolując widownię.

Termin „pantomima” znaczy dosłownie „naśladowanie wszystkiego”. Podobno niejaki Memfis, „pantomim-filozof”, potrafił swoją milczącą grą wyjaśnić subtelności filozofii Pitagorasa. Henryk Tomaszewski też potrafił. Ale już nigdy nie zagra. Wiele smutno.

MIROSŁAW KOCUR

Dziady dla
Babickiego nie
są pogańsko-
-chrześcijańskim
przesądem
kulturowym
gdzieś na
białoruskiej wsi,
ale relacją
o przetwarzaniu
ludzi i świata
w wyobraźni
artysty.



Namalować „Dziady”

Przedstawienie ma trzech równorzędnych bohaterów – Guślarza, Konrada i Senatora.

Guślarz

Lubelskie „Dziady” rozgrywają się w pokoju pełnym sztalug, w pracowni malarza-wizjonera. Najważniejszy zabieg interpretacyjny Krzysztofa Babickiego polega na wymyśleniu nowego celebryśa obrzędu. Zostaje nim Oleszkiewicz – współczesny Mickiewiczowi petersburski malarz, jeden z bohaterów Ustępu III części „Dziadów”. Nie widziałem nigdy płócien Oleszkiewicza, Babicki chyba też nie, ale wyobraził sobie, że jest to malarz w typie Jacka Malczewskiego. Nie przypadkiem w spektaklu pulsują, powracając w takiej lub innej konfiguracji, dwa jego obrazy: „Natchnienie malarza” i „Melancholia”. Prawdziwy Oleszkiewicz, przynajmniej ten, którego przedstawiał Mickiewicz, nie malował. To znaczy malował, ale inaczej, w wyobraźni. Manipulował ludźmi, sprawiał, że zaszukani ustawiali się instynktownie w żywe obrazy. Autor

nazywa go guślarzem, bo „od farb i pędzla odwyknął / Bibliją tylko i kabałą bada / i mówią nawet, że z duchami gada”.

Do pracownicy Oleszkiewicza – Malczewskiego (w przedstawieniu gra go Paweł Sanakiewicz) przychodzą modele, żywi ludzie wymieszani z upiorami i postaciami z mitu. Dzięki dla Babickiego nie są pogańsko-chrześcijańskim przesądem kulturowym gdzieś na białoruskiej wsi, ale relacją o przetwarzaniu ludzi i świata w wyobraźni artysty. Reżyser zagląda do wnętrza jego głowy, pokazuje w chwili tworzenia, a raczej szukania inspiracji. Równoważenia do świadczenia indywidualnego do świadczeniem zbiorowym. Przywoływanie umarłych służy temu, żeby ujrzeć, namalować, opisać, przetworzyć przeszłość w żywą historię. Innego znaczenie nabiera w spektaklu opowieść o Cichowskim, akcent nie jest postawiony na martyrologię narodu, ale na debatę – o czym i jak należy mówić w teatrze, poezji, malarstwie. Babicki otwiera ciekawy, rzadko podejmowany w inscenizacjach dramatu Mickiewicza trop. Gdybyż

był tylko bardziej konsekwentny i nie
ściągał jeszcze co rusz malarza-guś-
larza ze sceny. Oleszkiewicz - Mal-
czewski powinien być stale wewnątrz
tego świata. Powinien mu się przygła-
dać, zapamiętywać, poprawiać.

Konrad

W lubelskich „Dziadach” Konrad wcale nie jest najważniejszy, jego losy poznajemy jako opowieść w opowieści, trochę tak jak historię Rollisona. Jakby do głowy, wyobraźni malarza zaplątała się inna historia, a on próbował tak albo inaczej ją namalować. Jacek Król, który gra „bohatera Polaków”, ma w sobie charyzmę i siłę pozbawioną złości. Wielką Improvizację mówi, leżąc na więziennych pryzkach, na brzegu łóżka przysiadły dwie kobiety w bieli podobne szafarce śmierci u źródła od Malczewskiego. Wadzenie się Konrada z Bogiem to w interpretacji aktora głośne myślenie bez nadziei na odpowiedź, cud, znak. Skoro nie ma wiary w Boga, jest rzeczywistość diabła. Konrad krzyczy w gorączce, jakby coś przez niego mówiło. Bohater uwodzi pust-

ję: nie ma ciebie, Boże, więc jestem ja. A jednak Improwizacja to tylko przygrywka do naprawdę świetnej sceny egzorcyzmów. Jacek Król nabiera mocy, staje się kimś innym. Zło, które w niego weszło, dopełnia go jako człowieka, tylko z diabłem w duszy jest skończony, gotowy, namalowany przez artystę-guślarza do końca. W jednej z najlepszych scen spektaklu trzy przebrane w czerni, tyse i kanciaste w ruchach diabły odwracają obraz z Matką Boską Ostrobramską, a z tyłu na desce napisane jest kredą „Hic natus est Conradus”.

Senator

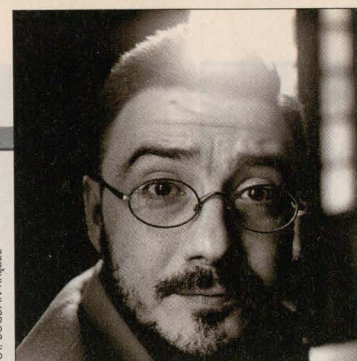
Senatora gra gościnnie Ignacy Gogolewski. To Polak, nie Rosjanin. Nie jest dworskim graczem, nie lubi intryg, swe cele chce osiągnąć jakby od niechcenia, między bon motem a tytkiem nalewki z kieliszka. Nie jest cholerykiem ani okrutnikiem, czuje się znużony, ociężały, bycie u władzy to męka – tak samo jak niemożność zrezygnowania z niej. W wątku senatorskim „Dziadów” nie ma grozy terroru politycznego, ale jest groza panoszącej się bezkarnej władzy. Jej pychy, wszechmocy układów, triumfizmizmu.

W lubelskich „Dziadach” trudno o równy poziom aktorski. Babickiemu nie wyszły sceny więzienne, za dużo melodramatu w grze pani Rollison, Książd Piotr pędzi przez swoje widzenie, jakby bił rekord Europy na 100 metrów... To nie są „Dziady”, które przejdą do legendy, trudno jednak zamykać oczy na profesjonalną robotę reżyserską i fascynujący punkt wyjścia interpretacji tekstu. W Lublinie sceny zbiorowe mają rozmach i rytm, po scenie krążą postaci ledwie zaczęte, rodzące się w błysku skojarzenia, jak para dzieci w bieli przechodząca na obrzędzie części II przez scenę. Obrazy niedomalowane do końca bywają często ciekawsze od arcydzieł.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie,
„Dziady” Adama Mickiewicza.
Reżyseria i opracowanie tekstu
Krzysztof Babicki,
dekoracje i światło Paweł Dobrzycki,
muzyka Marek Kuczyński,
choreografia Jacek Tomasik
Premiera 17 listopada 2001.

Głowacki



Toaletka płatna wszędzie

Wzruszyłem się okrutnie. Gdy na prawym pośladku kwitnącej aktorki Iwony Budner dostrzegłem żółty, jesienny liść. Pomyślałem: ach, jaki piękny, żółty liść jesienny! Tak było, niestety, i niestety wzruszyłem się nie tylko okrutnie, ale i refleksyjnie. Upadłe, suche liście zawsze tak na mnie działają. Dumalem więc. Jak mocarnym grafomanem reżyserii musi być Blixa Bargeld, skoro nie dość, że proponuje nam takie rozwiązania, to na dokładkę śmiało wprowadza je w życie. Jak fenomenalnym analfabetą teatru musi on być, jeśli dla niego z potyczki: liść kontra kwitnące miejsce strategiczne, Budner — liść wychodzi z tarczą.

Wzruszałem się seriami, coraz piękniejsze refleksje giesiego szły przez mą czaszkę, ale najmocniej zaplakałem, gdy o Narodowym Starym Teatrze pomyślałem.

W stanie jakież to gruntownej rozsyпки musi być dziś ten przepastnie jesienny ansambl, jakże mocarna desperacja szczególnie okutała, że aż zdecydował się wpuścić do siebie awangardowego trybuna suchej martwoty. I to akurat tutaj, na Scenę Kameralną, gdzie ongiś, w „Wiśniowym sadzie” Czecho-
wa, co go Jerzy Jaroeki wyreżyserował, Ewa Lassek jako Raniewska tak dojmująco na powrót zmieniła suchość dawno umarłych wspomnień w ciało nie do zabicia, bo nie do zapomnienia...

Wzruszałem się jak zwierzę, bo jak tu inaczej się wzruszać? Dla kultowo multimedialnego Bargelda, 42-letniego wiecznego młodzieniaszka-buntownia niemieckiej awangardy interdyscyplinarnej, nasza pamięć to jest najpierw lita ciemność, wątlm światłem harcerek latarek czasami przesywana, a później są to monstrualne kupy żółtych, suchych liści jesiennych, przez które brniemy tam i sam, odcytując z kartek najprzeróżniejszej maści brednie. A to, że mamusia nie miała piątek na bananki, a to, że wstydzieliśmy się naszych chamskich bucików, a to, że nocniczek był wyszczerbiony, w godzinach kupki pupkę nam ciął, w związku z czym do dziś mamy na pupce kolistą bliznę, a to, że się nam wstrętny raczek odbytku nieszcześnie przytrafił, a to, że po inicjacyjnym kielichu żdziebełko nam się „coffo”, a to, żeśmy pierwszą kobitkę akurat na tylnym siedzeniu małego

fiata zgłuszyli, a to, że dym idący z kominów układał się dla nas na niebie w pluszowe maskotki, a tatuś bardzo lubił grzybobranie.

Słowem – a to, że tamto, a nawet owamto, całość zaś nosi tytuł „Egzekucja cennych wspomnień”. Upadli w monstrualnej kupie upadłych liści aktorzy Starego na głos podawali te rewelacje, nawiedzony Bargeld, maniakalnie buszując w swej aparaturze, coś tam do mikrofonu konfabulował, udekorowani czerwonymi rogami gitarzyści katowali instrumenty, a ja się permanentnie wzruszałem.

I, jakby specjalnie dla mego wzruszenia, w finale wkroczył na scenę aktor Rafał Jędrzejczyk, równie jak Budner kwitnący, wkroczył w fachowych gumiakach, z taczkami i miotłą, i zaczął sprzątać. Cóż za subtelna metafora! MPO wspomnień... Cóż za metafora i co za radość, że ten tajemny, ale i bezwzględny zamiatacz pamięci jednak oszczędził pierwszy powód mych wzruszeń. Budner zeszedł ze sceny z ocalonym, żółtym, jesiennymi liśćmi na prawym pośladku. Tak, to była ostateczna krawędź mego wzruszenia, to była chwila, od której należało bić głową w mur. I biłem, rzecz jasna –

biłem bez sensu. Bo Bargeld całkiem poważnie i nieusuwalnie myśli, że aby stworzyć teatralny seans pamięci, wystarczy za pomocą ankiet wyssać z mieszkańców Krakowa parę historyjek takich jak ta o wyszczerbionym nocniku, oblać je awangardowym sosem, który się ostał jeszcze z lat 70. – i podać na surowo. Biłem idiotycznie, bo na dokładkę Bargeld ma fatalnie spiżową pewność, że takiego „tataru” scenicznego wystarczy spożyć składnik po składniku, bez rozrobienia, albowiem „tatar” ów sam się nam w żołądku rozrobi – i będzie cacy. Otóż, owszem, tak też się da, tyle że przed przystąpieniem do owej uroczej biesiady, godnej czasów teatru neandertalskiego, trzeba pamiętać, że straty będą duże. Chodzi o to, że Rafał Jędrzejczyk się przecież nie rozmoży, nie posprząta wszędzie, a toaletka płatna jest, niestety, wszędzie. Poza Narodowym Starym Teatrem, rzecz jasna.

PAWEŁ GŁOWACKI

Wywoływali szok i niesmak. Obecnie Stonesi i Jagger są wyznacznikiem tego, iż rock żyje i ma się dobrze.

Od początku kariery Jagger, jeden z najbardziej wpływowych wokalistów rockowych wszech czasów, był twórczo związany z Keithem Richardsem – gitarzystą i współautorem większości kompozycji Stonesów. Bez tej pary nigdy nie powstałby The Rolling Stones. Bez The Rolling Stones rock'n'roll nie byłby rock'n'rollem.

Wedle legendy wszystko zaczęło się od spotkania tej dwójki na dworcu kolejowym w 1960 r. Jagger niósł pod pachą plik płyt analogowych, Richards zaś nie mógł wyjść z podziwu nad ich tytułami. Początek lat 60. w Wielkiej Brytanii był okresem względnej prosperity. Muzyka młodzieżowa nie budziła jeszcze sporów i kontrowersji. Spotkanie tej dwójki na stacji na zawsze miało to zmienić. Liderzy The Rolling Stones, w przeciwieństwie do przywódców The Beatles, nie utożsamiali się z epoką dzieci kwiatów. Chociaż wyuzdanie, rozwiązłość i łatwy dostęp do narkotyków z pewnością przyczyniły się do narodzin legendy – seksu, narkotyków i rock'n'rolla.

Jagger a Lennon

Gdy ten drugi oddawał się fascynacji kulturą hippisów i Dalekiego Wschodu, wokalista Stonesów stawał się dekadentem bożkiem, z którym sypiać chciały zarówno matki, jak i córki. Lennon poszukiwał nirwany poprzez mantry i LSD, Jagger przez bluesa, alkohol, kobiety i narkotyki. Z perspektywy czasu widzimy wyraźne różnice między tymi jakże znaczącymi muzykami. Prasa muzyczna i brukowa lat 60. na całym świecie pisała, iż Jagger i The Rolling Stones cierpią na kompleks spółki Lennon/McCartney. Niemal każdy z wczesnych albumów Stonesów porównywany był z osiągnięciami Beatlesów. Głośno było np. w związku z wydaniem znakomitego albumu „Beggars Banquet”. Projekt okładki wymyślony przez Micka przedstawiał otwarty sedes i ścianę z typowymi klozetowymi napisami. Właści-

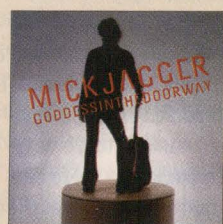


MICK JAGGER – USTA The Rolling STONES

ciele firmy, w której chłopcy wydawali swoje płyty, nie chcieli dopuścić do publikacji okładki, bo ich zdaniem obrażała potencjalnych klientów.

W końcu po długich kłótniach album znalazł się w sklepach – jego okładka była po prostu biała. Dziwnym zbiegiem okoliczności The Beatles wcześniej wydali jeden z najlepszych swoich albumów, tzw. Białą Album. Choć oba różnią się zdecydowanie, nie przeszkadzało to dziennikarzom rozpisywać się o „kompleksie Lennona”, na który miał niby cierpieć Jagger. W tym albumie Stonesów znalazła się jed-

na z najlepszych kompozycji w historii rocka – „Sympathy For The Devil”. Powstała w wyniku fascynacji Jaggera satanizmem i postacią Kennetha Angera – maga i okultysty podającego się za ucznia Aleistera Crowleya. Choć sama fascynacja satanizmem nie wydaje się czymś godnym pochwały, to jednak jest dowodem, jak duża różnica dzieli wokalistę Stonesów od Lennona. Lennon dawał się oszukiwać niejakiemu Maharishi Mahesh Yogiemu – fałszywemu hinduskiemu prorokowi, Jagger z dystansem i zimną krwią raczej przyglądał się i wyciągał wnioski, niż bezgranicznie ufał



MICK JAGGER

To nie jest album wybitny ani przełomowy. Jest po prostu dobry, a momentami nawet bardzo. Na szczęście Jagger zrezygnował z romansowania z muzyką pop i nagrał album prawie w stu procentach rockowy. Prawie, bo pojawiają się tutaj elektroniczne wtręty. W tytułowym utworze „Goddess in the Doorway” psują całą linię melodyczną, za to w „Gun” dodają piosence pikantnego smaczku. Do tego jeszcze zaproszeni goście – Lenny Kravitz, Wyckle Jean – w znakomitym „Hide Away” – i Bono. Aż miło słuchać, jak Jagger rozszarpuje na strzępy wokalistę U2 w piosence „Joy”. Wtedy znikają wszelkie wątpliwości. Wiadomo, kto jest najlepszym wokalistą świata. (RZ)

Virgin

Angerowi. Mick nigdy nie poddawał się łatwo cudzym wpływom, raczej je wywierał.

Jagger i film

Przygoda z filmem rozpoczęła się po części z powodu presji, jaką Beatlesi wywierali na środowisko artystyczne Londynu. Po tym jak koncertowo zagrali w dwóch beztrudnych komediach Richarda Lestera, Stonesom także zachciało się zagrać w filmie. Mick i Keith od pewnego czasu zafascynowani byli powieścią Anthony'ego Burgessa – „Mechaniczna pomarańcza”. Niestety, jak się później okazało, prawa do ekranizacji powieści odkupił już Stanley Kubrick – za 1000 dolarów, gdyż, jak mówi plotka, Burgess w wyniku mylnej diagnozy lekarskiej wyprzedawał swój dobytek, aby zapewnić rodzinie przyszłość.

Rozglądali się za innym pomysłem, jednak żaden już ich w pełni nie pociągał. Wstępne rozmowy z reżyserem Nicholasem Rayem spłyły na niczym. Finał filmowych zmagani zespołu wypadł fatalnie.

Jednak sam Mick – już bez pomocy i wsparcia kolegów – zagrał w kilku filmach. Najważniejszym z nich okazał się ten pierwszy – „Performance” w reżyserii Davida Cammella i Nicolasa Roega. Grał tam siebie – zblazowaną gwiazdę rocka, której dom staje się schronieniem dla gangsterów. Szybko role się odwracają, a gwiazdor zaczyna dominować nad gangsterami. Film ten to perwersyjny erotyczno-psychologiczny dramat o utracie osobowości. Jagger do tego stopnia utożsamiał się z odgrywaną przez siebie postacią, iż w rzeczywistości zaczął katować i zamęczać odtwórcę głównej roli złego Chasa – Jamesa Foxa. Przyplacił on kręcenie „Performance” dwuletnim załamaniem nerwowym i wycofaniem się na pewien czas z aktorstwa. Krótko mówiąc – zwariował.

Kolejną rolą Jaggera była postać Neda Kelly'ego, australijskiego bandyty, postaci autentycznej, w filmie Tony'ego Richardsona „Ned Kelly”. Niestety, tutaj sukcesu już Jaggerowi nie udało się

powtórzyć. Po części wina leżała po stronie scenariusza, po części po stronie Jaggera, który o wiele lepiej czuł się w roli rockowego gwiazdora niż aktora. Film nie spodobał się nikomu. To ostudziło na kilka lat aktorskie ambicje Micka. Do grania w filmach jednak powrócił, wcielając się np. w rolę cynicznego łowcy nagród w futurystycznym dreszczowcu „Freejack” w reżyserii Geoffa Murphy'ego.

Solo

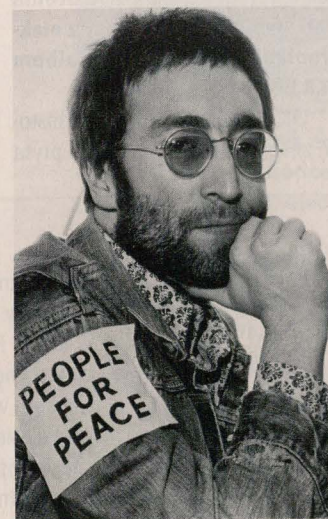
Byłoby co najmniej dziwne, gdyby artysta tej klasy co Mick Jagger nie próbował kariery solowej. Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych ukazał się jego pierwszy solowy album „She's the Boss”, przyszłość Stonesów stała pod znakiem zapytania. Zmęczeni sobą muzycy nie panowali już ani nad jakością proponowanych przez nich nagrań, ani nad emocjami. Keith Richards powiedział kiedyś, że nie ma sensu nagrywać solowej płyty, bo brzmiałaby ona jak Stonesi bez Jaggera. Widocznie Mick był innego zdania i nie bał się, iż ludzie o jego solowych projektach powiedzą Stonesi bez Richardsa (który notabene w końcu nagrywa solowe albumy).

„She's the Boss” z pewnością nie można nazwać ani albumem dobrym, ani też albumem Stonesów. Utrzymany był w tonacji lat osiemdziesiątych i czerpał z nich wszystko to, co najgorsze: plastikowe syntezatory i dyskotekowy rytm. Ale kilka kompozycji można nazwać udanymi – w końcu nie byle kto jest ich autorem.

Drugi solowy album Jaggera przyniósł muzykę bliźniaczo podobną do debiutu. „Primitive Cool” do wybitnych arcydzieł nie należy. Dopiero wydany w 1993 r. trzeci w kolejności solowy album Jaggera – „Wandering Spirit”, udowodnił, że jest on kompozytorem, który potrafi stworzyć wartościowe piosenki, pisząc je nie tylko do spółki z Keithem Richardsem. Co ważniejsze, swoich muzycznych zainteresowań Jagger nie ogranicza tylko do swojej osoby. To dzięki jego pomocy świat usłyszał Living Colour – formację, której pomógł zarówno w organizowaniu koncertów, jak i przy produkcji płyt.

The Rolling Stones znów nagrywają płyty. Mick wydaje solową (premiera – 19 listopada) i wszystko zdaje się być na swoim miejscu. Historia zatoczyła koło. Na początku kariery Stonesi i Jagger wywoływali szok i niesmak. Obecnie są wyznacznikiem tego, iż rock żyje i ma się całkiem dobrze.

ROBERT ZIEBIŃSKI



Pisano, że Jagger cierpi na kompleks Lennona.



KLUB POD JASZCZURAMI

Kraków, Rynek Główny 8

KONCERTY najbardziej znanych i cenionych artystów polskiej sceny jazzowej, jassowej i rockowej.

KAWIARNIA czynna od godz. 9.00, w której można poczytać ciekawą prasę, zagłębić się w lekturę ciekawej książki. Zajmując miejsce na słynnej kanapie, na której siedział kiedyś Fidel Castro i Helmut Kohl. A wszystko to przy mocnej, aromatycznej, włoskiej kawie.

KINEMATOGRAF w nieopowtarzalnej sali Teatru 38. Kultowe filmy puszczane na projektorze z 1951 roku. Filmy Davida Lyncha, Larsa von Triera, Wayne Wanga, Pedro Almodóvara

27 listopada (wtorek) godz. 20.00

GITARĄ I PIÓREM

„jestem”

Koncert **Patrycji Kapłon**

29 listopada (czwartek) godz. 20.00

„ANDE LA MORE”

Koncert **Maćka Maleńczuka** z zespołem

30 listopada (piątek) godz. 21.00

Pokaz IV Maszyny do lania wosku

– zabawa Andrzejkowa

4 grudnia (wtorek) godz. 19.00

Salon POLITYKI

Spotkanie z Prezydentem RP **Aleksandrem Kwaśniewskim** poprowadzi Janina Paradowska

KINEMATOGRAF godz. 20.00

26 listopada „Blask”

30 listopada „Milion Dollar Hotel”

Sponsorzy:

Nie czuję się
zepchnięty
przez Agnieszkę
Chylińską.
Odgrywam dość
ważną rolę
w tym zespole.

ROZMOWA
Z GRZEGORZEM SKAWIŃSKIM



Kompozytorem muzyki filmowej nie zostanie

Czy nie myślał pan o reaktywowaniu zespołu Kombi?

Ale w jakim celu? Dla pieniędzy? Radzę sobie całkiem nieźle. Nie uważam, żeby było to komukolwiek potrzebne – po prostu.

Nigdy nie chciał pan zagrać na boku, poza zespołem, z nowymi ludźmi? Nikt nie proponował panu współpracy?

Mnie w ogóle różne rzeczy korcą. Zdarza się, że nagrywam jako muzyk sesyjny, bywam zapraszany po prostu w gości. Aczkolwiek, przyznam się szczerze – takiej propozycji wspólnych występów po prostu nie otrzymałem. W związku z tym, jeśli ktoś zechce i przede wszystkim mnie się to spodoba – na takie zaproszenie, by zagrać z kimś młodym, fajnym, odjazdowym – czemu nie!

Jak pan wspomina współpracę zespołu z branżą filmową?

Jeśli chodzi o „Młode wilki”, trudno mi cokolwiek powiedzieć, bo przyznam się szczerze – nie widziałem tego filmu. Po prostu dostaliśmy propozycję napisania utworu do filmu, na zadany temat, i to zrobiliśmy. Reżyser, Jarosław Żamojda, zadzwonił i powiedział, że

chciałby to czy tamto. Pamiętam zabawną rzecz – kazali nam zmieniać słowa, bo jak zwykle Agnieszka napisała pesymistyczny tekst, a reżyser stwierdził, że obraz kończy się jednak nadzieją i dobrze było, gdyby i utwór był mniej przygnębiający. Oryginalna wersja, czyli „Nienawidzę”, znalazła się na „T.R.I.P.-ie” – to jest prawdziwy tekst, pierwszy, który powstał do tego utworu. W filmie było – „Będę żyła”.

Potem napisałem całość muzyki do „Ostatniej misji” – znalazł się tam też utwór „Moja odpowiedź”. Tu wszystko było już bardziej metodycznie zorganizowane i konkretne. Widziałem wcześniej film, więc łatwiej było mi się odnieść do określonego klimatu. Ale kompozyto-

rem muzyki filmowej raczej nie zostanę. Był to ciekawy eksperyment, chciałem spróbować czegoś nowego. Natomiast dla mnie, muzyka, który lubi czynnie grać, taka praca domowa, w kapiach, jest mało interesującą dźbaniną. Poza tym trzeba pisać tak, żeby muzyka nie przeszkadzała, by nie sekwencjonowała obrazu, albo żeby coś podkreślała itd. To jest komponowanie na konkretne zamówienie, a ja jednak cenię sobie wolność.

Jak z perspektywy czasu ocenia pan swoje eksperymenty z elektroniką? Mam na myśli album „T.R.I.P.”.

OK. Jest to pewien etap w historii zespołu. To akurat dobra płyta

i wysoko ją oceniam. Nie uważam, byśmy gdzieś zblądzieli, a elektronika jest także obecna, choć w mniejszym stopniu, na naszym nowym albumie „Mrok”. Używamy jej jednak troszeczkę inaczej. Bazą wyjściową nie są loopy, klawisze, ale grający na żywo zespół z akustyczną perkusją. Elektronika pojawia się bardziej na zasadzie smaczków. Wciąż jesteśmy grającą na żywo rockową kapelą, a jak wiadomo – rockowa kapela to grające na żywo gitary, bębny i wokal.

Nie czuje się pan zepchnięty trochę na bok przez Agnieszkę Chylińską?

Nie, absolutnie nie. Moje czy też nasze – zespołu – usunięcie

się do drugiej linii to tylko wizerunek medialny, bo w życiu absolutnie tak nie jest. Nie czuję się ani zepchnięty, ani mniej ważny. W końcu odgrywam dość ważną rolę w tym zespole (śmiech). Tak naprawdę to jest kwestia wyboru. Dość długo stałem na czele zespołu – byłem frontmenem. Może rzeczywiście ciężkim momentem była dla mnie chwila, kiedy Agnieszka przyszła do zespołu – trzeba było się nieco przestawić. Teraz absolutnie nie ma problemu – nie muszę stać w pierwszej linii, żeby się dobrze czuć. Liczy się dobro zespołu, a Agnieszka jest centralną postacią, dookoła niej wszystko się kręci.

Porozmawiajmy w takim razie o najnowszej waszej płycie, zatytułowanej „Mrok”. Jak pan ją ocenia na tle wszystkich płyt O.N.A.?

Myślę, że jest to dzieło najbardziej spójne, jednolite koncepcyjnie oraz artystycznie ze wszystkich, jakie udało nam się zrobić. Nie ma tutaj utworów przypadkowych. Całość jest bardziej dopracowana, mieliśmy bowiem więcej czasu na to, aby się nad sobą zastanowić. Po umiarkowanym sukcesie płyty „Pieprz” mieliśmy dwa lata na to, by pomyśleć, czy chcemy dalej i jak chcemy dalej. Z tych rozważań narodził się właśnie „Mrok”. Myślę, że jest to nasza najbardziej dopracowana płyta. Najmocniejsza i muzycznie, i tekstowo – taki przesącz z krwi, jak to się mówi. Po prostu daliśmy z siebie to, co w nas najlepsze.

Rozmawiał
ADAM BIEDAŁ



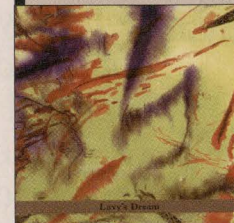
CYMESIK DLA MELOMANA



SUPER FURRY ANIMALS

Nowy album futrzastych Walińczyków otwiera piosenka „Alternate Route to Vulcan Street” i trzeba przyznać, że jest to utwór na naprawdę wysokim poziomie. Zresztą i cała płyta niżej nie schodzi. Wciąż są to gitarowe piosenki, z lekką domieszką psychodeli i współczesnej techniki. „Rings Around The World” – taki tytuł nosi ten album – sprawia wrażenie idealnego kompromisu pomiędzy muzyką ambitną, trudną w odbiorze, a wręcz popowymi melodiami. I przyznać należy szczerze – nie jest to kompromis wymuszony, raczej. (RZ)

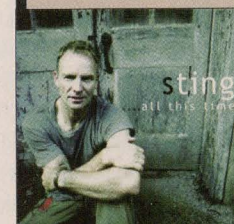
Sony Music



DAVKA

„Lavy's Dream” to wznowiona i poszerzona wersja albumu, który pierwotnie ukazał się w roku 1996. Tytuł „Lavy's Dream” odnosi się do rabiego Yehudaha Lavy – żydowskiego mistyka, któremu wedle legendy przypisuje się stworzenie Golema – człeko-podobnej istoty pozbawionej duszy. Muzyka, która wypełnia ten album, przywodzi na myśl magiczne obrzędy. Panuje tu duszna, mroczna atmosfera, po trosze zapożyczona z „Procesu” Kafki, a i wielbiciele „Miasteczka Twin Peaks” czuć się tu będą jak w domu. Dominują instrumenty smyczkowe, to one tworzą z lekka surrealistyczną atmosferę, która unosi się nad tymi nagraniami. (RZ)

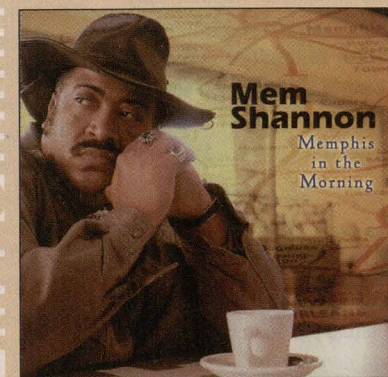
Tzadik/Multikulti



STING

Kiedyś, dawno temu, ten pan błysnął albumem koncertowym, który przerósł wszystkie jego późniejsze dokonania solowe. Mowa oczywiście o „Bring On The Night”, jednej z najlepszych, jeśli nie najlepszej, płyt Stinga. W tym roku nadszedł czas na kolejny album koncertowy – „All This Time”. Obawy były duże. Sting z płyty na płytę coraz bardziej pograżał się w papce popowej, strawnej tylko dla najzagorzalszych fanów. Jakimż więc zaskoczeniem okazał się tegoroczny koncert. Wysmakowane aranżacje, znakomici muzycy i przede wszystkim świetna kondycja pana S. To wszystko składniki, które sprawiły, że jest to jego najlepsza od kilku lat płyta. (II)

Universal



MEM SHANNON – POMIĘDZY KACEM A KAWĄ

Kolejny wielki bluesowy album do odkrycia. „Memphis in the Morning” to dwanaście utworów – opowieści, które snuje dla nas Mem Shannon. Czasami trudno kompozycje Shannona bezpośrednio wiązać z bluesem. Zdarza się mu zapędzić zarówno w obszar typowo rockowych ballad, jak i pieśni soulem podsztych. Ich wspólnym mianownikiem jest jednak historia.

Shannon nie sili się, by zostać rockowym czy bluesowym poetą, jego język nie jest wyszukany, ale też nigdy nie bywa prostacki. Te zwykle opowieści o podróży, koncertach, życiu w drodze i niespełnionej miłości urzekają właśnie prostotą, a zarazem emocjonalnym wyrafinowaniem. Shannon nie operuje wyrafinowaną poetycką frazą.

Jego słowa to rzeczywistość, która nas otacza, często ta, na którą nie zwracamy uwagi z braku czasu albo ze zwykłej ślepoty. Wystarczy rzucić okiem na zdjęcie z okładki – zamyślony facet, rozdarty pomiędzy porannym kaczem a gorącą czarną kawą.

To właśnie do takich ludzi skierowana jest ta płyta, to właśnie ci ludzie docenią ją najlepiej. Nikomu nie zaszkodzi wysłuchanie tych dwunastu piosenek, a już na pewno nikt nie będzie miał po nich kaca. Jeśli ktoś nie wierzy, niech posłucha „I love the way you love”, kolejnej zwykłej pieśni o miłości. Tak zwykłej, że aż genialnej.

ROBERT ZIĘBIŃSKI

Shanachie/multikulti
www.multikulti.com



O.N.A.

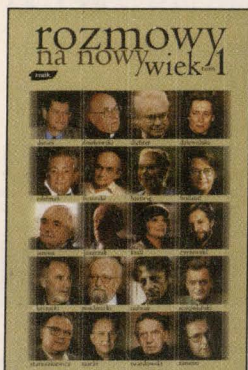
Zespół O.N.A. zwykle chwali się za profesjonalizm – słusznie, bo panowie Skawiński, Tkaczyk i Kraszewski to niewątpliwi zawodowcy. Zapomnieli jednak, że w rock'n'rollu profesjonalizm jest środkiem, nie zaś celem. Potwierdzają to płyty grupy O.N.A., z albumem „Mrok” włącznie. Jest na nim trochę ciężkiego rocka, jest ballada, jest modne obecnie łączenie gitar z elektroniką – wszystko świetnie zagrane, tyle że sztuczne aż do bólu. A już zupełnie nie do zniesienia jest maniera i minoderyjne teksty wokalistki Agnieszki Chylińskiej, tudzież jej pseudobuntowniczy image. Substytut rocka dla nastolatków, w dodatku zupełnie pozbawionych gustu. (WK)

Sony Music



Znakomita lektura na okres przedświąteczny. Zwłaszcza dla tych, dla których Boże Narodzenie ma jedynie świecki charakter. Ks. Mieczysław Maliński, autor „Katechizmu dla niewierzących”, nie chce nikogo nawracać na siłę. Stawia jedynie proste, acz fundamentalne pytania, namawia do refleksji. Jego książka to także znakomite kompendium wiedzy religijnej i religioznawczej. Z jednej strony autor wyjaśnia podstawowe pojęcia chrześcijaństwa (sakrament, chrzest, poka, eucharystia, sobór), z drugiej przypomina powstanie tej religii, opowiadając o starożytnej Palestynie, przywołując rzymskich historyków opisujących m.in. dzieje pierwszych chrześcijan (Tacyt, Swetoniusz). Osobne rozdziały zostały poświęcone prawosławiu, luteranizmowi i islamowi. W związku z nadchodzącymi świętami szczególną uwagę warto zwrócić na rozdział opowiadający o świętowaniu, wyjaśniający m.in., czym się ono różni nie tylko od pracy, ale i zwykłego wypoczynku. (OC)

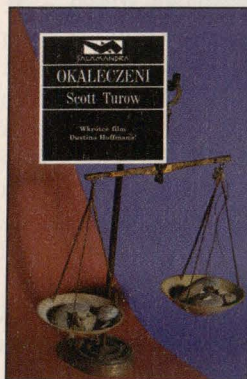
Ks. Mieczysław Maliński, „Katechizm dla niewierzących”. Wydawnictwo WAM, Kraków 2001.



Trudno uwierzyć, że rozmowy te toczą się już od pięciu lat, i to w telewizji. Katarzyna Janowska i Piotr Mucharski spotykają się z ludźmi różnych profesji i pytają o sens życia, problemy sumienia, losy cywilizacji zachodniej. Zawsze rozmawiają o sprawach ważnych i poważnych. Można by pomyśleć, że to najlepsza recepta na... brak zainteresowania ze strony szerszej publiczności. A jednak zarówno program telewizyjny, jak i oparte na nim książki cieszą się ogromnym powodzeniem. Ich autorzy są nagradzani (nagroda dziennikarska im. Dariusza Fikusa, Wiktor dla najlepszego programu telewizyjnego), a spotkania z czytelnikami przeradzają się w wielogodzinne, pasjonujące dyskusje. To fenomen, chyba nie tylko na polskim rynku wydawniczym.

Najnowszy tom „Rozmów na nowy wiek” zawiera wywiady z Normanem Daviesem, Wilhelmem Dichterem, Markiem Edelmanem, Julią Hartwig, Agnieszką Holland, Marią Janion, Krzysztofem Pendereckim, Krzysztofem Zanussi i wieloma innymi, których nie sposób tu wymienić, choć na pewno są nie mniej interesującymi postaciami. Powstanie czwartego już tomu „Rozmów” napawa optymizmem, nie tylko ze względu na to, że z pewnością zainteresuje wielu czytelników, ale również i dlatego, że dowodzi, jak wielu wspaniałych i mądrych rozmówców można znaleźć, jeśli chce się rozmawiać o sprawach ważnych. (JGI)

„Rozmowy na nowy wiek. Prowadzą Katarzyna Janowska, Piotr Mucharski”. Wyd. Znak, Kraków 2001.



Wedle słów narratora jest to „opowieść prawnika”, która „ukazuje nieuchronne działanie prawa”. Amerykanie uwielbiają podobne historie – w życiu, literaturze i kinie – zwane dramatem sądowym, czyli court-room drama. Mistrzem takiej literatury jest John Grisham, lecz Scott Turow – autor powieści „Uznany za niewinnego”, brawurowo sfilmowanej przez Alana Pakulę – w niczym mu nie ustępuje. Historia toczy się wartko, często pojawia się element zaskoczenia czy nagły zwrot, bowiem wymiar sprawiedliwości w USA jest niezwykle skomplikowany i nieobliczalny. Stąd opowieść Turowa o szukanym prawniku i zajmującej się nim agentce FBI czyta się z wielkim zainteresowaniem. Trzeba się też bardzo skupić, bowiem intryga otoczona jest niezwykłą ilością subtelnych – i często tylko pozornie nieistotnych – szczegółów. Można zająć się lekturą już teraz – można później: ekranizacja powieści Turowa będzie bowiem debiutem reżyserskim Dustina Hoffmana i na pewno trafi do polskich kin. I jeszcze jedno – wydawnictwo jak zwykle odpycha czytelników toporną i nachalną okładką, której daleko do subtelności powieści. (JAZ)

Scott Turow, „Okaleczeni”. Przel. Marta Jabłońska-Majchrzak. Dom Wydawniczy Rebis, seria Salamandra, Poznań 2001.

OKRUCHY LOSU

Ludzie od lat znoszą swoje i cudze opowieści, a potem Hanna Krall robi z tego wielką sztukę opowiadania, przyszpila kawałki mijającego życia do papieru, trwalszego od pojedynczych losów.

Najnowsza książka Hanny Krall jest znów o Holocaustu i jego skutkach, o nie zaleczonych ranach pamięci. Ale sprawia wrażenie, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jakby coś się kończyło. To już nie są pełnokrwiste, ciężkie od zdarzeń i tragicznego bólu opowieści, jakie znajdziemy w poprzednich książkach Krall – „Sublokatorce”, „Zdażyć przed Panem Bogiem” czy „Dowodach na istnienie”. Ta najnowsza to książeczka właściwie nieduża, sto kilka stron za ledwie. A w niej okruciny, notatki, często pojedyncze zapisy, obserwacje i jedna tylko dłuższa narracja, w odcinkach, o Polce z kalifornijskiego miasteczka.

Wiadomo, że do Hanny Krall ludzie od lat znoszą swoje i cudze opowieści, a potem ona robi z tego wielką sztukę opowiadania, przyszpila kawałki mijającego życia do papieru, trwalszego od pojedynczych losów. Tak jest i teraz. Ale wydaje się, że najważniejsze zostało już kiedyś wypowiedziane. „Jadę do niemieckiego barona. Nie wiem po co. Nie wiem po co prosiłam o adres” – pisze w pewnym momencie autorka, dając do zrozumienia, że i ona czuje się już zmęczona podjętym kiedyś zadaniem, że może trzeba kiedyś przestać, otworzyć się na jakiś inny świat. Ale jedzie. Kiedy indziej odwiedza ją gość z Kanady. „Kartkuję rękopis. (...) To co?” – pyta Kanadyjczyk. To nic. Już pisałam. Proszę zanieść tekst do archiwum, ktoś kiedyś go przeczyta”. Ale pisze o tym Kanadyjczyk i jego rękopisie.

Tak jakby wiedziała (wie rzeczywiście), że jak się już kiedyś otworzyło tę straszną puszkę Pandory, nie można jej ot tak, zwyczajnie zamknąć i odwrócić się na pięcie. Poza tym wszystko jest ważne, nawet jak jest nieważne albo takim się wydaje. Te okruciny, miniscenki, zapisywane podobnie, stylem powściągliwym i delikatnym, przypominającym chińskie i japońskie rysunki tuszem, sprawiają niekiedy wrażenie notatek czynionych dlatego tylko, że jeśli się tego nie robi, coś nieodwołalnie przepadnie. Pokolenie Holocaustu po prostu kurczy się z minuty na minutę. A tylko oni wiedzą na p r a d e. Ponadto „historie opowiadane przez Tamtych, którzy przeżyli, mają swój początek, środek i zakończenie. Zakończe-

niem jest fakt zdumiewający ich samych: że żyją. Dzieci i wnuki Tamtych też próbują opowiadać, ale są to historie bez środka i bez początku. Kończą się tam, gdzie się powinny zaczynać. Szczerze mówiąc – to w ogóle nie są historie”. Trzeba, najzwyczajniej, ocalać co jeszcze jest do ocalenia.

Więc Hanna Krall ocala: syna Felicji, która poszła za Albertem, bynajmniej nie ojcem tego syna, do Treblinki, gdzie oboje zginęli; syn przeżył i pisał do nie istniejącej matki obelżywe listy; ocala umierającą przyjaciółkę, która przed śmiercią nauczyła męża gotować rosół; pewną grubą kobietę (o jednej nodze krótszej) z Dąbrowy Górniczej, obecnie mieszkankę amerykańskiego miasteczka nieopodal Bostonu, mającą autystycznego synka przyjaźniącego się z kotem sąsiadów; inną kobietę, bezdzietną, która zdecydowała się zabić szantażującego ją ginekologa; ocala także sen mieszkanki Sydney, w którym to śnie pani ta stoi nad własnym trupem, jako że została zabita podczas ucieczki z obozu; i jeszcze całe mnóstwo takich i innych historii.

Nie wszystkie są jednakowej wagi i nie wszystkie są o Żydach. Do niektórych autorka załączyła klucz personalny, czytelnik znajdzie go w przypisach na końcu książki. Ale nawet nieznamość tego klucza – przeczytałem książkę, nie wiedząc o jego istnieniu – wcale nie przeszkadza w lekturze. Podnosi metaforę tekstu na poziom uogólnienia.

Pisarze, jak wiadomo, zawsze szukają „dobrych historii”, dobrych tematów dla swoich opowieści. Ale już kiedyś Proust, a później Hemingway odkryli, że z wszystkiego można zrobić dobre historie, zależy tylko, jak się je napisze. Jedno



Świat do ocalenia

Rozmowa z Hanną Krall

– Czy zgadza się pani z naszym recenzentem, który sugeruje, że ta książka jest pożegnaniem z tematyką Holocaustu, że wszystko już zostało opowiedziane w pani poprzednich książkach?

– Bardzo nie lubię słów „tematyka” i „Holocaust”. Lubię myśleć, że opowiadam o losach ludzkich – niemieckich, żydowskich, polskich – zaczepionych o wojnę. Te losy się nigdy nie skończą. Ważność tego, co się zdarzyło, jest wieczna. Mam zamiar dalej o tym pisać, ale inaczej. Zmieni się sposób opowiadania, następną książkę opowiem całkiem inaczej. Proszę pozwolić, że nie zdradzę nic więcej.

– Można chyba powiedzieć, że to nie pani wybrała ten temat, ale na odwrót. To ludzie znoszą do pani swoje i cudze opowieści.

– Czasem ja znajduję tych ludzi, czasem oni mnie. Znalazłam miejsce, o którym napiszę w następnej książce, ale też mam poczucie, że to miejsce było we



z najsłynniejszych opowiadań Hemingwaya jest o kocie moknącym na deszczu i kobiecie, która przyglądała mu się z hotelowego okna. W historiach, które Hanne Krall opowiadają Tamci, którzy Przeżyli, nawet koty są dramatyczne.

TADEUSZ NYCZEK

Hanna Krall, „To ty jesteś Daniel”. Wydawnictwo a5, Kraków 2001

mnie od dawna, a teraz przyszła pora, że muszę o tym napisać.

– Z jaką reakcją spotkała się ta książka?

– Bardzo wielu ludzi na nią zareagowało, mimo że nie jest prosta. Jest w niej wiele milczenia, mało słów. Ludzie się do mnie zgłaszają, przychodzą na spotkania, piszą listy. Dostałam list od pewnego pana, który czyta moje książki od początku, i on zwrócił mi uwagę, że kiedyś opowiadałam całkowite historie, potem historie, które były jakby filmowymi stopklatkami, a ta książka to są ścinki filmów, na podstawie których trzeba się domyślać, jaki był cały film. Ta książka wymaga pewnego wysiłku wyobraźni czytelnika. Z radością obserwuję, że jest on podejmowany.

– Co jeszcze z tego świata jest do ocalenia?

– Cały świat jest do ocalenia, jest po to, żeby go zapisać. Ja też znalazłam taki świat, który staram się zapisać.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

ZDANIEM
mojej ŻONY...

... należy czujnie śledzić przemiany świata współczesnego, by w każdej chwili można było sprostać rodzącym się wyzwaniom. „Intelktualnym oczywiście, powiedziała moja żona, obciągając ciasną spódniczkę, która z trudem zastaniała jej zmysłowe uda. W dobie schyłkowego postmodernizmu, kiedy upadła z hukiem wiara w scalającą moc rozumu, trzeba, powiedziała moja żona, depilując tyłki, swój giętki umysł naginać sposobnie do okoliczności. Człowiek nie jest strażnikiem przeszłości, powiedziała moja żona spod maseczki z buraków, nie ma więc złudzeń, że sam jeden ogarnie swoim ograniczonym umysłem całość dostępnej wiedzy. Wielki gmach ludzkiego poznania, powiedziała moja żona, lakierując na czerwono paznokcie, leży w gruzach, więc możemy obcować jedynie z jego popękanyimi cegiełkami. Nie ma już obiektywnych standardów prawdy, powiedziała moja żona, nakładając na siebie poczwórna warstwę make-upu, w związku z czym skazani jesteśmy na błądzenie wśród pozorów. Nie liczy się to, jak jest, powiedziała moja żona, nakładając włosy smolistej brunetki, lecz to, jak może być dzięki sile naszej perswazji. Ach, jaki ty jesteś naiwny, zwróciła się do mnie tak nagle, że z przejęcia wypadły mi z rąk szczypczyki, którymi przekładałam znaczki w klaserze. Ty wciąż wierzysz w idole zdegenerowanej nowoczesności. Dobroduszenie wierzysz w porządek (zrozumiałem, że muszę posprzątać w jej garderobie) i klasyfikacje (mojego klasera nie oddam!), a za oknem świat rozpada się na naszych oczach. Człowieku, powiedziała moja żona, wbijając swe stopy w skórzane oficerki, przecież ty w ogóle nie wiesz, na jakim świecie żyjesz. Siedzisz sobie na przypiecku, a tam zrozpaczony rozum szaleje po ulicach. Ja nie mogę na to spokojnie patrzeć, powiedziała moja żona, wylewając na siebie pół butelki Coco Chanel. Ktoś w tej rodzinie musi sprostać wyzwaniom współczesności”. „Kiedy wrócisz?” – rzuciłam niedbale. „Jutro rano” – odparła moja żona i tyle ją widzieli. Widocznie zrozpaczony rozum ma swoje prawa. Nie mnie o tym sądzić.

mąż

Dziś polecam:
wątróbkę – ale cielecą
– po wenecku,
ploughman's platter
– koniecznie
z angielskim serem
i mocnym piwem
– oraz jajecznice à la
Zelda Fitzgerald
z bloody mary.



FOT. PIOTR BOKO (3)

Od kilku lat nie jadłem jednej z moich ulubionych potraw, czyli wątróbki cielecej po wenecku. Było tak dlatego, że w stołecznych sklepach cieleca istnieje tylko nominalnie, pod nazwą tą sprzedaje się wątrobę wołową.

Łatwo to dostrzec, ponieważ wątróbka cieleca jest szara, a wołowa – czerwona. Ostatnio, kiedy szwendałem się po sklepie bez pomysłu na kolację, nagle, ku mej wielkiej uciechy, ujrzałem szarą, cielecą wątróbkę. Problem rozwiązał się sam: wątróbka po wenecku i zapiekane ziemniaki z parmezanem.

Zaczynamy od ziemniaków, które należy ugotować, zrobić z nich purée, ułożyć w okrągłej foremce do zapiekania (wysmarowanej masłem i wysypanej bułką tartą), posypać kilkoma łyżkami parmezanu, obłożyć wierzch małymi kawałeczkami masła i piec w temperaturze 225 stopni, aż rzeczony wierzch będzie rumiany i chrupki.

Tymczasem kroimy kilka cebul na plasterki i dusimy je w oliwie, pod przykryciem, aż zmiękną i troszeczkę się zarumienią. Mieszm, ale nie za często, żeby się jednak zarumieniły.

Wątróbkę kroimy na cienkie, półcentymetrowe paseczki. Kiedy ziemniaki i cebula będą już gotowe, obtaczamy paski wątróbki w mące i smażymy w oliwie wymieszanej z masłem, na dużym ogniu, około minuty. Wątróbka powinna być w środku różowa. Wyjmujemy ją na podgrzany półmisek, do patelni wlewamy kieliszek sherry, drewnianą łyżką zeskrobujemy, co się da, dorzucamy cebulę, wszystko razem mieszamy i kładziemy na wątróbkę, którą po usmażeniu posypaliśmy solą i pieprzem. Pyszne, proste i bardzo niezdrawe.

Do takiego zestawu dobrze pasuje zielony groszek po florencku. Używamy groszku mrozo-

Moje ulubione dania

nego, jak najmniejszego. Jeśli torebka nie jest zamrożona na kamień, można wyczuć palcami rozmiar groszku. Jego średnica nie powinna przekraczać pół centymetra. Groszek po florencku duszony jest z czosnkiem i boczkiem, najlepiej włoską pancettą. W oliwie podsmażamy boczek, aż będzie chrupki. Jednocześnie podsmażamy ząbek czosnku, obrany i przełożony (nie będziemy go jeść – chodzi tylko o aromat). Wrzucamy groszek, kilka łyżek wody, odrobinę soli, przykrywamy i na małym ogniu dusimy kilka minut, aż będzie miękki.

Od czasu, kiedy obejrzałem „Milczenie owiec”, nie piję chianti do wątróbki. Lecz wino powinno być solidne i mieć pewną werwę – na przykład młody cabernet sauvignon lub rioja. A na deser – same owoce: jabłka, gruszki, melony i persymony. Dalej – grappa i mocny sen.

Inne, także ulubione danie, to półmisek oracza, czyli ploughman's platter. Właściwie nie jest to potrawa, którą się samemu przyrządza. Wędliny, sery, pasztety, wiejski chleb, korniszony, marynowane cebulki i – co najważniejsze – czatni. Półmisek takie podaje się głównie w angielskich pubach, choć czatni bywa tylko w tych lepszych.

Kłopot z rekonstrukcją tego dania w Polsce polega na tym, że nie ma tu angielskich serów. A duma, w jaką wprawiają wyspiarzy ich sery, jest najzupełniej

uzasadniona. Na przykład dwuletni lub trzyletni cheddar to ser wielki. Tradycyjnie podaje się go do szarlotki z jabłek. Albo Stilton, zwany roquefortem z brytyjskim wykształceniem. Red Leicester, Sage Derby czy niezwykle, irlandzki Dubliner (skrzyżowanie cheddaru z parmezanem) to wspaniałe sery, które rzadko spotyka się poza granicami Zjednoczonego Królestwa.

No cóż, mając to, co mamy, i tak możemy pokusić się o przygotowanie półmiska oracza – rzecz jasna pod warunkiem, że mamy czatni. I mocne piwo. Pasztet z dziczyzny, sucha kiełbasa, ozór na zimno, sery holenderskie i prawdziwe oscypki, rodzimy porter bądź zdradliwe piwa belgijskie – jak o tym pomyśleć, to polska wersja gotowa przewyższy oryginał. A przecież o to chodzi.

Na zakończenie – danie najulubieńsze, czyli jajecznica à la Zelda Fitzgerald. Zelda była żoną autora powieści „Wielki Gatsby”. Żyli wystawnie. Jajecznice przyrządza się w następujący sposób: zejdź do kuchni i narydź się ze służbą. Jeśli w spiżarni są jaja i boczek, poleć kucharzowi, żeby usmażył jajecznice. Sama tymczasem zabierz się do przyrządzania bloody mary. W tym celu nasyp do dzbanka dwie garście kostek lodu i polej je sosem worcestershire tak, żeby poczerwiała. Pokrop sosem tabasco. Wlej do dzbanka butelkę wódki i dwa razy tyle soku pomidorowego. Starannie wymieszaj i zaprosz gości do jadalni – jajecznica powinna być już gotowa.

TADEUSZ PIÓRO



Aktor filmowy i teatralny. Wykładowca krakowskiej PWST, występuje w teatrach warszawskich, krakowskich i wrocławskich. Zagrał m. in. w „Trójkacie bermudzki” (1987), „Łabędzim śpiewie” (1988), „Balu na dworcu w Koluszach” (1989), „Życiu za życie” (1990), „Pannach i wdowach”, „Ferdynand” (1991), „Śmierci jak kromka chleba” (1994), „Łagodnej” (1995), „Ekstradycji” (1996).

JAN
PESZEK

Będę

Dzień zaczynam od

Zawsze warto mieć przy sobie

Co jest grzechu warte?

Słowo-klucz

Gdy mój rozum śpi

Używany samochód kupiłbym od

Za nic w świecie

Byłem,

Co byś robił w ósmym dniu tygodnia?

Nie mam pojęcia o

W czym towarzystwie chciałbyś

stać na cokole?

Zawsze niech

Mam

Oczekuję

Na jakim dystansie jesteś najlepszy?

Cel, który uświęca środki?

Zawsze chętnie zjem

Jestem

pracować do ostatnich moich dni.

pacierza.

refleks.

Życie.

Słowa przeważnie nie są wiarygodne.

budzą się upiory.

nie kupiłbym.

tęgo akurat nie wiem.

jestem i będę wielbicielem życia.

Pracował.

komputerze i nie chcę mieć.

Źle znoszę gołębie.

świeci słońce.

57 lat.

propozycji.

Jestem długodystansowcem.

Nie znam takiego.

kruchy placek ze śliwkami mojej żony.

optymistą.



FOT. WOJCIECH FLEWINSKI

ANTYKWARIAT

Mentzel i S-ka

Dr S. Składkowski pułk.-lek., „Podręcznik higieny wojskowej dla oficerów i podchorążych”. Wydanie II poprawione. Wydawnictwo Księgarni Wojskowej Ministerstwa Spraw Wojskowych, Warszawa 1920; str. 208.



żołnierzy nienormalnych. „Jeżeli nawet uda się jakiemu matołkowi prześlizgnąć przez służbę wojskową pokojową, to niezawodnie jego choroba lub upośledzenie umysłowe wystąpi jaskrawo wobec grozy wojny”. Przykład? „W trzecim dniu bitwy pod Kołodą pewien legionista, uważany

dotąd za trochę tylko dziwnego, dostał nagle ataku szału. W czasie odwrotu krzychał, że prowadzi go wprost na Moskali, wreszcie tak zaczął bić rannych, jadących z nim na wozie, że musiano go zostawić po drodze”. Przypominam sobie opowieść ojca, straszną opowieść o żołnierzu, który w przekonaniu, że zamienił się w bociana, godzinami stał na jednej nodze, i rozcinam kartki, by w optymistycznym podręczniku Sławoja-Składkowskiego czytać, jak uwolnić rekrutów od „zmory przestachu i zahukania”.

zbmentzel@wp.pl

myśli



Śmieje się, kto wygrywa.

Szekspir

Pyszny jest jak jagnię, świnia, małpa i lew.

duńskie

Przynajmniej szkoły średnie powinny być dobre.

Jakub Werbiński

Talent to często wada charakteru.

Karl Kraus

Smutek woli kanapę, radość – bujany fotel.

Grzegorz Stańczyk

Dobry samochód bywa protezą osobowości.

Stanisław Scheller

W wielu domach więcej miejsca zajmują zabawki niż dzieci.

Sławian Trocki

Twój ulubiony temat – ty sama.

Krecia P.

Do aparatu władzy wciąż potrzeba części zamiennych.

Wiesław Czermak-Nowina

Myśli zebrała Stella Varcaby

FOTOZAGADKA



PO CO POSZEDŁ OGRODNIK?

ODPOWIEDZ... PO PSA



Szpiegostwo kojarzy się nam zazwyczaj z zimną wojną, enigmą i Jamesem Bondem, czyli z awanturczymi przygodami. Tymczasem istnieje też dużo zacniejszy rodzaj szpiegów – szpiegów telefonicznych. Podpici do każdego abonenta, w niezbyt dużych rewirach, śledzą czujnie dialogi, wyłapują każde podniesienie słuchawki w nadziei, że to jednak dzwonek – i że to jednak ten ktoś – wyliczają czas między kolejnymi rozmowami... Prowadzą ścisły wykaz osób, do których nikt nigdy nie dzwoni. Kiedy przekroczone zostaną wszystkie normy braku kontaktu abonenta z resztą ludzkości, do akcji wkracza specjalna grupa operacyjna. Na początku przeprowadzone zostaje rozpoznanie terenu – sprawdza się potrzeby i najskrytsze pragnienia nieświadomego niczego klienta, ustala rozkład dnia i przyzwyczajenia. Następnie do akcji włączają się telefonistki i telefoniści, w ściśle wyznaczonych porach (długie, samotne, niedzielne popołudnia, frustrujące świąteczne poranki...) podłączający się do linii i odbywający z „ofiara” nuby to przypadkowe rozmowy, początkowo zdawkowe, z biegiem czasu coraz dłuższe i bardziej osobiste. Przeszkoleni w zakresie zdobywania i oferowania przyjaźni przywracają opierających się samotników do życia, po to, by – na kolejnym etapie akcji – zwerbować ich w swoje szeregi. Tysiące nudzących się przy radiu starszyszek odkrywa nagle nowy, zabawny i jakże pożyteczny sposób spędzania czasu: w centrach dowodzenia nad talerzem ptysiów i gorącą czekoladą walczą z ogólną frustracją i alienacją nowych pokoleń. Sieć rozrasta się w zaskakującym tempie, nie bacząc na rosnące koszty połączeń telefonicznych (nie na darmo patronem naszych szpiegów został Robin Hood). Jedyne bolesną dzielną wojowników o powszechne szczęście (i ptysie dla każdego) stała się telefonia komórkowa, ale miejmy nadzieję, że z czasem poradzą sobie i z tym problemem technicznym. W końcu kto powiedział, że tylko młodzi mogą się znać na nowoczesnych technikach? (M.)



RYŚ: IGNAŃCY CZWARŃCIS



Przemiła okazja

do lania wosku, ale także imieniny Andrzejów.

Jeśli P.T. Czytelnicy nie mają swojego własnego Andrzeja

(w co trudno uwierzyć, ale co przecież możliwe),

„P” podaje subiektywny spis Andrzejów,

o których można ciepło pomyśleć 30 listopada.

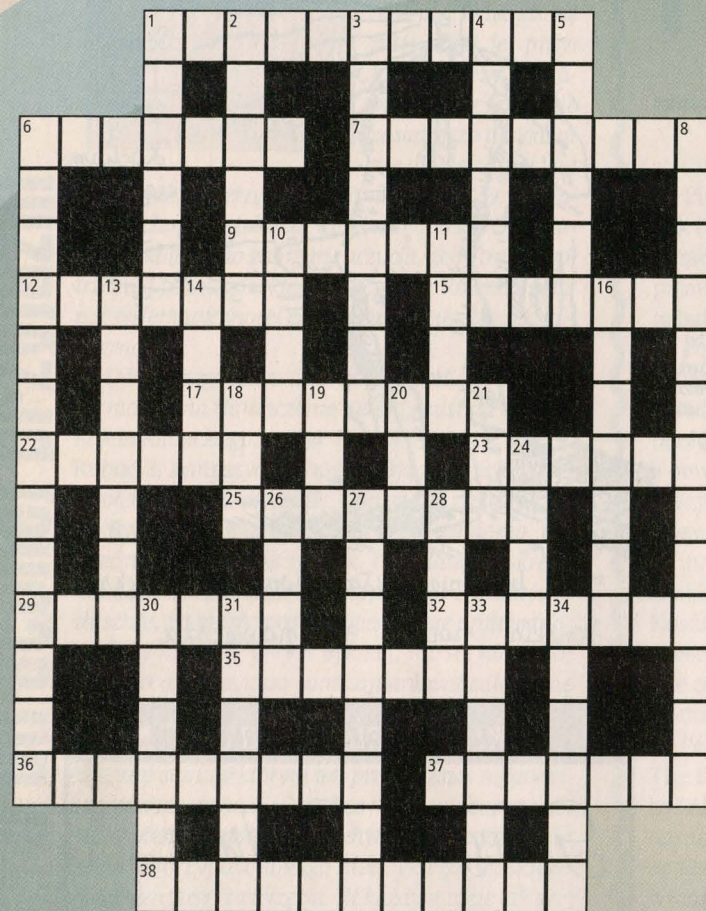
Andrzej Bachleda-Curus – ze znanej rodziny;
Andrzej Baczyński – ksiądz, dziennikarz;
Andrzej Barański – biznesmen-dobroczynia;
Andrzej Boj-Wojtowicz – malarz;
Andrzej Borowski – profesor, znawca literatury staropolskiej i nie tylko;
Andrzej Celiński – minister kultury;
Andrzej Cieślak – psychiatra;
Andrzej Czeczot – rysownik bezwzględny;
Andrzej Dąbrowski – piosenkarz-perkusista;
Andrzej Dobosz – filozof-księgarz-aktor;
Andrzej Dudziński – grafik i rysownik;
Andrzej Dziuk – człowiek teatru;
Andrzej Foltas – malarz;
Andrzej Franaszek – dziennikarz i uczonec;
Andrzej Gasiennica-Roj – narciarz;
Andrzej Gieorgiew – fotograf;
Andrzej Golaś – prezydent;
Andrzej Gołota – silny i sławny;
Andrzej Jagodziński – tłumacz;
Andrzej Jamróz – wróżbita;
Andrzej Juskowiak – piłkarz;
Andrzej Kaczmarczyk – radiowiec, współpracownik „P”;
Andrzej Kajetan Wróblewski – fizyk;
Andrzej Klechowski – malarz;
Andrzej Kmicic – chorąży orsząński;
Andrzej Komański – bankowiec;
Andrzej Kondratiuk – reżyser;
Andrzej Kopiczyński – Czerdziestolatek
Andrzej Kowalczyk – grafik „P”;
Andrzej Kramarz – fotograf;
Andrzej Krzysztof Wróblewski – publicysta;
Andrzej Kubik – lekarz;
Andrzej Kucharczyk – szef Centrum Filmowego „Ars”;
Andrzej Kuszał – prawnik;
Andrzej Laurisz – gdyby nie on, nie trzymalibyście Państwo tego numeru w ręce;
Andrzej Lenczowski – naczelny „Dziennika Polskiego”;
Andrzej Lewandowski – jasnowidz;
Andrzej Lisowski – dziennikarz, podróżnik;
Andrzej Łapicki – aktor, mężczyzna rasowy;
Andrzej Marciniak – sąsiad z dołu;
Andrzej Marcisz – alpinista;
Andrzej Marczewski – reżyser;
Andrzej Mikulski – lekarz;
Andrzej Mleczko – rysownik;
Andrzej Mędrak – ceramik;
Andrzej Nalepa – wypróbowany przyjaciel;
Andrzej Nowak – redaktor „Arcanów”;
Andrzej Nowak – tłumacz;
Andrzej Nowakowski – prezes Polskiej Izby Książki;
Andrzej Oseka – krytyk sztuki;
Andrzej Pacuła – organizator tarnowskiego

festiwalu komedii „Talia”;
Andrzej Pągowski – malarz;
Andrzej Piskorz – antykwarium;
Andrzej Pitrus – filmoznawca;
Andrzej Polkowski – tłumacz „Harry’ego Pottera” i nie tylko;
Andrzej Poniedzielski – piosenkarz;
Andrzej Justynian Kuszał – student, trener;
Andrzej Potoczek – muzyk;
Andrzej ps. „Góral” – krakowski bukinista;
Andrzej Pęcak – dyrektor;
Andrzej Róg – aktor;
Andrzej Romanowski – historyk, publicysta „Tygodnika Powszechnego”
Andrzej Ruchałowski – mówi, że ma imieniny 16 maja;
Andrzej Ruchałowski jr – junior;
Andrzej Rybiński – piosenkarz;
Andrzej Ryś – lekarz;
Andrzej Samoląg – doktor;
Andrzej Sapkowski – pisarz;
Andrzej Seweryn – aktor;
Andrzej Sikorowski – piosenkarz i poeta;
Andrzej Smirnow – polityk;
Andrzej Sosnowski – poeta ponowoczesny;
Andrzej Starmach – galernik, smakosz;
Andrzej Stasiuk – beskidzki pisarz kultowy;
Andrzej Stawiarski – redaktor „Gazety Wyborczej”;
Andrzej Strutyński – redaktor „Gazety Krakowskiej”;
Andrzej Szarmach – piłkarz;
Andrzej Szczekliki – sławny krakowski profesor medycyny;
Andrzej Szela – dziennikarz sportowy;
Andrzej Szopa – profesor;
Andrzej Szuba – tłumacz literatury anglojęzycznej;
Andrzej Słupski – inżynier;
Andrzej Talar – bohater serialu „Dom”
Andrzej Trzost-Rastawiecki – reżyser;
Andrzej Urbaniak – jazzman
Andrzej Urbanowicz – malarz;
Andrzej Waśko – redaktor „Arcanów”;
Andrzej Wajda – jedyny polski reżyser nagrodzony Oscarem;
Andrzej Wełmiński – malarz, reżyser teatralny;
Andrzej Wielowieyski – katolik;
Andrzej Wiśniewski – fotograf;
Andrzej Wojtyła – profesor;
Andrzej Zaorski – aktor;
Andrzej Zaremba – rysownik;
Andrzej Zawada – krytyk, literaturoznawca;
Andrzej Zieliński – Skald;
Andrzej Zoll – rzecznik praw obywatelskich;
Andrzej Żółkowski – reżyser.



KRZYŻÓWKA nr 48

z Farmong



POZIOMO:

- 1 taki malutki wszechświat
- 6 tam plewy od ziarna oddziela się
- 7 służy niemowlęciu
- 9 szynowa taksówka
- 12 młodzieżowy ubaw
- 15 poszczą i kontemplują w odosobnieniu
- 17 Anioł Pański
- 22 produkcyjne miejsce
- 23 mniej niż bikini
- 25 zrzęsa amatorów podniebnych wyczynów
- 29 ma skrzydła, a nie fruwa
- 32 utytułowana nadsklepowa zasłaniaczka
- 35 okres ścisłego postu muzułmańskiego
- 36 taniec z murowanej piwnicy
- 37 potoczna nazwa naszych ziem pod zaborem austriackim
- 38 rój meteorytów związany z kometa Kozika-Peltiera, który możesz oglądać 3 stycznia

PIONOWO:

- 1 Jean Baptiste Poquelin
- 2 zamiast krawata ma koloratkę
- 3 kret się napracował
- 4 autor „Chłopców z Placu Broni”
- 5 dziesiętny w matematyce
- 6 wędruje z plecakiem
- 8 kierowanie, zarządzanie
- 10 samochodowicze walczą o palmę pierwszeństwa
- 11 żyłka w liście
- 13 znalezienie jej to szczęście, bo wychodzi z użycia
- 14 rzadkie obecnie imię damskie, przyjmuje życzenia 24 listopada
- 16 druga nazwa kursywy

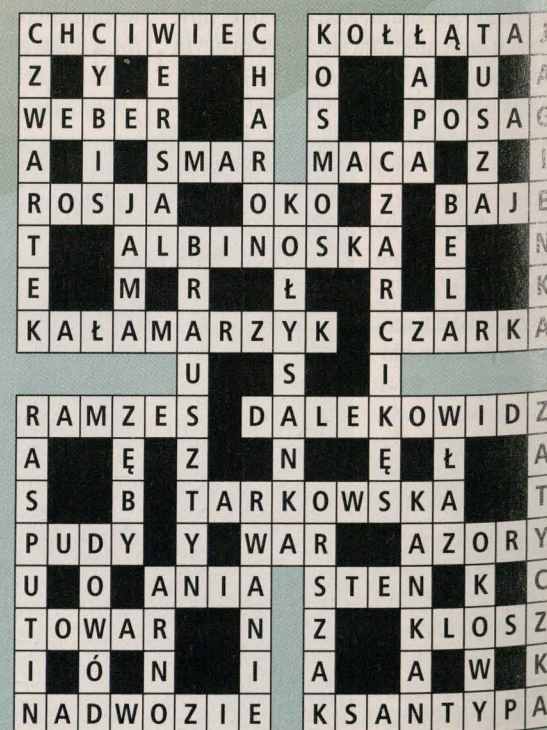
18 ...do radości

- 19 za jednego niewiele nabędziesz we Włoszech
- 20 szpik
- 21 bez = silne w brydżu
- 24 tak dziadek zwracał się do kelnera
- 26 pocieszał ją w płaczu zespół Perfect
- 27 nimfa głębokich wód
- 28 andyjska krewniaczka wielbłąda
- 30 górniczy taniec
- 31 antysiniakowe ziółko
- 33 roczniki dostojne
- 34 skąd aktor wychodzi na scenę

● Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do **niedzieli 9 grudnia** (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez Laboratorium Kosmetyków Naturalnych FARMONA. Nasz adres: PRZĘKRÓJ, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 48”.

● Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 45 **pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez Fabrykę Kosmetyków HEAN SA** wylosowali: Barbara Henrietta Kozak, Włodzisław Śląski; Jerzy Wierzbowski, Mława; Krystyna Pazik, Rabka Zdrój; Agata Piątek, Małe Żywcańskie; Wiktor Gilas, Legnica. **Gratulujemy!**

Rozwiązanie krzyżówki nr 46



RADICAL

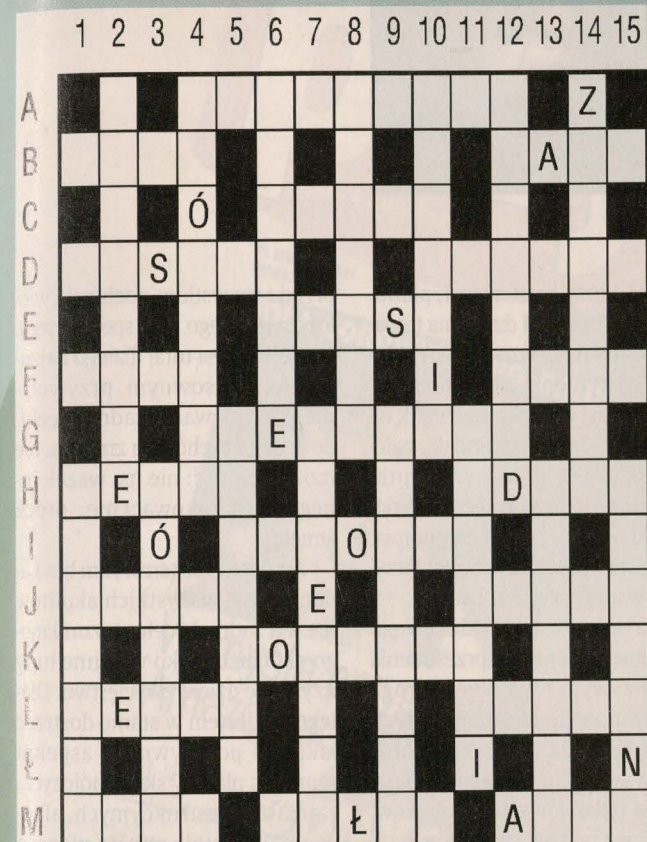
seria kosmetyków do pielęgnacji włosów dostępna w aptekach i sklepach zielarskich.



JOLKA nr 48



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:



I11 – B1 – E12 – M14 / K15 – C9 – F14 – B15 – A2 – J4 – Ł9 / M10 – E7 – I5 / M13 – I9 – E10 – L4 – F8 – D2 – L11 – C14 – K1 /, K13 – H1 – B8 – H15 – A7 – K5 – F15 – B4 – K3 / J12 – D11 / M4 – Ł7 – L12 / D4 – Ł13 – G4 – H5 – D12

Wyrazy 9-literowe:

• akustyczne skaranie boskie • na pierwszym stopniu do piekła

Wyrazy 8-literowe:

• amatorka waśni • działacz z N • ten to sobie liczy! • zjesz 31 marca • Maria Wielka Dama • punkt do zdobycia (uwaga na machikuły!)

Wyrazy 7-literowe:

• najszybsza I • koleżanka Mercedes • nimfa w gablocie • za ściganym, przed ścigającym • dietetyk i w liczy je liczy • w Małopolsce zjadane na czarno, gdzie indziej na czerwono • ma dwa warkocz, ponoć podzielne • wiejska wersja tego, co Tuwim na Hożej opiewał •

rozzielenili się w sci-fi • bat na butnego Greka • wietrzony przez podejrzliwca

Wyrazy 6-literowe:

• skóra gara • chrobrość

Wyrazy 5-literowe:

• Maschadow • miara jaguara • zaproszenie głowy trunkiem • goń po broń! • rzy frunąc • chciał Au • liczy na recykling • nie sługa, nie słucha • boski bysio • agarowa klucha dla łasucha

Wyrazy 4-literowe:

• w zasadzie nie do znalezienia • z wysepką lub z wysypką • First lub Makbet • czasownikowy stos • ich liczba nie zabezpiecza konia przed potknięciem

STEFANIAK pod jolką



– Nie dramatyzuj, Jerzy. Miewasz seksualne niepowodzenia, ale wciąż jesteś dobry w „kółko i krzyżyk”.

● Pomiedzy Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do **niedzieli 9 grudnia** (decyduje data stempla pocztowego), rozlosujemy pięć upominków - niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 48”.

Rozwiązanie JOLKI nr 46

ŚLIMAK NIE MYLI W MARSZU NÓG.

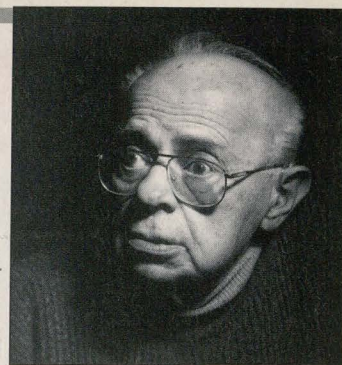
● **Rzędami:** plejstocen, awantura, zaborca, pielęgnacja, skrzep, krwiodawca, Cook, koło, wagarowicz, absynt, pierwotniak, najmita, romantyk, abstrakcja.

● **Kolumnami:** przeszczep, idol, embargo, kwartał, skrzek, prognosta, okap, imigrantka, naśladowca, knot, Targowica, zbójca, strażak, odyniec, krój, autostrada.

● Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 45 **pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju”** wylosowali: Jan Nawrocki, Poznań; Hanna Boratyńska-Lipska, Katowice; Maria Łukasik, Wojkowice; Zofia Istelska, Kraków; Barbara Jakubowska, Szczecin. **Gratulujemy!**

Rola idiotów w historii

FOT. BOGDAN KRZEL



Co Pan na to,
Panie LEM?

Okazuje się, że kolosalna przewaga technologiczna zaatakowanej amerykańskiej strony dała stosunkowo szybkie efekty w postaci likwidacji afgańskiej przechowalni terroryzmu. Olbrzymi potok rewelacji, prezentujący cios zadany Amerykanom 11 września jako początek potężnej fali druzgocących aktów terroru, nagle zmienił swój bieg. To, co było ogłaszane jako preludium kolejnych krwawych akcji, coraz potężniej raniących USA, obecnie – po niespodziewanie nagłym upadku reżimu talibów – jawi się amerykańskim publicystom jako nadmiernie rozdęty balon niczym nie uzasadnionej trwogi.

Jednocześnie rozlega się w środkach masowego przekazu drugi głos, dla Ameryki dość nieprzyjazny. Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, pojawiają się na łamach prasy światowej rozmaite artykuły, w których restauracje McDonald's lub coca-cola czy też amerykański wkład w globalizację stanowią tego rodzaju ohydę, że mogą usprawiedliwiać ludobójstwo dokonane metodą bin Ladena.

Powiedziałbym, że zrównanie tandetnych produktów masowej kultury USA z zagrożeniem kultury na świecie, wymagającym niemal czy wręcz przyciągającym terrorystyczny genocyd, wyglądałoby humorystycznie, gdyby nie dotyczyło śmierci wielu tysięcy niewinnych ludzi. Rozumiem dobrze istne powodzie hałasów i mniej lub bardziej napuszonych refleksji, które zapoczątkowała tragedia wieżowców w Nowym Jorku, ale przecież trzeba w końcu znać miarę rzeczy.

Zdaje mi się, że nikt jeszcze nie napisał monografii zatytułowanej „Rola idiotów w historii świata”. Uważam, że byłaby to praca nie-

źmiernie pouczająca i pożyteczna. Postulatом pacyfistów, którzy domagają się natychmiastowego zaprzestania wszelkich działań bojowych przeciwko terrorystycznym ośrodkom, sekunduja ogromne rzesze szlachetnych durni, paradujących w stolicach wielu państw z transparentami i hasłami żądającymi zastąpienia akcji militarnej dialogiem prowadzonym pokojowymi środkami.

Żądanie to jest idiotyczne dlatego, ponieważ do każdego dialogu potrzebne są dwie strony, natomiast organizacje terrorystyczne, o których wiemy jeszcze zbyt mało, aby je zlokalizować, są jednoczone wyłącznie ogólnościowym duchem mordu i zniszczenia. Nie ma sztabu terrorystycznego, ukrytego na przykład gdzieś w bunkrach jaskiniowych Hindu-

kuszu, który by sterował, planował i kontrolował działania terrorystyczne na całym świecie. Mamy do czynienia zarówno z terroryzmem typu lokalnego (jak na przykład baskijski, irlandzki, palestyński) oraz globalnym, reprezentowanym głównie przez ośrodki dysponujące pewną autonomią, skupione wokół tak zwanej Bazy, kierowanej przez bin Ladena.

Na podobieństwo złośliwego nowotworu, który rozprzestrzenia się w żywym organizmie drogą przerzutów do najrozmaitszych narządów ciała, terroryzm zdobywa na początku nowego tysiąclecia nie tylko nowych ochotników, ale nawet podżegaczy, jakimi stają się intelektualści, usiłujący zbrodnicze akty antyamerykańskie usprawiedliwiać, a nawet pochwalać. W moich oczach jest to

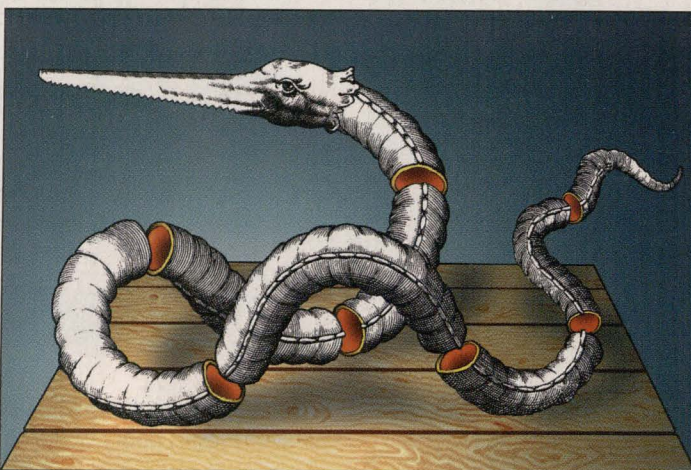
przede wszystkim pochwała wielopostaciowego raka społecznego. Nowotwór jest tutaj dlatego najzupełniej sensownym przywołaniem, ponieważ o żadnym celu, do jakiego ta choroba zmierza, nie można mówić: nie ma wszak innego celu rakowacenia, prócz śmierci.

Analogicznie terroryzm bin Ladena i jego wszystkich akolitów nie ma żadnego celu, rozumianego chociażby jako wojenne łupy uzyskane dzięki zwycięstwu. Dlatego nie jestem w stanie dostrzec jakiegось pozytywnego aspektu mordów, planów skrytobójczych, zamiarów destrukcyjnych, albo wiem wszystkie one do niczego nie zmierzają, oprócz zniszczenia i zagłady.

Jest przy tym rzeczą godną osobnej uwagi, że bez żadnego wyjątku wszystkie środki instrumentalne, jakimi posługują się terroryści, są wytworami wysoko rozwiniętych technologicznie cywilizacji Zachodu. Na wojennym teatrze, który obecnie stanowi Afganistan, wszyscy razem – talibowie, mudżahedini, Tadżycy, Pasztunowie – pozbawieni pochodzących wyłącznie z produkcji zachodniej broni, mogliby najwyżej obrzucać się nawzajem kamieniami lub tłuc pałkami. Zachód nie jest więc bez winy, ponieważ to on stworzył, udoskonalił i wyprodukował olbrzymią różnorodność środków niszczących, na czele z bombą atomową, o jakiej dzisiaj marzą nie tylko terroryści.

Technologiczny demon wypuszczony z butelki nie da się już z powrotem do niej wtłoczyć. Trzeba zatem powiedzieć jasno i prosto: Zachód uzbroił terrorystów i przychodzi mu teraz za to płacić.

STANISŁAW LEM
20 listopada 2001



RYŚ. DIMITRI SZEWIONKOW-KSMIELOW

W „PRZYJACIÓŁCE” SUPERPREZENT
PŁYTA CD Z NAJPIĘKNIEJSZYMI POLSKIMI KOŁĘDAMI W WYKONANIU GWIAZD

„Przyjaciółkę” z płytą CD, przekazujesz 50 gr dla dzieci z domów dziecka!

przyjaciółka 2,99 zł
30 XI – 6 XII 2001 NR 48 (2786)

PL ISSN 00332534
INDEKS 371556

JOLA BOROWIEC Z POLSATU

Wymyśla przygody Gladiatorów, Amazonek, Łysych i blondynek

12 MODNYCH FRYZUR
wybierz idealną do twoich włosów

Sztuka nakrywania stołu
praktyczny przewodnik po pięknych aranżacjach

najpiękniejsze polskie kołędy
w wykonaniu gwiazd

Kupując „Przyjaciółkę” z płytą pomagasz dzieciom z domów dziecka
50 groszy przekazujesz dla dzieci z domów dziecka

Kupując „Przyjaciółkę” z płytą, 50 groszy przekazujesz dla dzieci z domów dziecka

PREZENT płyta CD
najpiękniejszych polskich kołęd

fundacja przyjaciółka

PROSIMY NIE POWTARZAĆ



Coraz więcej cwaniaków używa partii politycznej jako łyżki do butów, żeby tylko wskoczyć do tego Siedmiomilowego Buta, który nazywa się Sejm.

O WACUSIU

- Falczakowa ma dobre serce. Opiekuje się pewną kobietą, której mąż zmarł trzy miesiące po ślubie i zostawił ją z pięciorgiem dzieci.

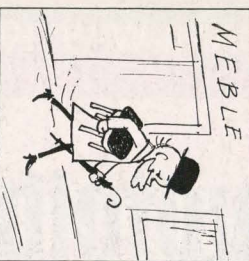
GUMOWA USŁUGA

Ogłoszenie z numeru 240: „Gazety Wyborczej”:
Usługi
Prezerwałwy reklamowe...
Czyżby nowe naciągactwo?
(Nadsiadł: W. Czernak-Nowina)

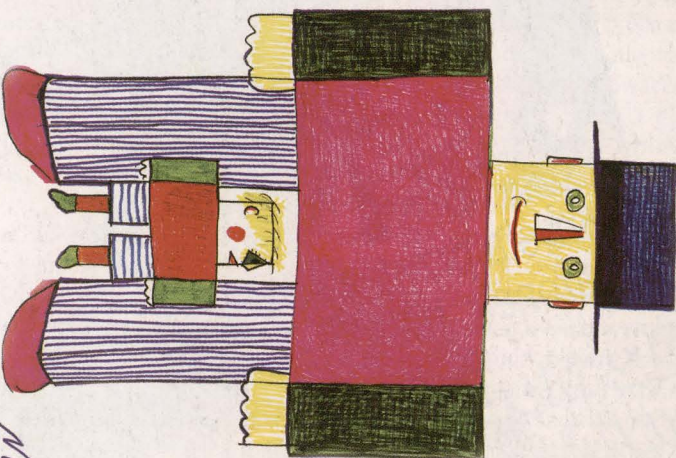
FILUTEK



MEBLE



Rys. Adam MACEDOŃSKI



- My nie wypadli stroce spod ogona!

Mac.

O CHARAKTERACH

Na miękkich fotelach
W latach naszej ery
Miękną dosyć często
Twarde charaktery.
(Tadeusz Fangrat)

Jagienka skutecznie przebrała się za chłopca, choć coś jej brakowało.

Gieremkowie byli pomocnikami rycerzy.
*
Wirusen wścieklizny zarażamy się przez pogryzienie psa.
*
We fraszce „Na nabożną” Kochanowski opisuje panią, która chodzi do kościoła, a jak przyjdzie co do czego, to spod ukrycia pojawia się diabeł.
*
HUMOR ZESZYTÓW nadesłali: S. Miłosz z Łodzi, M. Trachimowicz z Ostrowa Wlk., A. Kozarzewski z Putuska i B. Hammera z Koszalna. Dziękujemy.

O WACUSIU

- Kolega Falczaka zrobił manko w kasie. „Poił się na taką małą kwotę, to przecież gupota” - zauważył Falczak.
„Co miałem robić? - odparł mankowicz. - W kasie naszej firmy nigdy większej kwoty nie było.

„Dziennik Polski”

w dziale ogłoszeń prowadzi specjalny dział pt. „Zwierzaki”. W jednym z numerów zamieszczano takie oto zwierzątki:

EKSKLUDYWNE stylowe meble włoskie.

Kiedy przychodzi gościć, to kanapa szczeka, a fotele machają ogonami.

(Nadsiadł: B. Rączkowska)

O WACUSIU

- Falczakowa była wczoraj w nadzwyczajnym humorze. Nasłuchała się o swojej najlepszej przyjaciółce dużo złego.

ŚWIŃSKI ZNICZ

Firma Carrefour przed Świętem Zmarłych reklamowała artykuły cmentarne. M.in. i taki:



Znicz baleron szklany

Wyjątkowo smaczne, nieprawdazę?
(Nadsiadł: S. Ruciński)

Ładwik Jerzy Kern

ILU JEST MĄDRYCH NA ŚWIECIE?

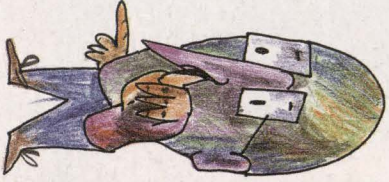
Właśnie.
Ciekawe, ilu?
Może miliard?
Może milion?
Może tysiąc?
Może stu?
A może nawet nie tylu?



Rozrzućmy po kontynentach,
Po końcach świata,
Siedzą mądrzy i myśla.
Bywa, że nawet nie wie o nich mama i tata.

Od czasu tylko do czasu
Z Indii jakichś,
Z dalekich Arabii,
Nadchodzi wieść, że objawił się
Mądry derwisz,
Fakir
Lub rabbi.

Może nie lubi rozgłosu
Wielkiej
Mądrości
Duch,
Dość, że niewiele,
Niewiele tych wieści
Dociera
Do naszych
Uch.



Na szczęście statystykę
Światową
(Sumo graj!)
Poprawia w tym zakresie
Pewien szlachetny kraj.
Gdzie od świstaka w Tatrach,
Aż do bałtyckiej flady
Każden jeden jest mądry.

ZGADZA SIĘ

O karach za ścinanie
drzew czytamy w numerze 44 „Przełomu”.
...za ścięcie topoli
o grubość pnia 110 centymetrów kara wynosi
prawie 8 tysięcy złotych, a za podobną toponad 70 tys. zł.
Jest to tak samo precyzyjne i jasne jak reszta naszych kodeksów.
(Nadsiadł: M. Kleczkowska)